

TOM CCLXXII.

SERYA 9.

ROK 68.

ZESZYT 814.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PAŹDZIERNIK.

1908.

TOM IV.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1908.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. TURCYJA NA PRZEŁOMIE,—przez <i>Bolesława Koskowskiego</i>	1
2. HANKA (powieść),—przez <i>Ory Jelską</i>	26
3. O CYPRYANIE NORWIDZIE,—przez <i>Adama Krechowickiego</i>	52
4. LEONIDAS ANDREJEW,—przez <i>Władysława Jabłonowskiego</i>	85
5. STATYSTYKA A ETYKA,—przez <i>d-ra A. Zielińczyka</i>	110
6. RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	121
7. WYCHOWANIE ESTETYCZNE,—przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	142
8. SIŁY I ŚRODKI NASZEJ SCENY,—przez <i>W. Bogusławskiego</i>	153
9. PIŚMIENNICTWO:	
Ks. JÓZEF WALKOWSKI: Pamiętniki pisane w niewoli kołobrzesckiej. (Ważne źródło do historii arcybiskupa Dunina),—przez <i>H. Mościckiego</i>	181
R. CENTNERSZWEROWA: O języku Żydów w Polsce, na Litwie i Ru- si,—przez <i>H. M.</i>	186
10. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Zniesienie stanu wojennego.—Zbiory Erazma Majewskiego i sprawa Muzeum.—Dziesięciolecie Towarzystwa higienicznego .	188
11. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Karol Estreicher i ś. p. Witold Załęski,—przez <i>Z. D.</i>	197
12. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE .	201

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 8.

Opis biblioteki warszawskiej
1878

6

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

ROK VI. 1878.


BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

ROK 1878. — Tom IV.

WARSZAWA

Wydawnictwo Biblioteki Warszawskiej

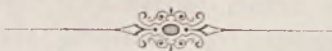
Ogólnego zbioru Tom 272.



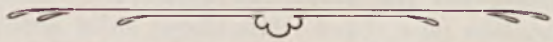
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1908.—Tom IV.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

—
1908.

STO

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA



De E 1.

Kol 1908 - Tom IV.

WARSAWA

Zdrużenie Wydawnicze i Księgarskie Towarzystwo

TURCYA NA PRZEŁOMIE.

I.

W roku 1844 cesarz Mikołaj w czasie podróży do Anglii mówił: „W gabinecie moim leżą dwie opinie o Turcyi: albo umiera ona, albo już umarła; w każdym razie nikt nie zapobiegnie jej blizkiej śmierci.“ W r. 1852 mówił do ambasadora angielskiego, że trzeba „porozumieć się co do pogrzebu.“¹⁾ Od tego czasu upłynęło kilka dziesiątków lat, a na uroczystości pogrzebowe jeszcze się nie zanosi. Gladstone po ostatniej wojnie grecko-tureckiej zauważył z goryczą, że „Turcy są mocniejsi, niż kiedykolwiek od czasu wojny krymskiej.“²⁾ I dzisiaj można stwierdzić, iż jeżeli kwestya wschodnia nie przestała być największą „aktualnością“ polityki europejskiej, jej punktem ciężkości, to w ministeryach spraw zagranicznych wielkich mocarstw europejskich o nowym rozbiórce Turcyi nie mówi się wcale. Życie „chorego człowieka“ wydaje się tymczasem z tej strony zapewnione.

Zresztą do prawdopodobnych choćby przewidywań niema żadnych materyałów. Kwestya wschodnia jest najbardziej złożoną, jaką tylko można sobie wyobrazić, i każdy z jej wielorakich czynników może wywołać niespodziewane rozwiązanie. W państwie tureckiem mamy dzisiaj szereg „kwestyj“, z których każda ma w sobie jądro powikłań międzynarodowych. Na Bałkanach istnieje kwestya macedońska, skomplikowana przez kwestyę albańską; na morzu Egejskiem jest kwestya kreteńska; w Azji kwestya ar-

¹⁾ Seignobos: *Dzieje polityczne Europy współczesnej*, str. 591 przekładu polskiego.

²⁾ Bresnitz von Sydacoff *Aus dem Reiche Abdul Hamids*, str. 22.

meńska; wśród ludów muzułmańskich Arabowie przedewszystkiem, a następnie Druzowie, Kurdowie, Czerkiesi ujawniają nowe dążenia i ruchy, nieznanne w tem natężeniu czasom poprzednim. Do tego trzeba dodać stanowisko wielkich mocarstw europejskich, upatrujących w posiadłościach tureckich wielkie pole do ekspansyi ekonomicznej i wpływów politycznych. Państwo tureckie jest zwierzchnikiem legalnym niektórych wielkich punktów strategicznych, których posiadanie stanowi warunek panowania na morzu i hegemonii światowej: Bosforu, Dardanelli, Suezu. Wszystkie drogi do Indyj przechodzą przez wody tureckie, lub przez terytoryum państwa ottomańskiego. W ten sposób od stu lat wszystkie wielkie sojusze i umowy europejskie obracały się około kwestyi wschodniej: prawie zawsze były one zawierane albo zrywane z jej powodu. Albert Sorel wykazał, że monarchowie skoalizowani przeciw rewolucyi francuskiej więcej byli zajęci „jakobinami polskimi“ i przyszłością Turcyi, niż myślą o pomszczeniu Ludwika XVI. Będę miał sposobność kiedyindziej mówić o tem, jaką kwestya turecka gra rolę w sojuszach zw. Trójprzymierzem i Dwuprzymierzem ¹⁾).

Wobec takiego położenia rzeczy, Turcyja do ostatniego przewrotu konstytucyjnego opanowana była jakby jedną tylko myślą: zachowania w całości swych terytoryów i politycznego *status quo* drogą umiejętnego wyzyskiwania współzawodnictw europejskich. Pod tym względem rządy ostatniego zwłaszcza sułtana, Abdul-Hamida, wykazują talenty prawdziwie zadziwiające. Natomiast w administracyi wewnętrznej państwo było coraz więcej oddane na łaskę anarchii zupełnej. Żywiół turecki już od półtora stulecia prowadził gospodarkę w całym znaczeniu tego słowa dewastacyjną. Muzułmanie przeciw giaurom, sunnici przeciw szyitom, Turcy przeciw Arabom, nomadzi przeciw ludom osiadłym, wieśniacy przeciw mieszczanom, górale przeciw Beduinom, żołnierze przeciw zwykłym obywatelom, złodzieje przeciw żandarmom — po kolei Turek umiał wychowywać wszystkie fanatyzmy, podniecać wszystkie nienawiści. Nie licząc gwałtów lokalnych i pomniejszych, jak w Saint-Jean d'Acree lub Sassunie, historycy od 150 lat opisali siedem czy osiem wielkich pogromów w Alepie, Hedżazie, Libanie, Kurdystanie, Armenii, oraz rzezie w Chios, na Krecie, w Bulgaryi i tak niezliczone w Macedonii.

Dzieje państwa otomańskiego w ciągu ostatniego stulecia przedstawiają szereg przesileń, przerywanych próbami reform.

1) P. René Pinon *L'Europe et l'empire ottoman*. Paris, 1908. Str. 3 i dal.

Niema tam już żadnej instytucji, która działałaby prawidłowo. Ustrój, oparty na despotyzmie wschodnim i muzułmanizmie, przy zwierzchnictwie kościoła nad państwem, opierał się wszelkim reformom w duchu nowożytnym. Reformy Mahmuda w pierwszej połowie zeszłego stulecia były powierzchowne i pozostawiły następstwa tylko w wojsku; reformy Reszyda-baszy, głębiej pomyślane, ale w większości pozostałe w stanie obietnic, nie doprowadziły do głębokiej reorganizacji cesarstwa. Zresztą, potężny sąsiad Turcyi — Rosya — nie zgadzał się wówczas na takie rozwiązanie rzeczy. Tak samo speszły na niczem próby reform, przedsięwzięte przez Fuada i Ali'ego w latach 1859 — 1871, rozbiwszy się o niechęć muzułmanów. Przytem porażka Francyi w r. 1871 zniszczyła wpływ Francuzów na sułtana i zerwała koncert europejski, który opiekował się cesarstwem ottomańskim przeciw Rosyi. W r. 1876 manifest patryotów muzułmańskich ze stronnictwa Młodej Turcyi, zwrócony do mocarstw obcych, mówił: „Gdyby Turcyja, zamiast despoty, posiadała mądrego monarchę, opierającego się na izbie doradczej, złożonej z przedstawicieli wszystkich ras i wyznań, byłaby ocalona. Oto jest prawdziwe rozwiązanie, które się nie sprzeciwia Koranowi; rząd turecki jest wybieralny.“ Powstał ruch w kierunku przekształcenia cesarstwa absolutystycznego na monarchię konstytucyjną, który doprowadził nawet do ogłoszenia konstytucyi, ale panowanie Młodej Turcyi było krótkotrwałe. Europa przestała wierzyć w reformy, dokonywane przez muzułmanów.

Ostatnie sto lat dziejów Turcyi były także latami systematycznego, lubo nader powolnego rozbioru posiadłości tureckich w Europie. Stopniowo wyzwały się z pod jej panowania: Grecya, Serbia, Rumunia, Bułgarya, Czarnogórze, także Rumelia wschodnia, Bośnia i Hercegowina, Kreta. Pozostały cesarstwu w Europie tylko kraje muzułmańskie Rumelii (wilajety Konstantynopolitański i Adryanopolitański), Albanii, Epiru i kraj chrześcijański Macedonia. W gruncie rzeczy Turcyja przestała już być państwem europejskiem.

Natomiast w Azyi posiadłości jej są jeszcze bardzo znaczne. Azya Mniejsza, Armenia, Kurdystan, Syrya, Mezopotamia, Irak, Arabia, przedstawiają olbrzymie przestrzenie ziem w znacznej części dla wysokiej kultury przydatnych i zdolnych. Trudno byłoby skreślić nawet w przybliżeniu cyfrę ludności tej Turcyi azyatyckiej. Statystyki urzędowe ustanawiają dziesięć milionów ludności w wilajetach (guberniach) Azyi mniejszej, dwa i pół miliona w wilajetach gór Taurus, pięć i pół miliona w wilajetach syryj-

skich, mezopotamskich i arabskich: ogółem od siedemnastu do osiemnastu milionów poddanych ottomańskich w Azji. P. Victor Bérard ¹⁾ poczytuje te cyfry za zbyt małe. Co się tyczy podziału ich według ras i języków, to obrachunek jest jeszcze trudniejszy. Jest prawdopodobnem, że kraje, rzeczywiście podległe Konstantynopolowi (a więc nie licząc nawpół niezależnych państw w Arabii środkowej i morskiej), posiadają sześć lub siedem milionów Turków i ludów mu pokrewnych, pięć lub sześć milionów Arabów, półtora miliona Greków, dwa lub nawet trzy miliony Armeńczyków i Kurdów, pół miliona Syryjczyków, jakieś pół miliona Chaldejczyków i im pokrewnych, ze dwieście tysięcy Żydów.

W rzeczywistości — utrzymuje p. Bérard — należałoby uważać to państwo, jako *res nullius*: jest ono pustynią. Pięćdziesiąt milionów hektarów w Azji mniejszej nie posiadają nawet dwudziestu mieszkańców na kilometr kwadratowy; sześćdziesiąt trzy miliony hektarów Syrii i Mezopotamii nie posiada ich siedmiu; pustynie Arabii i ich czterdzieści cztery miliony hektarów nie posiadają ich dwu. I oto mamy paradoks prawdziwie turecki: wyniosłości i szczyliny gór Taurusu z ich 2½ milionami ludności i ich dwudziestu milionami hektarów miały, przed rzeźniami armeńskimi, i mają jeszcze, mimo te rzeźnie, ludność gęstsza, niż równiny, cudowne równiny Antyochii, Niniwy i Babilonu!

Ogółem ta Turcyja azyatycka (licząc tylko prowincye rzeczywiste) posiada jakieś sto osiemdziesiąt milionów hektarów. Nie wszystko jest jednakowo płododajne, do zamieszkiwania i kultury zdadne. W centrum płaskowzgórza anatolijskiego jeziora słone i piaski Espkeszanu zajmują trzy lub cztery miliony hektarów; między Syryją a Mezopotamią, od Libanu do brzegów Eufratu, kamienie Badiat-esz-Szamu (pustynia Damaszku), następnie, między zatoką Synajską a zatoką Perską, piaski i skały Petrei i Nefudu pokrywają sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt może milionów hektarów. Odliczmy jeszcze dwadzieścia lub dwadzieścia pięć milionów hektarów na stepy, góry, jeziora i błota. Pozostaje najmniej siedemdziesiąt pięć do osiemdziesięciu milionów hektarów dla ziem pierwszej klasy, dobrze zaopatrzonych w wody przez spadek deszczów, lub łatwych do irygacyi, pod szerokością geograficzną Sycylii i Andaluzyi.

Oceniając na miarę Sycylii, to dobre ziemie powinnyby wyżywić sto dziesięć milionów ludzi. Trzykrotnie mniejsza od tej

¹⁾ P. Le Sullan, *l'islam et les puissances*. Paris, 1907. Str. 23 i dal.

Azyi ottomańskiej, Hiszpania posiada ludność tak samo liczną, a przecież Hiszpania, ze wszystkich krajów europejskich, ma ludność najrzadszą. Zaludniona jak Włochy, które także posiadają wiele gór, ta Turcyja azyatycka miałaby sto trzydzieści do stu czterdziestu milionów mieszkańców. Zaludniona jak Francya—która nb. nigdzie nie ma takich pól, jak w okolicach Tarsu, Bozry, Mossulu, Bagdadu—przekroczyłaby jeszcze sto milionów. Posiada zaś niespełna dwadzieścia...¹⁾

W Europie, jak powiedzieliśmy wyżej, posiadłości tureckie zredukowane zostały w ostatniem stuleciu bardzo znacznie, ale i tutaj wciąż jeszcze niema jednolitych terytoriów etnicznych, lecz przeciwnie znajdujemy najróżnorodniejsze pomieszania narodowościowe i wyznaniowe, tworzące niewyczerpane źródło konfliktów i przesileni. I tutaj także ludność jest liczebnie daleko niższa, niż mogłaby być przy lepszej administracji państwowej. Na przestrzeni prawie 170 tysięcy kilometrów kwadratowych, to znaczy blisko 1½ raza większej od Królestwa Polskiego, statystyka na rok 1908 oblicza niewiele więcej nad 6 milionów ludności. Składają się na nią Turcy, Grecy, Albańczycy w sile prawie równej, stanowiącej około 71% ogółu mieszkańców, następnie Bułgarowie, Serbowie, Żydzi, Czerkiesi, Armeńczycy, Cyganie i t. d. Zresztą żadnej ścisłej statystyki dotychczas nie przeprowadzono i w wielu razach byłaby ona niemożliwa tam, gdzie ludność niezawsze jeszcze posiada świadomość odrębności etnicznej, zaś cecha wyznaniowa nie daje żadnych pod tym względem wskazówek. Co się tyczy wyznań, statystyka na rok 1908 podaje, że w Turcyi europejskiej jest 50% mahometanów, 40.4 obrządku gre-

¹⁾ Bérard, l. c. Str. 25. Hübnera *Geographisch — statistische Tabellen* na r. 1908 podaje następujące cyfry zaludnienia Turcyi azyatyckiej:

Ogółem ludności	16,898,700
W Azyi mniejszej	9,089,200
W Armenii i Kurdystanie	2,470,900
W Syryi	2,790,400
W Mezopotamii (z Nedżedem)	1,498,200
W Arabii (bez Nedżedu)	1,050,000

Według wyznań, *Tabellen* podają: Muzułmanów 13 milionów, Armeńczyków 1,240,000, innych chrześcian 2,300,000, Żydów 560,000; według narodowości Turków 43%, Syryjczyków i Arabów 33%. Trzeba jeszcze dodać, że Turcyja ma w Afryce posiadłość Tripolis z jakimś milionem ludności (Berberów, Arabów, Maurów, Negrów).

cko-wschodniego, 4.5 katolików, a reszta przypada na Żydów, Armeńczyków, protestantów i t. d. ¹⁾

Łatwo zrozumieć, że w tych warunkach, przy istnieniu mnóstwa antagonizmów narodowościowych, wyznaniowych, politycznych, przy niezwykle korzystnem, ale jednocześnie niebezpiecznem położeniu terytoryalnem Turcyi, dobrze rządzić państwem było rzeczą trudną. Widzimy też, że zadaniu temu żaden panujący turecki w ostatniem stuleciu nie sprostał, a długie rządy obecnego sułtana, Abdul Hamida, przyniosły tylko nowe żywioły rozstroju i wszechstronnego upadku wewnętrznego państwa.

Odbiło się to przedewszystkiem na finansach. Oddawna wskazywano, że państwo ottomańskie musi przedewszystkiem na uporządkowaniu finansów oprzeć swe próby reform. W tym kierunku szły usiłowania szeregu reformatorów tureckich w XIX stuleciu i rady przyjaciół zagranicznych Turcyi. Abdul Hamid nic dla tej pierwszorzędnej sprawy nie zrobił. Administracya finansowa przedstawia szereg nadużyć, przechodzących zwłaszcza w Turcyi azyatyckiej wszelkie granice; budżetu stałego niema, system podatkowy jest chaotyczny, ludność nie posiada żadnych rękojmi prawidłowego korzystania ze swych praw i dopełniania swych obowiązków. Izba handlowa konstantynopolitańska, którą Mahmud-Dżelaleddin-pasza zapytywał kiedyś w kwestyi rozwoju przemysłowego i handlowego Turcyi, wskazała konieczność ceł protekcyjnych, przyciągnięcia kapitałów zagranicznych, wysłania do Europy młodych ludzi na naukę przemysłową i handlową, zniesienie opłaty 1% na towary eksportowane, oraz inne środki, mogące podnieść zdolność finansową Turcyi. Wszystko to okazało się niemożliwem do zastosowania przy dzisiejszej administracyi państwowej. Tak np. mocarstwa zagraniczne nie przystają na cła protekcyjne nie tylko ze względu na interesy własnego przemysłu i handlu, ale i dlatego, że nie posiadają żadnej rękojmi dobre-

¹⁾ *Geographisch — Statistische Tabellen* Hübnera na r. 1908 podaje ludność w Turcyi europejskiej:

Wilajet Konstantynopolitański	1,263,000
„ Adrianopolitański	1,028,200
„ Saloniki	1,130,800
„ Monastyr ze St. Serbią	848,900
„ Kossowo z Nowym Bazarem	1,038,100
„ Skutari.	294,100
„ Janina	527,100

go zastosowania nowych praw. W całym państwie zaległości podatkowe są ogromne, a jednocześnie od niektórych podatników, zwłaszcza na dalekiej prowincyi, administracya żąda płacenia podatków z góry.

Nielepiej jest, a właściwie jeszcze gorzej, w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości. Najlepszym dowodem oplakanego działania sądów tureckich są te części „kapitulacyi,” t. j. przywilejów europejskich w Turcyi, które dotyczą specjalnego położenia obcych poddanych w państwie ottomańskim. Poddany jakiegos wielkiego mocarstwa zamieszkuje w Turcyi tak, jakgdyby był we własnym kraju, t. j. podlega prawom swego kraju, a nie prawom ottomańskim. Tak więc żaden poddany obcy nie może być aresztowany bez asystencyi swego konsula, nie może być sądzony (z pewnemi wyjątkami) przez sądy tureckie. Gdy chodzi o sprawy między poddanymi tureckimi a obcymi, i tu wyrok sądu tureckiego nabiera mocy dopiero po podpisaniu go przez ambasadę, względnie konsulat odpowiedni. Dla spraw handlowych zasiadają dwaj sędziowie zagraniczni obok trzech ottomańskich, oprócz tego asystuje odpowiedni dragoman.

Sądownictwo tureckie w drugiej połowie zeszłego wieku zostało częściowo zreformowane na sposób europejski przez głośnych reformatorów, Alego i Fuada. Istnieją więc sądy cywilne pierwszej instancyi, sądy handlowe, sądy karne i izby apelacyjne. Ale jednocześnie pozostały dawne instytucye sądowe, biorące swe źródło z urzędzeń religijnych muzułmańskich. W religii muzułmańskiej niema kleru w ścisłym znaczeniu tego słowa. To, co nazywamy duchowieństwem, stanowi tam właściwie sędziów w jurysprudencyi cywilnej, komentatorów Koranu, aktów proroka Mahometa i Kalifów. Na czele całej tej hierarchii softów (studentów prawa), muftiów („wielkich sędziów“), ulemów („doktorów prawa“) i t. d. stoi Szeik-ul-Islam, będący jakby wielkim *mufti* czyli prezydentem jurysdykcyi religijnej cywilnej, opartej na *Medžele* (zbiór praw cywilnych muzułmańskich) i nazywanej *Szeri*. W ten sposób jest on wielkim depozytaryuszem i interpretatorem prawa, opartego na Koranie i na jurysprudencyi Islamu.

Otóż zarówno te sądy, jak tamte, oparte na wzorach europejskich (zw. *nizam*, czyli regularne), funkcjonują źle i nie cieszą się żadnem zaufaniem ludności. Wszystkie są stronne, powierzchowne, prawie wszystkie przekupne. W procedurze sądów *Szeri* np. wszystko opiera się na świadectwie muzułmanów. Nawet kompetencyę swą sądy tureckie źle określają, usurpując sobie to, co do nich nie należy. Procedura jest niesłychanie powolna, sprawy

ciągną się całemi latami, ba! całemi dziesiątkami lat, jeśli tak się podoba stronie możniejszej.

Abdul-Hamid uchodzi za monarchę, zwracającego szczególną uwagę na oświatę publiczną. Zdaje się jednak, że i pod tym względem czyni się w Turcyi niewiele.¹⁾ Zresztą w państwie despotycznym, tłumiącym wszelką myśl wolną, szkoła nie może być prawdziwym organem postępu, światła i cnót obywatelskich. Obecnie w Konstantynopolu istnieją następujące szkoły wyższe: 1) szkoła *Mulkie*; 2) szkoła medyczna; 3) szkoła prawa; 4) szkoła sztuk pięknych; 5) szkoła handlowa; 6) szkoła normalna; 7) szkoła marynarki handlowej, i 8) szkoła inżynierów cywilnych. Oprócz tego istnieją t. zw. szkoły wyższe drugiego rzędu, mianowicie liceum w Galacie, dwie szkoły *Idadie* (drugiego rzędu), szkoła dla głuchoniemych, szkoła normalna dla dziewczyn i szkoła sztuk i rzemiosł, będąca w zawiadywaniu ministeryum kopalń i lasów. Są dalej szkoły wojskowe w Pankaldi i Gulane, szkoła inżyniersko-artyleryjska i szkoła morska. W wilajetach (guberniach) istnieją szkoły drugiego rzędu w każdej stolicy wilajetu i sandżaku (powiatu), co czyni ogółem około 60 zakładów tego rodzaju w państwie.

Szkoły początkowe podzielone są na dwie kategorie: szkoły początkowe wyższe (*Ruszdje*) w każdej stolicy *cazy* (okręgu) i szkoły początkowe właściwe (*Ibtidadje*) po wsiach. Liczono w r. 1901 w całym państwie 29,130 szkół takich z 896,932 uczniami. Wygląda to dosyć imponująco, ale badanie programów szkolnych zmniejsza nasze wrażenie. Przeważnie nauczyciele ludowi zajmują się wdrażaniem w swych uczniów idei islamicznych, co wydaje się główną troską panowania Abdul-Hamida, ale za to nauczanie nauk przyrodniczych np. jest wyłączone, bo *maurif naziri* (minister oświaty) uważa je za niebezpieczne politycznie. Młodzież nie otrzymuje zachęty do pracy na polu przemysłowem, handlowem, rolniczem, lecz przeciwnie jest fatalnie popychana do *kalemów* (biur). To też Turcyja jest przepełniona biurokratami i kandydatami na biurokratów. Wykształcenie wyższe także jest bardzo niedostateczne i szkoły wyższe nie dostarczają należycie ukształconego personelu fachowego. Przytem ogólny system tłumienia wolnej myśli, surowa cenzura pism, książek i teatrów, obawa rządu przed ideami europejskimi, stawiały tamę rozwinięciu klasy

¹⁾ P. Charles Hecquard *La Turquie sous Abdul-Hamid II*, Bruxelles, 1901, str. 294 i dal.

dobrych fachowców, szerzej obejmujących zagadnienia ekonomiczne. Bardzo wadliwe było także rekrutowanie personelu nauczycielskiego, przy którym względy polityczne i protekcyjne grały rolę decydującą.

Wojna rosyjsko-turecka z r. 1877 dowiodła wielkiej dzielności osobistej żołnierza tureckiego i wadliwej, czasem zgoła niedośćnej, administracyi wojskowej w Turcyi. Zdaje się, że od tego czasu niewiele się tam zmieniło, zwłaszcza, że zły stan finansów tureckich nie pozwala na nowoczesne uzbrojenie armii, wykształcenie wojskowe zaś oficerów pozostaje znacznie w tyle za tem, czego w tym kierunku dokonano w Europie. Tablice Hübnera podają liczebność armii tureckiej w r. 1904 na stopie pokojowej na 220,000 ludzi, na stopie wojennej na 1,677,000. Cyfry te różnią się znacznie od tego, co podaje Almanach gotajski, i wogóle są bardzo niepewne. Według Hecquard'a, z trzech rodzajów broni piechota przedstawia się najlepiej, następnie idzie artylerya, co zaś do kawaleryi, to organizacya jej ma być w wysokim stopniu wadliwa. Ten sam autor utrzymuje, że w razie wojny Turcyja nie mogłaby wystawić więcej nad 400 do 450 tysięcy żołnierzy.¹⁾ Wykształcenie tych ostatnich jest nader niedostateczne, bo ze względów oszczędnościowych ćwiczenia w strzelaniu odbywają się bardzo rzadko, a przytem oficerowie tureccy nie posiadają należytych wiadomości wojskowych. Szkoła w Pankaldi wypuszcza wprawdzie corocznie 400 do 500 oficerów, ale wszyscy oni okazują gorsze przygotowanie wojskowe od tych, nielicznych zresztą, którzy kształcili się w zakładach europejskich. Trzeba wreszcie pamiętać, że ogromny obszar państwa otomańskiego, ogarniętego przytem stałem wrzeniem rewolucyjnym, zmusza do utrzymywania na całym tem terytorjum, od Jemenu do Nowego Bazaru, stałych garnizonów, z których tylko część mogłaby wyruszyć na plac boju.

Jeśli jest jakie państwo, potrzebujące silnej marynarki, to jest niem niewątpliwie cesarstwo ottomańskie, rozciągające się na trzech kontynentach z ogromnie rozciągniętymi brzegami morskimi. Turcyja nie posiada wprawdzie odległych kolonij, wymagających obrony, za to jej położenie, ze względu na rozciągłość brzegów oraz wagę posiadanych przez nią punktów nadmorskich, jest tego rodzaju, iż bez marynarki wojennej nie można myśleć o bezpieczeństwie zewnętrznem państwa. Sama pozycya stolicy turec-

1) Przeciwnie, Bresnitz von Sydacoff oceniał w r. 1903 siłę armii tureckiej na stopie wojennej na 855,000 ludzi.

kiej, Konstantynopola, jest pod tym względem wielce pouczającą. P. Pinon trafnie wskazuje, że autorowie książek geograficznych i historycznych tradycyjnie powtarzają frazes o „korzyściach nieporównanych“ pozycyi Konstantynopola. W rzeczy samej sprawa przedstawia się nieco inaczej. Pozycja tego miasta, znakomita dla państwa silnego, nadająca się do obrony i do ataku na sąsiadów, jest niebezpieczna dla państwa słabego i źle uzbrojonego. Turcyja musi pilnować się na morzu Czarnem, na morzu Śródziemnem, nawet w zatoce perskiej, ma posiadłości bardzo na niebezpieczeństwa wystawione w Syrii, Trypolisie, wzdłuż półwyspu arabskiego. Czy marynarka turecka może sprostać temu wielkiemu zadaniu? Statystyka z r. 1907 wykazuje 78 statków wojennych, do tego dodać należy 73 torpedowce i 181 „mniejszych statków.“ Personel marynarki wojennej dosięga 14,369 ludzi, z których 9,650 żołnierzy. Wygląda to wszystko nieźle, ale zdaje się, że tylko na papierze. Statki wojenne budowane były przeważnie w warsztatach niemieckich, za ceny niskie i podobno bardzo pospiesznie. Personel niższy jest tak źle wyćwiczony, że np. torpedy muszą być rzucane przez oficerów. Arsenał i doki istnieją tylko w Konstantynopolu. Dwie istniejące w Turcyi szkoły marynarskie postawione są bardzo źle i wychowawcy ich umieją daleko mniej od swych kolegów, wysyłanych do Anglii i Francyi. Trzeba wreszcie nadmienić, że fortyfikacye Bosforu uchodzą za bardzo słabe, tak, że zdaniem fachowców, flota rosyjska lub inna, równie silnie wyekwipowana, nie miałaby żadnych trudności w przeforsowaniu cieśniny. Tak samo rzecz się ma z Dardanelami.

Kraj Medów, Persów, Partów, Asyryjczyków i Chaldejczyków, Greków i Scytów, kraj Niniwy i Babilonu, kolebki rodu ludzkiego i raj utraconego, miodu i mleka, wzgórzy winnych i dolin czarownych, owoców pachnących i tkanin miękkich, kraj, do którego zwracały się oczy wszystkich ludów na ziemi, jest dzisiaj jedną wielką ruiną. Wszędzie, gdzie się wtargnie do wnętrza tych wielkich przestrzeni, widzi się tylko zwałiska i opuszczenie, nędzę i smutek mieszkańców. Najwięksi przyjaciele Turcyi stwierdzają, podróżując po jej terytoryach najlepszych, ogromne zacofanie i brak najelementarniejszych warunków administracyi państwowej i lokalnej. Plutarch opowiada nam, że Lucullus, Scylla i inni zdobywcy rzymscy, po długich i rujnujących wojnach, umieli jeszcze bez trudu wyciągać z Azji mniejszej ogromne daininy, które kraj bez wysiłku płacił. Byzancyum i Kalifat bagdadzki cieszyły się równą pomyślnością. Lubo będące stałym teatrem wojny, kraje te, dobrze administrowane zarówno przez

cezarów, jak przez kalifów, były w stanie kwitnącym dzięki swej wspaniałej urodzajności. A dzisiaj? Nawet w „perle“ monarchii, w Anatolii, drogi są w stanie rozpaczliwym, bezpieczeństwo publiczne na każdym kroku zagrożone; można przejechać setkę, i nawet dwie setki kilometrów, nie spotkawszy ani jednej wioski. Kultura rolna zupełnie zaniedbana, nie tylko dla tego, że brak rąk do pracy, że drogi transportowe są fatalne, że opieki przed łupieżcami niema żadnej, ale i dlatego, że rolnik musi się obawiać zdzierstwa i nadużyć władz podatkowych. Prawda, że w ostatnich czasach Abdul Hamid osobiście okazywał wielką skłonność do budowania kolei żelaznych, ale one mają przeważnie cele polityczne, zresztą nie mogą zaspokoić potrzeby dróg dojazdowych bitych. A wreszcie co znaczą drogi, gdy wytwórca nie ma zapewnionych dla siebie owoców swej pracy, gdy nie umie się wziąć do intensywnej roboty, gdy jest ciemny i moralnie przybity?

Obecnie jest w Turcyi 6,054 kilometrów kolei żelaznych, z czego 1,993 kil. w Europie. Ogromna większość tych linii należy do koncesyonaryuszów zagranicznych, przyczem Niemcy w ostatnich latach rozwinęli w tym kierunku działalność bardzo ożywioną i skuteczną. Z inicjatywy sułtana rozpoczęto, na rachunek skarbu ottomańskiego, budowę wielkiej kolei od Damaszku do Hedżasu, ku Mekce i Medynie, kolei, o której pisma tureckie pisały, może bez wielkiej przesady, że będzie miała w świecie muzułmańskim takie znaczenie, jakie miał w świecie ekonomicznym kanał Sueski. Od r. 1903 Niemcy budują drugą niepospolicie ważną linię kolejową do Bagdadu, mogącą mieć olbrzymie skutki zarówno polityczne, jak ekonomiczne. Niewątpliwie obie te koleje wprowadzą nowe potężne czynniki życia wewnętrzne do państwa ottomańskiego.

O rolnictwie tureckiem niewiele się da dobrego powiedzieć. Obliczają, że zaledwie dziesiąta część terytoriów tureckich wzięta jest pod mniej więcej regularną uprawę rolną. Reszta pozostaje w ugorach lub zawiera lasy, pastwiska oraz wielkie równiny piaszczyste. Zastosowanie maszyn rolniczych jest zupełnie nieznanem. Rząd nic nie robi dla podniesienia kultury rolnej, natomiast obciąża rolników wadliwym systemem podatkowym dziesięcin. Gospodarstwo leśne podniosło się w ostatnich latach, przy rozumnej gospodarce Selima-paszy, tak samo jak eksploatacye bogactw mineralnych, ale pozostało i w tej dziedzinie jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Najgłówniejsza zaś, że brak uczciwej administracyi krajowej. Od małego do wielkiego, wszyscy urzędnicy tureccy

byli zawsze przekupni i nieprzygotowani do zadań, które na nich włożono.

Turcyja jest jedynym krajem w Europie, w którym działają biura pocztowe zagraniczne obok krajowych. Jest to jeden ze skutków tych „kapitulacyj,” które Turcyja musiała uczynić dla Europy, nieposiadającej rękami należytej administracyi. Upokarzający charakter tego przywileju pocztowego, pociągającego przytem za sobą i straty materyalne dla skarbu, uderzał już oddawna reformatorów tureckich, którzy też starali się uwolnić od niego przez udzielenie Europie gwarancyi, że poczty ottomańskie będą działały prawidłowo. Dotychczas nie udało się to jednak rządowi tureckiemu. Obecnie służba pocztowa w Turcyi jest wprawdzie lepsza, niż była dawniej, nie jest wszakże taka, aby zniewoliła mocarstwa europejskie do zaufania ku sobie.

Nie posiadam ostatnich danych statystycznych co do poczty w państwie tureckiem. Tablice Hübnera mówią tylko o Turcyi Europejskiej. Według Hécquarda, w r. 1901 funkcjonowało w całym państwie około 1,700 biur pocztowych, które miały dochodu 21 do 22 milionów piastrów (około 2 mil. rubli). Co się tyczy telegrafu, w r. 1905 było biur telegraficznych 927, które wysłały 6 milionów depesz; długość drutów telegraficznych wynosiła 68,764 kilometry. Funkcjonowanie służby telegraficznej jest lepsze, niż pocztowej, i wogóle odbywa się prawidłowo. Jest to jedyny może wydział administracyi państwowej, na który nie ma skarg.

Tak się przedstawia administracya wewnętrzna turecka.¹⁾ Nie odpowiada ona nawet prymitywnym potrzebom ludności. Nie zadawała nikogo. Jest nietylko ladajaka, ale wprost częstokroć wymierzona przeciw własnym poddanym. Turcy umieli wypędzać po za granice państwa, za pośrednictwem pogromów, najbardziej przedsiębiorcze żywioły gospodarcze. Pod ich ciężką ręką kraj bogaty zubożał do szczytu.

Jedyną troską długiego panowania Abdul Hamida było podobanie się muzułmanom. Czyniono w tym kierunku największe wysiłki. Ale, wywoławszy skutek tego tylko oderwanie się Rumelii wschodniej i Krety, administracyę nawpół europejską w Macedonii i niebezpieczne wrzenie wszystkich chrześcijan, nie zdołano natomiast pozyskać nic na terenie muzułmańskim. Po da-

¹⁾ O reformach w tym zakresie Młodoturków, którzy przyszedli do władzy dopiero przed paru miesiącami, mówić byłoby jeszcze zawcześnie.

wnemu Arabów, Kurdów, Druzów, Albańczyków, ba! samych Osmanów trzeba utrzymywać w karbach posłuszeństwa *manu militari*. Po dawnemu stałe powstania w Nedzedzie, Jemenie i wśród Beduinów. Po dawnemu nienawiść i pogarda względem Turków— „uzurpatorów,“ jest żywa w Arabii, w prowincyach syryjskich i mezopotamskich równie teraz, jak była dawniej. Niewątpliwie, jeśli idea pan-arabska nieco osłabła w ostatnich czasach (tylko zresztą wśród szerszych mas), to przypisać to należy zrzęczości Abdul Hamida. Lecz trzeba także przyznać słuszność uwadze p. Bérarda, że Abdul Hamid, poświęcając wszystko dla tej polityki „kalifowej,“ żył tylko i rządził dla niej, zaniedbując Turcyę i ludy ottomańskie. Życie prywatne i życie publiczne, administracya wewnętrzna i polityka zagraniczna, nie było ani jednego aktu i ani jednego gestu, któryby nie miał na celu zdobycia zaufania Arabów i Islamu, lecz jednocześnie za skutek kompromitowanie przyszłości Turków i Turcyi.

I cóż dziś widzimy?

Sułtan jest pod tyranią Wilhelma II, a jego ludy, nawet islamskie, a może przedewszystkiem one, pod opieką Anglii. Talenty polityczne Hamidowe wystarczyły tylko na zabezpieczenie teraźniejszości i to jakże chwiejne i wątłe!

II.

Kwestya reform wewnętrznych tureckich jest stara, jak świat, a od stu lat nie przestaje być na porządku dziennym polityki europejskiej, jednocześnie stanowiąc symbol tego, co się nigdy nie urzeczywistni. Istotnie, jak już to zaznaczyłem wyżej, całe stulecie ubiegłe jest w Turcyi szeregiem prób „reform,“ z których żadna, prócz wojskowej, nie weszła głębiej w życie. Sam Abdul Hamid wydał może setkę *iradów* i rozporządzeń, z góry wiedząc, że pozostaną one na papierze. Ks. Gorczakow nazwał je w swoim czasie „niezapłaconemi weksłami.“

Niektórzy autorowie europejscy, rozważając dzieje i stan obecny Turcyi, skłonni są przypisywać te niepowodzenia dążeń reformistycznych tureckich duchowi islamu, opierającemu się jakoby dogmatycznie wszelkim przekształceniom ustroju społecznego i państwowego na sposób nowożytny. Nawet tak ostrożny historyk, jak Seignobos, widzi w muzułmaninie główne źródło zastoju tureckiego. Niemniej zapatrywali się na sprawy ture-

ckie Palmerston i Gladstone. Można jednakże stwierdzić, że pod tym względem kwestya pozostaje nadal otwartą, jeśli jej nie należy nawet nazwać zgoła sporną. Cały szereg powag islamicznych utrzymuje całkiem co innego: że religia Mahometa wcale nie stoi na przeszkodzie ku reformom użytecznym, choćby one były wzorowane na przykładach i radach europejskich. Tak np. El Muak powiada: „Nie jest nam wzbronione iść za przykładem obcych, jeśli to się nie sprzeciwia przykazaniom Koranu. A Koran nie zabrania nam czynić to, co obcy radzą, przepisują lub pozwalają, tylko dlatego, że to pochodzi od obcych.“ Słynny uczony staroislamiczny Hanefi Mohammed ben Abedin dał podobną opinię: „Nie jest wzbronione naśladować obcych, jeśli tylko przez to dzieje się coś dobrego stworzeniu boskiemu.“ To samo mówił szejik ul islam Aarif-bej, słynny w pierwszej połowie XIX st., jako najpoboźniejszy człowiek swego czasu i wielki uczony. Gdy zaś zwrócimy się po opinię do europejskich znawców wschodu, to będziemy mieli przedewszystkiem świadectwo głośnego badacza islamu, Vambéry'ego, który powiedział: „Islam jest zdolny do reform, lecz przekształcenia muszą iść wolno... Ogłaszać Islam za nieprzyjaciela postępu jest śmieszne i złośliwe.“¹⁾

Próby reform tureckich szły w ostatnich stu latach z dwu źródeł: z inicjatywy i rady mocarstw europejskich (najczęściej Francji), a także wskutek ich nacisku, oraz z inicjatywy jednostek i klas oświeconych w Turcyi. W tym ostatnim kierunku na największą uwagę zasługuje t. zw. ruch młodoturecki, który wywołał w r. 1876 ogłoszenie konstytucyi, pozostałej zresztą bez śladów, a w roku bieżącym, 1908, ujawnił ogromną siłę zorganizowaną, zmusił Abdul Hamida do powtórnego ogłoszenia konstytucyi i wydaje się być przygotowanym do wywołania nowego życia w organizmie państwowym. Tylko rzucając oko wstecz, na dzieje tego ruchu, można będzie zdać sobie choć elementarną sprawę ze znaczenia i wartości jego w chwili bieżącej.

Ruch młodoturecki jest ruchem opinii publicznej oświeconej. Dopóki reformy wychodzą od jednostek, w swych dążeniach osamotnionych, muszą spełznąć na niczem. Reformy potrzebują poparcia oświeconych klas społecznych; częściej jeszcze—potrzebują ich inicjatywy. Właśnie ruch młodoturecki w pierwszej swej fazie ma dostarczyć tej ostatniej; kto wie zaś, czy teraz nie jest już w stanie dostarczyć pierwszego, t. j. tego, co jest najważniejsze: czynnego i zorganizowanego poparcia.

1) P. Bernard Stern *Jungtürken und Verschwörer*, Leipzig, 1901.

Lecz najpierw bierze na siebie tylko inicjatywę. Jest jeszcze za słaby, aby mózdz nakłonić i władcę i społeczeństwo do reform, ale już dość silny, aby zrozumieć potrzeby krajowe i nad apatją społeczną oraz biernością monarchy choćby chwilowo zapanować.

Początek ruchu młodotureckiego ustanawiają historycy ostatnich dziejów Turcyi na rok 1856, w którym sułtan Abdul Medżid, „pierwszy młodoturek,“ wypowiedział głośno opinię o przyczynach upadku wewnętrznego państwa. Sam, mimo najlepszej chęci, nie okazał się zdolnym do wcielenia w życie tego, co zamierzał. Przeciwnie, potępiając despotyzm sułtański, sam dał przeciw sobie oręż w rękę: reformatorzy po raz pierwszy ustanawiają zasadę, że nowe życie musi się zacząć od usunięcia ustroju absolutystycznego. Młoda Turcyja narodziła się w ten sposób w r. 1856. Idee rewolucyjne ogarnęły wszystkich: lud, armię, ulemów, nawet najwyższą administrację państwa. „W owej chwili—pisze Francuz o niemieckiem nazwisku, Engelhardt, który był naocznym świadkiem wypadków—istniała w Turcyi naprawdę opinia publiczna. Moje z tych czasów notatki zawierają dowody, że dawała się ona uczuć nie tylko w stolicy, ale i w całym państwie.“

Pierwszym urzędowym przywódcą Młodoturków był generał czerkieski, Hussein-pasza. Około niego zgrupowało się wielu ludzi, ożywionych ideami reformistycznymi. Hasłem ich było: Reformy w Turcyi dokonane przez Turków bez różnicy wyznania, *lecz nie przez Europę*; obalenie absolutyzmu; utworzenie ministerjum odpowiedzialnego i izby z członków wszystkich ras i wyznań. Była to pierwsza próba zorganizowania się, celem wymuszenia reform. Lecz czasy, sprzyjające temu śmiałemu celowi, szybko minęły. Osłabły w swych dążeniach wolnomyślnych Abdul Medżid wkrótce zmarł, a następcą jego, Abdul-Azis, niedługo liczył się z liberalnymi mężami stanu. Ale może właśnie dlatego idee rewolucyjne rozszerzały się coraz bardziej, ogarniając ludność muzułmańską nawet na prowincyi. W r. 1867 Chalil Szerif-pasza w odezwie drukowanej żądał „ustroju konstytucyjnego, który jeden tylko może Turcyę uratować i skonsolidować.“ Konstytucya — pisał on dalej — „przywróci wyższość państwa muzułmańskiego, wbrew intrygom rosyjskim, między ludami chrześcijańskimi Turcyi. Nie-muzułmanie przestaną słuchać obietnic z zewnątrz, gdy otrzymają wszystko od państwa — sprawiedliwość, równość wobec prawa.“

Abdul-Azis zwalczał ruch młodoturecki wszelkimi siłami i środkami. Pomogły mu do tego i same zajścia w łonie młodej

orgauizacyi. Wielu z tych, którzy się nazywali młodoturkami i głośną rozwijali działalność zagranicą, po wygnaniu lub ucieczce z kraju, pragnęło tylko łatwym sposobem zdobyć sobie sympatyę Europy i środki do życia. Wielu czekało tylko na skinienie sułtana, aby powrócić i na starą modłę życie prowadzić. Niektórzy rozumieli ducha postępu w ten sposób, że naśladowali czysto zewnątrznie zwyczaje i obyczaje europejskie, ubierając się w modne suknie paryskie, zaniedbując, lub zgoła wzgardzając przykazaniami koranu co do jadła i napojów. Byli i tacy, którzy w swym organie, wydawanym zagranicą p. t. *Muchbir*, oznajmili, że ich głównym celem musi być: „Przywrócenie czystego islamu pierwszego kalifa.“ Nawet rozpoczęto świętą wojnę przeciw niewiernym i szczerzo przeciw posłom tureckim w Londynie, Berlinie i Atenach, ponieważ nie byli muzułmanami, lecz tylko giuarami. To wszystko ułatwiało Abdul-Azisowi zwalczanie ruchu młodotureckiego. Jedni zostali kupieni, inni wygnani z granic państwa.

Tymczasem w Turcyi, po szeregu wahań, sułtan powołał do władzy Midata-paszę. Był to największy, najznakomitszy ze wszystkich reformatorów tureckich, człowiek o zasadach szczerze postępowych, rozumny wielbiciel i naśladowca Europy. Na stanowisku gubernatora (wali'ego) w Bagdadzie okazał niezmierną inicjatywę i wyjątkowe poświęcenie. Tępił rabusiów, zaprowadzał ład, wyszukiwał nowe środki produkcyjne, ulepszał komunikacye i higienę publiczną, zakładał fabryki, wodociągi, parki i szpitale. Po 5 latach takiej działalności został powołany do Konstantynopola. W tym czasie był już umarł dzielny reformator turecki, Fuad, a energia jego towarzysza, Ali'ego, wyczerpała się była zupełnie. Ten ostatni w końcu swej działalności męża stanu zbliżył się do młodoturków, przyjmując ich ówczesne hasło: „Turcyja dla Turków — reformy tureckie przez Turków przeprowadzone!“, oraz: „wojna przeciw obcym, podniesienie się państwa własną siłą.“ Francuscy instruktorowie i doradcy zostali odesłani do swej ojczyzny, potracili posady francuscy dyrektorowie szkół, oficerowie, finansisci. Gorączka zastępowania ich przez krajowców muzułmańskich zapanowała we wszystkich urzędach. Ruch ten po śmierci Alego podwoił się. Ale gdy wskutek tego wszystkiego zapanował chaos we wszystkich gałęziach życia państwowego, sułtan przywołał do swego boku Midata-paszę, który cieszył się już w szerokich kołach ludności sławą znakomitego administratora. Midat postawił sobie za cel: ograniczenie samowładztwa i podźwignięcie mas ludowych. Droga prasy i proklamacyi pozy-

skiwał dla swych idei nawet potężną organizację *softów*, studentów teologii, którzy poczeli głosić samodzielnie potrzebę równości wyznaniowej i gruntownych reform państwowych. Ogłosił taki program: panowanie prawa, równość wszystkich, wzmocnienie władzy „dywanu“ wobec „seraju“, wolność prasy, niezawisłość sądów, reorganizacja administracji z uwzględnieniem praw muzułmańskich, lecz według doświadczeń Europy, zmiana następstwa tronu, wychowanie europejskie książąt, małżeństwo monarchy z księżniczką europejską, a przez to zniesienie wielożeństwa. W d. 9 marca 1876 ambasadorowie i posłowie europejscy w Konstantynopolu otrzymali manifest patriotów muzułmańskich, zawierający potępienie egoistycznych dążeń Europy wobec Turcyi, a jednocześnie postulat co do porozumienia się mocarstw z przywódcami młodotureckimi (wskazano przedewszystkiem Midata) w celu złożenia z tronu Abdul Azisa i wprowadzenia reform niezbędnych. Zresztą manifest dodaje, że może udałoby się uniknąć i detronizacji sułtana. „Żądamy na razie nie parlamentu, któryby wszystkie kwestye rozwiązał, wszystkich prawa uporządkował, lecz tylko zgromadzenia narodowego, jako przeciwwagi absolutyzmu, skromnej instytucji według systemu angielskiego, ażeby nareszcie znikło skorumpowane panowanie, zamienione przez rozumny i liberalny zarząd.“

Położenie w Turcyi rzeczywiście było poważne. W prowincjach słowiańskich gorzała wojna powstańcza, Europa zaczęła interweniować, Anglia przedstawiła nowy plan reform, Rosya gotowała się do zbrojnego zatargu. Pojawił się nowy manifest młodoturków, zredagowany przez Midata-paszę; żądał on zaprowadzenia regencji. Softowie wysłali do sułtana petycję i domagali się w sposób stanowczy a krótki: dymisy wielkiego wezyra Machmuda i szejka-ul-islam. Sułtan przeraził się. Wypełnił wszystkie żądania. Mianował wielkim wezyrem Mehmeda Ruszdi-paszę, szejkiem-ul-islam Chairullaha-efendiego, ministrem wojny Husseina Awni'ego-paszę. Wszyscy ci ludzie byli ramionami sprzysiężenia, którego głową był Midat. Abdul Azis spostrzegł się, lecz już było zapóźno. Dnia 30 maja 1876 r. złożono go z tronu i zamordowano. Jego następcą został Murad V.

Młodoturcy sądzili, że przyszła nareszcie chwila panowania instytucji liberalnych według wzorów europejskich, przyczem nie pragniono zniesienia praw zwierzchniczych muzułmanizmu. Midat był wszystkim, przed nim skłaniało się wszystko, był dyktatorem. Młodoturcy stanęli u szczytu wymarzonego. Midat posiadał olbrzymi wpływ, jak nikt nigdy przed nim. I nie tylko wpływ, lecz

także nieograniczone zaufanie.¹⁾ Ogólnie sądzono, że ogłosi on republikę i sam stanie na jej czele. Wszyscy wybitni młodoturcy otrzymali wysokie stanowiska, na które tak długo czekali. Prasa uzyskała wolność. W organie młodotureckim *Waket* (Czas) roztrząsano najśmielsze zagadnienia.

Tymczasem Murad okazywał objawy obłąkania.²⁾ Po 93-dniowym panowaniu zdecydowano się złożyć go z tronu i powołać na sułtana brata jego, Abdul-Hamida II. Aby zaś nowego władcę zastraszyć i w obliczu faktów prawie dokonanych postawić, Midat ogłosił d. 1 listopada 1876 r. w organie młodotureckim *Iftihad*, że konstytucya z parlamentem i senatem musi być i będzie nadana.

Do takiego kroku zniewalały także i wypadki zewnętrzne. Płomień rewolucyjno-narodowy ogarnął cały półwysep Bałkański, a Europa groziła zwołaniem konferencyi, mającej zdecydować o losach Turcyi. Trzeba było temu niebezpieczeństwu przedewszystkiem szybko zaradzić. Konstytucya—według idei Midata—musiałaby stłumić wrzenie i uspokoić Europę. Byłaby ona świetnem znamięm energii i żywotności tureckiej. Przez nią złożyłby rząd turecki dowód, że jest w stanie samodzielnie wielki problemat reform rozwiązać. Nowy sułtan zrozumiał tę efektowną stronę proponowanej reformy. Dnia 23 grudnia 1876 r., t. j. w tym samym dniu, w którym miała rozpocząć w Konstantynopolu obrady międzynarodowa konferencya o losach Turcyi, ogłoszono konstytucyę turecką.

Główne punkty tej konstytucyi—po turecku *Kanun i Essassi*, czyli prawo zasadnicze—były: niepodzielność państwa ottomańskiego; sułtan jest nietykalny i nieodpowiedzialny, jego osoba jest święta, jest on Kalifem islamu, protektorem religii mahometańskiej, padyszachem wszystkich Ottomanów bez względu na ich wyznanie; mianuje on i odwołuje ministrów, rozdaje urzędy, stopnie, tytuły, ordery, bije monety, zawiera traktaty z mocarstwami, ogłasza wojnę i zawiera pokój, jest głównodowodzącym armii i floty, wprowadza prawa w wykonanie, zatwierdza lub kasuje wyroki sądowe, zwołuje parlament, odracza go i rozwiązuje. Wszyscy poddani otrzymują rękojmię swobód osobistych. Islam jest religią państwową, ale jednocześnie zapewnia się swobodne wyko-

¹⁾ B. Stern, l. c. str. 157.

²⁾ Kwestya zresztą sporna. Heequard utrzymuje stanowczo, że detronizacya Murada nastąpiła jedynie wskutek zgrzeszonych intryg Hamida.

nywanie wszystkich innych przez prawo uznanych obrządków religijnych. Prasa jest wolną. Zapewnia się prawa zgromadzeń, wolność nauczania, równość wobec prawa, równość przy zajmowaniu urzędów publicznych. Ministrowie są przed parlamentem odpowiedzialni. Parlament składa się z dwu izb: senatu i izby deputowanych. Zbierają się one 1 listopada każdego roku i zasiadają w ciągu czterech miesięcy, sułtan wszakże może zmienić ten termin według okoliczności. Posłowie są nietykalni. Inicyatywa praw należy zarówno do ministryum, jak do obu izb. Prezes i członkowie senatu mianowani są bezpośrednio przez sułtana dożywotnio z pośród ludzi conajmniej 40-letnich. Liczba deputowanych określona była w ten sposób, że jeden deputowany przypadał na 50,000 mieszkańców. Wybory były tajne. Poseł musiał liczyć conajmniej 30 lat. Co 4 lata następują nowe wybory. W razie rozwiązania izby w ciągu 6 miesięcy musi się zebrać nowa izba. Każdy poseł otrzymuje 20,000 piastrów rocznie. Prezes i obadwaj wiceprezesi izby są obierani przez sułtana z zatwierdzonej przez izbę listy dziewięciu kandydatów. Posiedzenia izby są jawne, gdy do posiedzeń senatu są dopuszczani jedynie jego członkowie oraz ministrowie i ich zastępcy.

Jednocześnie przekształcono sądownictwo na sposób europejski, ustanowiono zasadę decentralizacyi w administracyi prowincjonalnej, w której uwzględniono szeroko idee samorządne, zaprowadzono obowiązkowe nauczanie początkowe. W końcu powiedziano: zmiany w konstytucyi muszą być zawotowane przez większość $\frac{2}{3}$ izby poselskiej i przyjęte przez takąż większość senatu oraz sankcyonowane przez sułtana. Interpretacya praw należy do izby kasacyjnej w sprawach cywilnych i karnych, do rady stanu w sprawach administracyjnych i do senatu, gdy chodzi o prawa konstytucyjne.

Konstytucya ta niezupełnie odpowiadała zamiarom Midata. Pragnął on zupełnego oddzielenia sułtanatu i kalifatu. Dążył do usunięcia ustroju teokratycznego, będącego główną przeszkodą do reform. W ten sposób myślał on o przywiązaniu wszystkich poddanych do ojczyzny ottomańskiej, o utworzeniu patryotyzmu ottomańskiego wśród chrześcijan, zrównanych całkowicie w prawach. Ten plan spotkał się z oporem *ulemów* i nie został całkowicie wykonany.

Nic zresztą nie weszło w życie z tego, co zamierzał wielki reformator turecki. Jakkolwiek rząd turecki, zawiadamiając państwa europejskie o konstytucyi, nie omieszkiał zwrócić uwagi, że „konstytucya nie jest obietnicą, lecz formalnym i istotnym aktem,

który stał się własnością wszystkich Ottomanów," słowa te nie miały nawet na chwilę wartości realnej. Izba składała się tylko z kreatur rządowych, będących echem rady państwa; nazwano szyderczo posłów *Ewet-effendim* (pan Tak). Midat, wielki wezyr i naczelnik rządu, już w lutym 1877 r. popadł w niełaskę: wygnano go na zasadzie art. 113 konstytucyi, udzielającego sułtanowi prawa usuwania z granic państwa osób „szkodliwych.“ Posła, który o to interpelował w izbie, aresztowano. Ostatecznie izbę rozwiązano, aby jej już nigdy nie zwołać. Naród jest jeszcze nie dojrzały — oznajmił sułtan. Poczem przywołano jeszcze raz Midata, aby—postawić go przed sądem za „zdradę stanu.“ Midat w obronie swej nie wyrzekł ani słowa, został skazany na śmierć. Lecz Abdul-Hamid był wspaniałomyślny: wygnął go jeszcze raz do Arabii, aby go tam wkrótce potem siepacze cesarscy zamordowali. To samo stało się z szeikiem-ul-islam Hassanem Chairullahem-effendim i z innymi przywódcami młodotureckimi.

Taki był koniec krótkich rządów Młodej Turcyi.

Od tego czasu, w ciągu trzydziestu lat, ruch młodo-turecki poszedł w podziemia albo organizował się zagranicą. Od czasu do czasu tylko świat dowiadywał się o jego istnieniu, o jego nurtowaniu z wielkich procesów, aresztowań i prześladowań, przedsiębranych przez rząd sułtana. Najwięcej ofiar dostarczała w tym kierunku szkoła wojskowa, która już przy detronizacji Abdul-Azisa wielką odegrała rolę. W r. 1895 aresztowano i skazano 25-iu jej studentów. Jeszcze poważniejsze wybuchały rozruchy w szkole wojskowo-medycznej, w r. 1897 np. aresztowano i skazano 56-iu studentów. W ostatnich latach także setki adwokatów, lekarzy, *softów* i oficerów stawało pod zarzutem „zdrady stanu“ i powiększało liczbę wygnańców. Między nimi był np. pułkownik Szefik-bej, szwagier i adjutant ministra wojny, dalej ochmistrz Izzef-pasza z przydomkiem Gisell (piękny), wnuk wielkiego reformatora Fuada, następnie poseł w Madrycie, wreszcie Achmed-Riza, jeden z najwybitniejszych i najszlachetniejszych przywódców ruchu liberalnego. Ten ostatni jest synem zmarłego Ali-beja, znanego w Konstantynopolu pod przydomkiem *Inglis* (Anglika), wydawał pismo młodotureckie *Meszweret* i cieszył się ogromnym wpływem wśród liberałów tureckich. Skazany był zaocznie na śmierć, lubo odznaczał się zawsze poglądami wielce umiarkowanemi. Drugi przywódca młodoturków, adwokat Izzet-effendi, pownego dnia zginął nagle i odtąd nigdy nie o nim nie słyszano. Utrzymują, że sprzątnięto go w drodze na wygnanie. Nawet wśród żywiółów,

protegowanych przez sułtana, wśród *softów* i *ulemów* ruch liberalny dawał się w ostatnich czasach uczuwać z rosnącą siłą.

Główna wszakże organizacja młodoturków i ich ożywiona działalność przeniosła się zagranicę, do Francji, Anglii, Szwajcaryi. Tam się skonsolidowała, ale w wielu razach i zwyrodniała. Jak już o tem wspominałem wyżej, wielu z t. zw. młodoturków okazało się zwykłymi karyerowiczami, czekającymi tylko na chwilę, aby być przywróconymi do łaski sułtańskiej i stać się powolnem narzędziem w rękach starego rządu. Tak było np. z wydawcą paryskiego organu młodoturków *La Turquie contemporaine* i z wydawcą londyńskiego czasopisma *La Turquie libre*. Były komisarz w *Dette publique* w Konstantynopolu, Murad-bej, a później wydawca rewolucyjnego pisma p. t. *Mizan*, okazał się zwykłym filutem, gotowym na wszystko dla kariery. Wydawca pisma *Hurriet* w Londynie powrócił pokornie do ojczyzny, gdy mu sułtan udzielił koncesyi na... wodociągi w Bejrucie. Coś podobnego stało się i z innymi przywódcami ruchu młodotureckiego, jak Szefteti-bej, Galib-bej, Tarrussi-Zade-Munif-effendi, Tunali-Zade-Hilmi-bej i inni. Achmed-bej, członek genewskiego komitetu młodotureckiego, został później tureckim *attaché* wojskowym w Belgradzie; Nazif-bej, działacz młodoturecki w Paryżu, został sekretarzem generalnym gubernatorstwa w Brussie, zaś straszny wiceprezes komitetu młodotureckiego w Paryżu, Emin Arslan, był do ostatnich czasów konsulem tureckim w Paryżu.

To wszystko odejmowało wiele siły moralnej organizacji młodotureckiej, a Europę napawało sceptycyzmem co do wartości prądów liberalnych w Turcji. Przeważało mniemanie, że agitacja młodoturecka nie posiada na miejscu żadnego gruntu pod nogami i, jako taka, musi zwyrodnąć lub zniknąć. Nie doceniano jednak zarówno samego tego ruchu zorganizowanego, jak samorzutnego budzenia się ludu tureckiego do nowego życia. W samym Konstantynopolu powstało, jeśli tak można powiedzieć, stronnictwo „liberałów“, liczących wśród siebie nawet generałów, a dążących drogą powolnej ewolucyi do zmiany istniejących stosunków na lepsze. Do nich zaliczał się głośny, nieustraszony Ismael-Kemal-bej, a także radca stanu Wassilaki-bej oraz Mehemed-Ubejdullah-bej. Wszyscy oni byli przeciwnikami rewolucyi. „Rewolucya — mówił przed paru laty ten ostatni — powiększyłaby tylko zamieszanie, prawdopodobnie wywołałaby nawet niebezpieczeństwo dla samego istnienia państwa.“ Zalecano zatem solidarne działanie wszystkich patriotów w kierunku wywarcia pokojowego nacisku na sułtana. Takich samych poglądów trzymała się większość

oficerów, wśród których propaganda młodoturecka, zwłaszcza wychodząca z kół bardziej umiarkowanych, wykazywała w ostatnich czasach ogromne postępy. Zresztą sułtan czynił wszystko, aby liberałów pchnąć na drogę rewolucyjną. Prawie wszystkich ich przywódców aresztowano i zesłano, ci zaś, którzy zdołali zbiedz, przejmowali się ideami radykalnemi. Tak np. Ismail-Kemal podsycał z Aten ruch rewolucyjny wśród Albańczyków.

Powstała cała literatura, mająca na celu przekonanie muzułmanów, że poddanie sułtana pod kontrolę przedstawicielstwa ludowego nie klóci się z przykazaniami Koranu. Powoływano się na słowa samego Mahometa, komentowano orzeczenia dawnych kalifów, zaprzągnięto do mądrych interpretacyj islamicznych najlepszych prawników muzułmańskich. Jeden z tych ostatnich, El Gasei, dowodził, że sami kalifowie zawsze bardzo „pragnęli“ być kontrolowanymi. Kalif Omar i kalif Mauhia „marzyli“ o tem.

Tak czy owak, poruszono wszystkie środki i sprężyny, aby wytworzyć silną opinię publiczną, zdolną do wywarcia nacisku na stary porządek rzeczy. Powoli też hasła konstytucyjne stawały się dobytkiem wszystkich klas oświeconych, nie wyłączając *softów* i *ulemów*. Najwięcej zaś może przyjęły się w armii, liczącej wśród siebie wielu ludzi, nietylko znających bezpośrednio ponęty cywilizacji europejskiej, ale i odczuwających dobrze niebezpieczeństwa anarchii tureckiej wobec dążeń tej właśnie cywilizowanej Europy. To też kiedy przyszła chwila odpowiednia, Abdul-Hamid uczuł się odosobnionym. Ze zaś społeczeństwo było już dobrze przygotowane do zmian, które nastąpić miały, więc przekształcenie ustroju państwowego nastąpiło bez zwykłych wstrząśnień. Ogłoszenie w lipcu 1908 r. konstytucyi tureckiej odbyło się w sposób, który zdumiał cały świat cywilizowany. Czy jednak ma to być świadectwem trwałości i siły nowego ustroju państwowego Turcyi, o tem sądzić byłoby jeszcze zawcześnie.

O duchu, ożywiającym zwycięski ruch młodoturecki, nie można wiele wywnioskować z dotychczasowych aktów nowego rządu. Zauważono, że po okresach reform w r. 1839 i 1856, po przesileniu „modernizmu,“ Turcyja okazywała się jeszcze bardziej muzułmańską i azyatycką, silniejszą co prawda militarnie, ale i skłonniejszą do uciemieniania narodów chrześcijańskich. Jest to właśnie, co obecnie, zdaje się, najbardziej niepokoi zarówno ludy bałkańskie, podległe sułtanowi, jak państewka bałkańskie, a także niektóre mocarstwa europejskie. Obok obawy, że Turcyja silna postawi tamę apetytom zaboreczym swych sąsiadów, istnieje i inna, że odrodzenie państwa ottomańskiego zacznie się nie od tych reform we-

wewnętrznych, które zapewniają sumienną i uniejętną administrację, podniesienie sił wytwórczych krajowych, dobry wymiar sprawiedliwości, lecz od podsycańca uczuć i dążeń nacyonalistycznych. Pan Hécquard utrzymuje, że „Turek zawsze pozostanie Turkiem,“ t. j. niezdolnym do przyjęcia cywilizacji europejskiej, wyłącznym i fanatycznym. Nawet ci Turcy, którzy otrzymali wykształcenie w Europie, „powracają do domu jeszcze bardziej zamknięci w swej turecczyźnie, niż byli poprzednio.“ Pogląd ten, którego nie można obronić przed zarzutem powierzchowności, jest bardzo rozpowszechniony w Europie i nie pomaga bynajmniej młodym reformatorom do spokojnego oddania się swej pracy. Co się tyczy rzekomych czy prawdziwych tendencyj pan-islamickich młodoturków, interesującą w tej sprawie opinię znajdujemy w liście księcia Sabah-ed-Din, sultańskiego siostrzeńca, wygnanego do Paryża, który w r. 1906 pisał do sir Edwarda Grey'a:

„Abdul-Hamid II nigdy nie traktował kalifatu z punktu widzenia wszystkich prawdziwych uczniów pan-islamizmu. Jedyną racją, dla której polityka religijna ma powodzenie w Konstantynopolu, jest ta, że można w ten sposób wywierać wpływ na muzułmanów z wnętrza państwa. Ze wszystkich ludów islamickich Turcy, z powodu położenia geograficznego ich kraju, byli najskłonniejsi do przyjmowania idei Zachodu cywilizowanego, które potężnie pociągają młodoturków i mają ich serdeczną sympatyę... Gdy obecny rząd powstrzymał rozwój ekonomiczny narodu tureckiego, najświetlejsi przedstawiciele Młodej Turcyi poświęcili się studjom intelektualnym i, mocą dzielnych wysiłków, zdobyli czysto współczesne wyobrażenia i pojęcia. Nie na tym też gruncie, obrobionym i pozbawionym wszelkich zarodków fanatyzmu, mogłaby krzewić się polityka reakcyjna i anti-europejska.“

W dalszym ciągu książce Sabah-ed-Din potępia dążenia teokratyczne kalifatu: „Te dążenia uczyniły rząd obecny niepopularnym; można być pewnym, że jego następcą nie będzie mógł pójść w te ślady; Turcyja odczuwa potrzebę stosunków poprawnych, jeśli nie przyjacielskich, z innymi mocarstwami i nie może podtrzymywać ligi muzułmańskiej bez zwrócenia przeciw sobie tych państw, które posiadają poddanych muzułmańskich. Wraz z tryumfem liberalizmu wielki wpływ moralny, który posiada Konstantynopol wśród islamu, otrzyma charakter intelektualny.“

Pomimo to, ten przywódca młodoturków uznał, że Turcyja „liberalna“ i „intelektualna“ byłaby gotową podjąć politykę kalifową, nie jako środek ucisku na wewnątrz i ekspansyi na zewnątrz, lecz jako środek obrony: „W języku popularnym słowo pan-islama-

mizm wyobraża reakcyę Wschodu przeciw Zachodowi, który, niezawsze działając w sensie pacyfikacyjnym, częstokroć był agresywny, a nawet brutalny. Nie jest niemożliwym, że Wschód lub część Wschodu, popychany obawą, słuszną lub fałszywą, znalezienia się w pozycji zależnej, może być sprowadzony do sympatyzowania z doktryną pan-islamiczną, w nadziei znalezienia tam czynników ostoi we wszystkich krajach muzułmańskich, ostoi, przez którą jedność narodu byłaby ocalona. Lecz polityka pan-islamiczna nie jest wybuchem fanatyzmu; jest to raczej wyraz niezadowolenia, spowodowanego przez stałe wdzieranie się mocarstw europejskich... Dwa światy stoją obecnie w obliczu siebie. Jakże tedy będą ich przyszłe stosunki? "

Tem pytaniem zakończył książę-młodoturek swój list, nie przeczuwając zapewne z należytą dokładnością, jak dalece stawia kwestyę aktualną, będącą w najwyższym stopniu na dobie. Po dwu latach świat cywilizowany stawia sobie pytanie: co będzie z tą Turcyą konstytucyjną, pójdzie-li ona na drogę odrodzenia wewnętrznego według drogowskazów historycznych cywilizacji starszych, czy też będzie usiłowała wzniecić stare elementy siły Islamu? Pytanie to jest równie pełne wagi dla Europy, jak dla samej Turcyi. W innym artykule będę usiłował przedstawić trudne stanowisko Turków w całym zagadnieniu Islamu, który na nowe tory rozwoju wejść nie chce, a na starych nie pragnie mieć za przywódców „uzurpatorów mongolskich.“

Ze młodoturcy liczą się poważnie ze wszystkimi temi niepospolitemi trudnościami, dowodzi wybitnie ich całe działanie w sprawie obecnego przewrotu konstytucyjnego, nacechowane najwyższą ostrożnością i roztropnością. Dokonanie rewolucyi bez środków rewolucyjnych miało na celu: zachowanie popularności Turków w świecie muzułmańskim, uniemożliwienie interwencji europejskiej i uspokojenie krajowców chrześcijańskich. To też w przewrocie lipcowym uderza nas przede wszystkim, że zaniechano dawnej, popularnej myśli detronizowania Abdul-Hamida. D-r Nazim-bej, delegat komitetu „Jedności i Postępu ottomańskiego“ (organizacji młodotureckich) w Smyrnie, mówił niedawno do korespondenta paryskiego *Temps'a*:¹⁾

„Sultana utrzymaliśmy na tronie, ponieważ nie chcemy zbytich wstrząśnień w kraju, ponieważ pragniemy *à tout prix* usunąć możliwość interwencji europejskiej. Kalif posiada jeszcze

¹⁾ *Le Temps* z dn. 25 sierpnia 1908 r.

olbrzymi autorytet moralny: nowe reformy zatem muszą posiadać podpis cesarski.“

Tak więc widzimy, że Młodoturcy posiadają wiele z tych przymiotów, które składają się na wielką sztukę rządzenia. Czy jednak wystarczą im one, aby pokonać piętrzące się ze wszystkich stron trudności? Czy nie jest to zadanie nad siły pogodzić antagonizmy wewnętrzne, powstrzymać dążenia odśrodkowe chrześcijan, uspokoić obawy muzułmanów, być mocarstwem z ducha i faktu europejskiem a jednocześnie kalifatem, stłumić ambicje władców arabskich i osłabić afrykańskich władców muzułmańskich, zatrzymać akcję rozbiorową na tem, co się już stało, i zapewnić Macedonii, Armenii, Albanii, Syryi, Arabii to, co zaspokoiłoby wszystkich? Nie jest-li to kwadraturą koła odradzać się wewnętrznie przy tylu najwyżej napiętych niebezpieczeństwach z zewnątrz i z wewnątrz? Oto pytania, przy których stawianiu z góry już nie można się obronić przed sceptycyzmem.

BOLESŁAW KOSKOWSKI.

HANKA.

Idzie maj. Przestworzem płynię pieśń.

„Szumi Dniepr bystry wzdłuż po Ukrainie,
I modrą falą aż do morza płynie,
Choć go wstrzymują porohy skaliste,
Jak rumak pędzi po stepie zielonym,
Zdaje się chlubić, że ma wody czyste
Niezakłócone piaskiem zamulonym.
Po jego brzegach wierzbina wciąż płacze
Korytem płyną i dumki Kozacze.

Hen tam na górze usiadł Kijów stary
Co dziesięć wieków włożył na swe bary;
Zgrzybiały feniks — potężny przed laty,
Z własnych popiołów nanowo wskrzeszony
Przywdziawszy nowe połączone szaty,
Na świat znów świeży spogląda zdumiony,
Słucha jak świętyń brzmia poważne dzwony,
Co wiatr zanosí aż w dalekie strony...”

W powietrzu rozeszła się woń pękowia, osypującego krzaki i drzewa; w zieleni stanęła góra Aleksandra; ogród Włodzimierski, kupiecki, botaniczny i *square'y* zamigotały różnobarwnym tłumem, gromadkami wesołych dzieci. A w dole u stóp miasta rozłożył się Dniepr prastary. Leniwie rozciągnął się na przedmieściu niskiem Słobódce i na świetnym ongi Padole. Leży spokojny, jakby potwór uśpiony o morskim kolorze, a tam gdzieś, gdzie się niebo w wodach jego przegląda, widnieje wążka smuga boru.

Z powiewem wiosny do miasta wpadł wir świeżego życia, świeżych sił, świeżej radości.

Więc cieszą się ludzie i z dnia pięknego, i śpiewu ptaka, i woni ziela, biegają gnani nadmiarem energii, uśmiechnięci, pełni nowych nadziei, które się nigdy ziścić nie mają, pełni jakiegoś nieokreślonego szczęścia; w głowach im huczy od myśli i krew raźniej tętni w żyłach--a bóg Chronos patrzy kędyś z majestatu tronu swego i uśmiecha się drwiąco.

— Przejdzie i to przejdzie! — głową kiwa.

W mieszkaniu na Złotowrockiej zamieszanie. Stoją porozwierane wielkie kufry podróżne, pani Zaniecka, Hanka, służba cała, kto żyw pakuje. Tego roku wcześniej wyjeżdżają na wieś. W Kijowie dom się zwija, mieszkanie zamyka, szwajcarowi wręcza się klucze i aż na pięć miesięcy do Medówki się wszyscy przenoszą.

Nadchodzi dzień ostatni. Hanka żegna się z miastem. Rano jeszcze biegnie z Paulą i Linką na Kreszczatik. Dziewczynki zaglądają do każdego znajomego magazynu, nie zapominają nawet o starej straganiarce z bramy, która zimą pomarańcze, a teraz kwiaty roznosi, kupują cały pęk fiołków na drogę.

O piątej po raz ostatni idą na nabożeństwo majowe. Na schodach, jak zwykle, stoją rzędem studenckie mundury, jest ich dziś tak wiele, jakby cały uniwersytet pod kościół się przenieść zamierzał. Młodzież ma miny rzadkie, żal im dziewczynek. Był to codzienny cel spacerów: „chodźmy na Kreszczatik“ lub „do kościoła zobaczyć Zanieckie,“ i oto teraz ma tego celu zabraknąć. Zostanie próżnia.

One również zasmucone przeciskają się na miejsca swe zwykłe i choć patrzą w książeczki usiłując się modlić, przed oczyma rysują się wyraźnie czapki studenckie.

Wieczorem Oleńka z matką są w kupieckim, muzyka gra *amoureuse* Walc miłości, a na ławce naprzeciw siedzi Sasza. Nie patrzy na nikogo, opuścił w dół głowę, wzrok wbił w ziemię. Do Oleńki podchodzi baron Artur Groger, wtedy Sasza jakby nie patrząc, odczuł to, zrywa się i biegnie w cień ponad przepaście, skąd widać Dniepr błyszczący światłkami statków i łodzi. Z góry św. Włodzimierza mruga setką oczu elektrycznych krzyż olbrzymiego posągu kniazia-władcyki.

Sasza widzi jeno przed sobą głuszę i ciemną niezmierną. Odjazd Oleńki zrywa urok co go otaczał, gwałtownie pryska zasłona czaru. I przyjdą długie dnie smutku, tęsknoty, zostanie sam ze swym bólem, a o niej nie będzie wiedział nic, nic!

Okryje ją milczenie swym płaszczem.

I ona może za mąż pójdzie tymczasem. Sasza wzdryga się. O kilka kroków dalej, o balustradę oparta, stoi Oleńka cała biała w bladym świetle księżyca. Pusto tu, student nie śmie się ruszyć, by wizyi nie spłoszyć, ale ona już odchodzi i tylko na białym drzewie baryery czerni się pozostawiony bukciecik fiołków. Sasza podnosi go do ust. Już koniec.

Na stacyi mimo późnej godziny gwarno: to krewni i znajomi odprowadzają Zanieckie; nawet Kuderynowa z Romą przyjechały Paulę i Linkę pożegnać. Dziewczynki jadą do ciotki na kilka tygodni.

Podają pociąg, stoją wszyscy na peronie rozmawiając urywanie, gorączkowo, lecają zapytania, na które nikt nie czeka odpowiedzi, krzyżują się zdania, wypowiedziane z pośpiechem; Hankę obejmuje jakiś dziwny niepokój, ogromnie męczący; chciałaby już jechać, dość ma scen czułości, serce jej bije mocno, czeka niecierpliwie na coś, co się jakby zaraz ma stać, ale nic się nie staje, tylko Oleńka wybucha płaczem. Hanka jej nie rozumie, nie po raz pierwszy przecie Kijów opuszczają i nie na wieki rozstanie; patrzy na siostrę zdziwiona, a ta głowę ukryła w więź kwiatów przez Artura przyniesioną i łka.

— Panno Aleksandro, co pani? — nachyla się nad nią Artur, lecz Oleńka odwraca się gniewnie.

Nagle dzwonek. Pożegnania, ruch, ostatnie całusy i pociąg rusza ociężałe jak wielki gad, który się zbiera do skoku. Dziewczęta stoją w oknie, machając chusteczkami. Gromadka z peronu rzuca jeszcze za niemi kilka słów urywanych i wagon z oświetlonego kręgu stacyi pogrąża się w mrok. Pod filarem miga coś niby czapka studencka, Oleńka kryje się w róg kanapki i łzy wielkie, perliste płyną jej wolno po twarzy.

*

*

*

Medówka!

Uciszyły się wichry stepowe, od pól idą ciepłe pachnące powiewy, z dali biegną echa głosów, co dawno ucichły, błędzą po manowcach szerokich, po stepach nieskończonych, po jarach i kurhanach zielonych. Wzrok z ciasnoty miejskiej wyrwany od krań-

ca do krańca widnokregu szerokie myślom zatacza kolisko i myśli te unoszą się lekkie, barwne jak owe złotawe na wschodzie obłoczki, a tak pogodne jak jasny ten błękit nad głową. Drzewa stoją w puchach śnieżnych, we mgle białej giną sady wiśniowe i płaty białego kwiecica na drogę się sypią.

Cisza.

„W ciszy i skupieniu dojrzewa duch ludzki...“

„W ciszy i skupieniu poznaje prawdę bożą w sobie zawartą.“

W ciszy i skupieniu jaźń człeczca przychodzi do świadomości i naprzeciw siebie myślącej siebie bytującą stawia...

I płynie nieświadome dobro i piękno... dwie strony tego zjawiska, którego trzeciem obliczem jest prawda. A słowa poety dźwięczą:

„Ten co się o prawdę kusi
Duchem swym wystąpić musi
Z granic czasu i przestrzeni,
A przejść miedzę omamień i znikomych cieni.“

I w ciszy tej przeogromnej uspokaja się wybuch ducha ludzkiego, buntującego się wiecznie przeciw tyranii natury, ducha pragnącego uchwycić syntezę swego istnienia, ducha przytłoczonego bezmiarem wszechświata i rozbijającego się o ciasne granice własnego samopoznania.

I toczy się w przepaść całe królestwo tęsknot i wizyj ziemskich, męka życia, męka pragnień, wzlotów, uniesień, męka istnienia...

I płynie błogość w ten piękny dzień majowy, ziemia dyszy rozkoszą łagodną:

„I było cicho, jak w owe chwile poprzednie
stworzeniu wszechświata, gdy w przepastnej bezdni
na łonie bezczynności, wrzało sobie skrycie,
to następnie przez Stwórcę wywołane życie.“

Stójcie godziny! zawieś lot swój o czasie!

On nie słucha...

*

*

*

Jakoś w końcu lipca na imieniny HANKI przyjeżdża dziadek.

— No panienki, zgadujcie kogo wam przywiozłem — rzuca wnuczkom spieszącym do bramy na jego spotkanie.

HANKA, jak wiewiórka zwinna, czepia się skrzydeł powozu i tak uwieszona rękę staruszka całuje.

Obok siedzi chłopak szczupły, opalony, w białym kitlu i czapce studenckiej.

— Cóż nie poznajesz HANECKO? — bada uśmiechnięty staruszek.

— Chyba STEFAN — mówi HANKA niepewnie.

-- On sam — wita się student.

Kuzynki mało go znają, jest to syn jedyne go ich wujka, osiadłego gdzieś w Kurlandyi i bardzo rzadko odwiedzającego rodzinę.

Na powitanie starego Kotwicza wysypują się wszyscy domownicy. Człowiek ten bez żółci, o łagodnym wejrzeniu siwych oczu i wielkich mlecznych wąsach ma mir u ludzi. HANKA go kocha ogromnie. STEFANA przyjmują serdecznie, oglądają naokoło z namaszczeniem, WITEK szczególnie rad z gościem pokazuje zęby w szczerym uśmiechu. Nowoprzybyły wysłuchać musi całej litanii osób z rodziny, do których ma być podobnym, dowiaduje się bez metryki, za pomocą porównań, ile może mieć lat i w końcu kilkakrotnie zginać się musi w ukłonach, dziękując za komplementy i świetne horoskopy co do swej przyszłości.

Śniadanie wybawia go od dalszej nudy. Potem dziadek, zmęczony podróżą, idzie na godzinkę odpocząć, a STEFANA OLEŃKA i WITEK zaciągają do ogrodu na łódkę. Oleńka jest w białej bastykowej sukience bez kołnierzyka i wygląda jak wiochna. Chłopak spogląda na nią przez chwilę badawczo i określa jednym słowem:

— Mięso!

Lecz ona niema pojęcia o tym epitecie, uśmiecha się czarownie, rwie kwiatki przydrożne i rozpytuje go ciekawie o dom, rodziców, towarzystwo, karnawał. Opowiada, jak jej lato zeszło monotonna, jaki tu brak sąsiedztwa, jak ona czeka tej chwili powrotu do Kijowa. Dowiaduje się, iż STEFAN nie lubi zabaw, towarzystwo panien go nudzi, a taniec nazywa „zawracaniem gitary nogami!“ flirtu zaś nie uznaje zupełnie.

— Australczyk — myśli dziewczyna urażona i przestaje nim się zajmować. Wkrótce zdaje go bratu, a sama powraca do domu.

WITKOWI grzęznącemu stale w czytaniu „Trzech muszkieterów,“ „Wicehrabiego de Bragelonne et compagnie“ imponować zaczynają poglądy STEFANA, laskawie przed nim roztaczane. Chło-

pak twierdzi stanowczo, iż ponad swem „ja“ nie uznaje żadnego autorytetu, gdyż czas już raz wydobyć się z pieluch zinurszałych przesądów; przekonania starszaków według niego są jedynie więzieniami moralnemi, więc też on pragnie wyzwolić czyn z elementów przymusowych. Peroruje długo w ten sposób mile łechtany skupioną uwagą Witka, który otworzywszy nieco usta, połykać się zdaje każde jego słowo.

Witek jest to bardzo miły chłopak, ongi rozmaitemi sposobami przepychany z klasy do klasy, obecnie zapracowany w polu dobry gospodarz, marzący stale o odpoczynku w zgiełku *café-chantanów* kijowskich.

— Wiesz, nie podoba mi się wcale Stefan—mówi Oleńka, gdy brat przyszedł wyciągnąć ją do salonu, bo jego na tok wzywają.

— Et, co wy się znacie! setny chłopak, nie podoba się wam gdyż za mądry dla was!

Witek usiłuje zawsze okazać siostrom swą wyższość umysłową człowieka, który ukończywszy sześć klas rządowego gimnazjum, nauczył się na „podstawach matematyki, logicznego myślenia.“ Ale Oleńce to najzupełniej obojętne; ona ma logikę wrodzoną i nie zastanawia się bynajmniej nad jej genezą, tymczasem siedzi pogrążona w romansiku francuskim „*Amitié amoureuse*“ i najmniejszej niema ochoty bawić gościa.

— Niech Hanka idzie!

Hanka jest dosyć dzika, Stefana tyle lat nie widziała, onieśmiela ją przytem ton mowy jego stanowczy, wolałaby pozostać w swoim pokoju. Jednakże wyprawiają biedaczkę pomimo oporu.

Zastaje go w salonie przeglądającego książki.

— I wy to czytacie? zbiór z epoki archaicznej! — palcem dotyka „Grzechów Hetmańskich“ i „Żyda“ w ozdobnej oprawie. Hankę drażni szyderstwo.

— Czytamy! a nawet zachwycamy się tem!

— Winszuję gustu!

Dziewczyna dźwiga ramionami.

— Mamy jeszcze: „Na kompanię de mops dla dam, framaçonów, dla panów“ Drużbackiej, „Przygody Doświadczyńskiego,“ „Paskwalinę nadobną“ i inne rzeczy rozmaitych epok, chyba przedarchaicznych, może zechcesz obejrzeć?

Stefan podnosi na nią oczy.

— Oho! gniewamy się prędko — mówi z uśmiechem.

Ale Hanka już uspokojona żałuje swego uniesienia.

— Kpi z nas — myśli, lecz ostatecznie może ma rację, tu życie stanęło na tym szczeblu, na jakim przed 50 laty się zatrzy-

mało, młodzież póki się uczy, to tam trochę stara się niby iść naprzód, potem osiada na roli, wkłada cały zasób energii i zdolności w jaknajkorzystniejszą uprawę buraków no — i bawi się. Kijów, kluby, Olimp! Ograniczony widnokrąg uczuć i myśli. Nowe prądy rzadko przebijają się przez tę skorupę światowych uciech; życie takie krótkie, ot poprostu czasu braknie na snucie choćby złotej nici postępu; zresztą może jest gdzie inaczej, lecz Hanka jakoś nie spotykała tego. A Stefan jej się przygląda, gdy siedzi pogrążona w milczeniu z oczyma pociemniałemi, nieruchomo w przestrzeni tkwiącemi, jakby widziały coś zdala aż w jakiejś dziwów krainie. Ostra zmarszczka zamyślenia biegnie wzdłuż czoła i zdaje mu się, iż myśl jej nie zatrzymuje się na powierzchni tylko, lecz wnika w głębinę wszechrzeczy.

— A wiesz Haneczko, żeś ty jedyna do bawienia gości — śmieje się wchodząc Oleńka.

Hanka zrywa się zawstydzona i ucieka.

Czemu ona nie taka jak Oleńka, jak Paula, nawet jak Linka? te mają wrodzone zdolności na światowe osoby, jak one umieją mówić—o niczem—przypodobać się, a ona?—ją męczy szalenie każdy najmniejszy wysiłek i czasem wśród największej zabawy powie sobie—po co to wszystko?—wnet cała wesołość, całe rozbawienie ulata i ona napróżno zatrzymałaby je chciała.

Przez cały dzień następny Hanka od rana zajęta, ma być parę osób z sąsiedztwa. Ona zajmuje się gospodarstwem domowem. Zajęcie to spłynęło na nią stopniowo, nieznacznie, niewiadomo kiedy i jakim sposobem. Gdybyż je choć lubiła? gdzie tam, lecz stało się, weszło w rutynę, więc co tam z losem wojować. A tu ciągle głosy jak brzęk wielkiej utrapionej muchy nad uchem.

— Panienko proszę mi mydła wydać!

— Panienko kucharz przyszedł po dyspozycyę!

— Panienko klucznica prosi cukru!

Ogrodnik, lokaj, stróż, wszyscy mają do niej pełno interesów, ani chwilki wolnej nawet na czytanie.

— Haneczko zanieś te przekąski na łód, sama je poustawiaj uważnie, przynieś wina z loszku, ułóż owoce na kloszach, wydostań srebro z kantyny, każ je przetrzeć przy sobie — przypomina matka.

Ona biega, wydaje, przygotowuje, brzęczy kluczykami, nakoniec około piątej wszystko gotowe, goście zaczynają się zjeżdżać.

— Trzeba będzie iść ubierać się—myśli dziewczyna spoglądając wokoło, czy jeszcze czego nie zapomniała.

Oleńka wsuwa głowę przeze drzwi.

— Moja złota przyślij nam zaraz herbaty.

— W tej chwili Jan przyjdzie.

— Nie możesz zrobić nawet takiego głupstwa — oburza się siostra, widzisz, że ja jestem zajęta!

— A bardzo—mruczy Hanka lecz tak cichutko, by słowa te nie doszły uszu Oleńki, posłusznie rozlewa żadaną herbatę i stara się powstrzymać łzy, cisnące się gwałtem do oczu.

— Hanezko nie pomyślałaś o smażonych migdałkach, a wszyscy tak je lubią, wydajże zaraz i chodź do salonu — woła matka. Nagle zatrzymuje się zdumiona.

— Jako do tej pory nie jesteś ubrana?

— Ależ mamusiu kiedyż ja miałam czas?

— A cóż ty robiłaś? no, no, nie marudź.

— Dobrze!

— Panienska to jak koń pocztowy — czyni uwagę stary lokaj Jan.

Nakoniec Hanka biegnie do swego pokoju tak zmęczona, iż z chęcią rzuciłaby się na łóżko, by choć chwilę odpocząć, lecz nie można, zapewne teraz już posądzają ją o tak długie strojenie. Prędyutko zatem nakłada tę białą sukienkę z *pique nigu'u* i idzie się witać.

— Solenizantka nasza długo się nie pokazywała — uśmiecha się do niej któraś ze starszych pań. Ona czerwieni się i cofa w kącik pod palmę. Tam nieznacznie zmierza i Stefan. Opowiada jej, jakoby nie znał nic nudniejszego na świecie nad panny, jednakże przysiąda się do niej na cały wieczór i udaje mu się rozbawić dziewczynę.

W środku salonu jak zawsze króluje Oleńka, strojna, wspinała. Zwój złotych włosów aż oślepia w jasnym świetle lamp, blade niebieska *crêpe-de-chinowa* suknia lśni się łagodnym połyskiem; za każdym ruchem fruwają leciutkie falbanki spódnicy, ręce i szyja odkryte, trochę pełne i ogromnie białe, w całej postaci wdzięk... Wdzięcznie chyli główkę, uśmiecha się wdzięcznie, wdzięk idzie za nią lekko, jak zjawia gracyi pełna. Około niej snuje się niby cień nieodłączny—Artur. Oleńka patrzy na niego niechętnie, i manewruje tak, aby podczas kolacyi Julcię Zawiejską obok niego posadzić.

— Panno Aleksandro niech mi pani tego nie robi — szepcze do niej chłopak, lecz Oleńka przechodzi spokojnie na drugi koniec stołu. Tu pani Zaniecka psuje jej szyki.

— Moje panienki, kartki są popisane, miejsca naznaczone, proszę nie czynić zamieszania.

Oleńka zagryza usta, ale siada posłusznie. Julci dostaje się Witek ku zadowoleniu stron obu.

Ponieważ Artur zjawił się niespodzianie i stół był już na osób 14 nakryty, jednego miejsca braknie.

— Haneczko, ty zjesz później, nieprawda kotku? — podchodzi do niej matka.

— Dobrze mamusiu!

Hanka wysuwa się i spać się kładzie.

— Jak dobrze—myśli przeciągając się — przynajmniej odpoczną,—jednakże gdzieś głębiej w niej tkwi drobne ziarnko goryczy, na które spojrzeć się lęka, by od spojrzenia tego nie rozlało się w całe morze piołunu. Już po północy słyszy szum, odsuwanie krzesel w stołowym pokoju, widocznie kolacya skończona, za chwilę dolatują tony modnego walczyka i suwanie nóg po posadzce. Tańczą!...

— Idź coś przekąsić, bo wszystko ostygnie — woła matka wchodząc. *Regardez!* — ona się już położyła, a właśnie ja chciałam byś wina schowała, bo tam zaraz połowę lokaje wydudnią. Ah! no!... zresztą daj klucze, sama to zrobię!

— Zaraz idę—podnosi się senna Hanka, nakłada pantofle na bosc stopy, zarzuca czerwony szlafrok i przez werendę dostaje się do jadalni cichutko, by jej z salonu nikt nie zobaczył. Lokaj przynosi jej pieczone i trochę lodów, rozpuszczonych na małym spodeczku. W nich jak wysepki sterczą kawałeczki cykaty.

— Pani kazała panience zostawić.

Wygląda to jakoś niebardzo zachęcająco.

— Dziękuję, nie jestem głodna, niech Jan zje za moje zdrowie.

Napowrót przez ogród powraca do swego pokoju. Niebo zaciągnięte chmurami, przed chwilą przeszła krótka ale silna burza, drobny deszczyk mży jeszcze i nogi grzęzną w lepkiem błocie.

— Zawiejszy i Artur daleko mają do domu, pewno nocować będą, to nic, spać mogą spokojnie, gościnne pokoje przygotowane, tylko — znowu jutro rano wstawać, ohjej!

Hanka kładzie się, lecz ze snu pierwszego wybita kręci się tylko na łóżku, oczekując gorączkowo odjazdu gości. Ale ci ani myślą, wesole ich śmiechy dolatują co chwila, biją o uszy Hanki, smagają ostrym zgrzytem, napróżno na głowę kołdrę naciąga, śmiech sunie się za nią. Postanawia nie myśleć o niczem, rachować do stu, dwustu, nakoniec usypia.

— Proszę panienci!

Hanka przeciera oczy.

— A co?

— Proszę panienki zasypać herbaty, starszy pan czegosić zasłał.

Hanka zrywa się, biegnie do dziadka.

— Co dziadzi?

— Niepotrzebnie ciebie budzili — gdera staruszek — idź się położyć.

— Zaraz, tylko dziadzio herbatki się napije — sama mu ją przynosi. On chudą ręką gładzi ciemną jej potarganą główkę.

— Dobrze, pocziwe dziecko.

— Kochany dziadunio! — tuli dłoń jego do ust.

— No idź już, idź.

— Dobrze!

Hanka odchodzi; już dzień; po szybach ciekłą smugi deszczu, ołowiane sklepienie dotyka prawie wierzchołków drzew, pół tuzina brudnych chartów wałęsa się przed oknami.

— Czego te psy wypuścili, zaraz połapią indyczki — gniewa się Hanka.

Dochodzi szósta, nie warto zasypiać, musi zawołać kucharza, kazać upiec obwarzanecki do kawy, musi pomyśleć o obiedzie, naradzić się z klucznicą, zajść do inspektów, sama zgotować kawę i śmietankę, bo matka i Oleńka tylko przez nią gotowaną lubią...

— O jak mi to wszystko dokuczyciło! — jęczy żałośnie — a przecie tak być musi!

*

*

*

Stefanowi nie chce się wyjeżdżać. Nie żeby mu było specjalnie wesoło, bynajmniej, nikt się nim tak bardzo tu nie zajmuje. Pani Zaniecka przez pół dnia, zamknięta w swoim pokoju z ojcem, o interesach rozmawia, Witek najczęściej w polu, lub przy maszynie, Oleńka kończy już drugą powieść autora „De l'amitié amoureuse,” a Hanka przepada zupełnie i chłopak widuje ją jeno podczas obiadów, oraz wieczorem, gdyż wtedy całe towarzystwo zgromadza się na wielkiej werendzie u frontu.

Jednakże nie chce mu się odjeżdżać — to fakt.

— Jakie ona ma dziwne oczy — myśli o Hance i wywołuje wizję tych zielonawych źrenic, skrytych po za zasłoną długich, sztywnych rzęs.

Ciepła noc ukraińska.

Hanka siedzi na schodkach, przed nią księżyc kładzie się bladą smugą, w srebrnej poświacie drżą trawy gazonu, perlista rosą pokryte. Wydłużony cień świerku majaczy, niepewny i drżący przeskakuje sztachety, na drodze się czerni i ginie het—w rowie. Z trawnika bije odurzający zapach przewiędłych kwiatów, w ogrodzie odzywa się wilga i leci jakiś szmer cichy, a słodki, jak harfa Eola.

Gwiazdy spadają.

Hanka wzrokiem je goni.

— Coście za jedne? Może chór duchów jasnych, zaklętych w eterze?

— Powiedźcie, co jest tam?... W odwiecznej przestrzeni?...

— Zali pieśń miłości czy nienawiści?

— Bólu, czy ukojenia?

— Nadziei, czy zwątpienia?

— Spokoju czy walki?

— Jest że to pieśń życia?

— Jest że to pieśń śmierci?

— Duchy przejrzyste, powiedźcie!

— Dzieciństwo — wstrząsa się — tam musi być wielkie Nic! straszne prostotą swoją, wieczysta noc wszechświata, noc, w której wirujemy ustawicznie, bez końca, bez odpoczynku, bez wytchnienia, jak kule, w bezdenną próżnię rzucone.

I my, nasze słońce, planety, księżyc i miliony innych słońc, planet, księżyców, miliony brył, miliony mgławic, wszystko atomy całości wielkiej, potężnej...

A tą całością —

Siła, Energia, Czyn, Dobro, Bóg!

Wszechpotęga, Wszechmoc, Bezpośredni Byt w naturze, Jehowa!

Na usta Hanki sunie się bezwiednie prawie stara modlitwa starego poety, jednego z tych, co „miał serce i patrzył w serce:“

„Ty, co w dzień światło, rosę w noc tym liliiom polnym zsyłasz tu,
Ty, do którego woła ptak, a ty piskłeta żywisz mu,
Co zgrzanej lani dajesz zdrój, gdy od pragnienia pierś jej schnie,
I nam to, czego braknie dziś, to daj przez miłosierdzie Twe...“

a dalej:

„...Otworzysz Ty ramiona Swe i przyzwiesz świat i rzekniesz mu:
Wy, co smutnego serca, wy, co przygnębieni, pójdzcie tu!“

Księżyc swą twarz łagodną wysunął z za drzew i patrzy zdziwiony, a gwiazdy mrugają rozkosznie oczyma... Na oknie Oleńka postawiła gramofon:

„Ticho tak ticho swietit luna,“

dźwięki zlewają się razem i w ciszę nocną leci przeciągłe

„...ticho a-ha-a...“

Wilga umilkła na chwilę zasłuchana widocznie w nieznana melodyę, lecz wnet napowrót rozpoczyna swe trele, jakby do wtóru piośence.

Hanka oparła głowę o słup ganku, przymknęła oczy, a po twarzy jej toczą się z wysiłkiem dwie zimne łzy i spadają na załamane u kolan ręce. Stefan siedzi przechylony na brzegu ławki, patrzy na nią badawczo, lecz ona tego nie czuje, śni jej się na jawie sen piękny, pełen ideałów, pełen szczęścia, i tłoczy ją pragnienie przeżywania chwil szczęśliwych, unosi ją zapał do wszystkiego, co piękne, dobre, co wzniosłe...

— Czynu! czynu!... — woła coś w duszy.

— Haneczko, może przejdziemy się trochę—proponuje Oleńka. Podnoszą się i idą we czworo tunelem akacyowym nad staw. Tunel gęsty jest, mroczny i straszny, gdzieś tam tylko przez lukę w gałęzi przeciska się wąziutki promyczek księżycowego światła i wtedy wszystko przybiera jakieś dziwaczne kształty widziadeł, skrzydlate formy olbrzymów; własne ich postacie rozrastają się do niebotycznych rozmiarów, a w końcu alei przez wyłot szkli się lustrzana powierzchnia stawu.

Od strony wsi, na grobelce, między wierzbami o spuszczo-nych ramionach zapalają się niby błędne ogieńki, jeden... dwa... trzy... dziesięć.

— Co to?

— Chodźmy zobaczyć.

Stają nad brzegiem.

— Przecie dziś oktawa świętego Jana, dziewczęta raz jeszcze szczęścia probują.

— Szkoda, zapomniałyśmy — żałuje Oleńka.

— Eh, co tam!

W wianeczkach tymczasem migoczą ogarki świec, zrazu gęsto płyną, podwajając w wodzie liczbę swoją, później jest ich coraz mniej, mniej, nakoniec nikną, jeszcze jedno samotne światełko na sam środek się wyrwało, lecz wkrótce i ono zagasło.

Wtedy dziewczęta gromadką skręcają na drogę ku chatom i nucą przeciągle:

„Czerez ruczeńku, czerez bołoto,
Podaj ruczeńku moje zołoto,
Podaj ruczeńku, podaj biłuju...“

a głos ich się oddala, oddala, cichnie, raz jeszcze wpada w ucho:

„Ruczki ne podam, duszy ne zhublu,
Prawdy ne skażu, koho ja lublu!...“

i już nic...

*

*

*

W końcu ogrodu, tam, gdzie kilka wielkich, dzikich grusz, stoi ławeczka.

Oleńka, Witek, Stefan i Hanka.

— No, dzieci, cóż znowu za jakieś marzycielskie usposobienie was ogarnęło?—pyta Oleńka z powagą starszej osoby.

— Ech!—ziewa Witek—chodźmy spać, czego my się darmo tłuczemy po nocy.

— Barbarzyńca—żartuje z niego Hanka.

A Stefanowi jest dobrze, zdaje mu się, iż wypoczywa duch jego w tej ciszy nocnej. Obok niego, na ciemnem tle drzewa, rysuje się wyraźnie delikatny profil Haneczki i czuje, że ta dziewczyna podoba mu się, jak nikt dotąd. Wprawdzie niewiele czasu poświęcał kobietom, jednak, wychowany przez ojca-despotę, matkę widywał rzadko. Pani Kotwicz, nieustannie chora, kaszląca, nie wychodziła prawie ze swego pokoju. Otulona szalem dnie całe spędzała na sofce, zagłębiona w czytaniu, oderwana od świata rzeczywistego, wiecznie żyjąca w abstrakcyach romansowych. Stefan od najmłodszych lat pamięta ją zawsze błędzącą w krainach marzeń, wśród słoików lekarstw i dusznej atmosfery szpitalnej. Pamięta, jak bona codziennie na chwilę przyprawiała go do matki, jak on z upragnieniem oczekiwał chwili, kiedy drzwi tego ciemnego pudełka otworzą się znowu, by go wypuścić, pamięta, jak drżał przed gniewnym wzrokiem ojca, jak bona, wszechwładna nad nim pani, godzinami stawiała go kłęczycę za łada drobnostkę.

Cisną się teraz te wspomnienia marnego dzieciństwa, spędzonego na łasce i opiece sług.

Później wyrwał się trochę, gdy zaczął chodzić do szkoły. Poczuvszy się swobodnym, zamiast do klasy, pędził na ślizgawkę, z ucznikami uprawiał sport gry w guzik, „stienki,“ chodził wiecznie oberwany, z mundurem krzywo zapiętym, w „rozklapanych“ bucikach, no i w rezultacie—nie dostał promocyi.

Wtedy w sprawę tę wdał się ojciec, naprzód przyniesiono wielką różgę z ogrodu, potem ojciec zawołał go do swej kancelaryi, tam Stefan wysłuchał całego kazania o dobrem sprawowaniu, o konieczności nauki i t. p. rzeczach, a w końcu owa wielka różga wpoila weń energicznie owo kazanie — i życie popłynęło dalszym trybem.

Po wakacyach umieszczono go „na stancyi“ u profesora matematyki, razem z pięcioma innymi chłopakami różnego wieku. Tu już uprawiał z powodzeniem „stienki,“ ślizgawkę, boksowanie, lecz wieczorami wykradał się nawet na bilard. Jednakże uczył się niezłe, dzięki olbrzymim zdolnościom. Od szóstej klasy zmienił się, zarzucił bilard, przestawać zaczął ze starszymi dużo kolegami, ze studentami, zaczął łązić na jakieś zebrania, meetyngi, zadzierać z władzą gimnazyalną; nauczycieli traktował z góry, jako przeżytych osłów, stosował do nich słowa Kryłowskiej bajki: *Uż kak nie sadities, w muzykanty nie godities.* Ostatecznie, po wielu nader burzliwych utarczkach, zagrożony został wydaleniem ze szkół z wilczym biletem. Tu znowu ojciec wystąpił, lecz ponieważ był sam zanadto zmartwiony postępowaniem syna, więc obeszło się tym razem bez różgi. I skutek był lepszy, potrafił tak przemówić do szalonej ambicyi chłopca, iż ten po dwu leciech wzorowego sprawowania z odznaczeniem ukończył nauki. Teraz poczuł się naprawdę swobodnym, przestał się bać ojca, wpadł w wir społeczników, najzagorzalszych wywrotowców, z porządku rzeczy zarozumiałych i nieuznających niczyjej mądrości ponad swoją własną. Przejął się ich teoryami, jak z rękawa sypał cytaty wielkich socyalistów niemieckich i dnie całe trawił na czytaniu i włóczeniu się po zaułkach miejskich. Później przyszedł nowy nabytek. O ile dawniej niedbał o strój, o tyle teraz zapragnął mieć ubranie, jak z igły zdjęte, a lakierki najlepszego fasonu.

— Ja nie pragnę weale, aby ludzie bez butów chodzili—tłómaczył—lecz by każdy właśnie miał to, czego zapragnie.

Cały jego socyalizm — rozumował ojciec — to naleciałości; przejdzie raptem, jak raptem powstał pod wpływem Żydów-kole-

gów sans-culottów. Najlepszym lekarstwem życie rodzinne! — i wyprawił go do Rohotnej do rodziców swych na całe lato, niby dla odpoczynku. Z początku bywały z dziadkiem, jak Stefan nazywał, wymiany zdań niezupełnie pokojowych. Staruszek aż piecił się.

— Jakto, chłopak z dobrego szlacheckiego domu socjalistą?

— Nawet komunistą—uzupełniał Stefan.

— Ależ ten wasz cały socjalizm pod płaszczykiem ogólnoludzkich celów jest najohydniejszym rabunkiem — wołał Kotwicz, łapiąc się w najwyższej pasyi za swe mleczne wasy.

Wszystko polega na jawnym złodziejstwie, ty masz cały surdut na grzbiecie, więc ci go zabiorę, bo sam niemam, a zapracować mi się niechce.

— Przeciwnie, mam ja, miej i ty—socjalizm nie polega wcale na odebraniu, a na rozdawaniu!...

— At puste gadanie, żeby dać — trzeba coś mieć do dania własnego, a nie komuś poduszkę do podziadu z pod głowy wyciągać.

Wtedy najczęściej Stefan przygląda się staruszkowi z ledwo ukrytym drwiącym uśmiechem.

— Mętne źródło poglądów popularnych — mruczy — i tu bajka Kryłowa znalazłaby zastosowanie.

Staruszek jest tak zirytowany, iż nie słyszy wcale słów jego, gorączkowo biega dokoła stołu, sapiąc głośno.

— Mój kochany, proszę, zostaw to gadanie, słuchać nie mogę spokojnie twoich andronów!

— Eh moje pauny — mówi potem Stefan do Pauli i Linki, które tu lato spędzają, — roznawiając z dziadkiem, można zbaranieć, gorzej niż z analfabeta, zidyocieście do reszty w tej atmosferze szlachecko-pańskich przeżytków! Na rano nabożeństwo babci i kazanie o „konieczności wiary w cuda,“ na południe dowolne tłumaczenie socjalizmu, wieczorem nowe kazanie o „cierpiętlivosti naszej ponętej i estetycznej prababci Ewuni z gałęzi,“ a w antraktach, jako entre-mets, flirty cioci Kuderynowej i moich najmilszych, najładniejszych kuzyneczek. Bogaty program.

Paula nie gniewa się, Stefan ją bawi ogromnie, wśród swych kijowskich znajomych nie spotykała podobnego okazu; wyciąga go naumyślnie na coraz dziwniejsze paradoksy i później zaśmiewa się. Kiedyś powiedział jej: że nie kradnie jedynie dlatego, iż mu to nie sprawia przyjemności, lecz kocha złodzieja czy mordercę, jak pierwszego lepszego pobożnisia; że umysł ludzki, który dąży do wielkich rzeczy, niezem się nie powinien krępować; zresztą każdy musi mieć swobodę, by czynić to, do czego czuje ochotę.

tę. Zgorszonym paniąkom tłumaczy, iż Bóg jest tylko dziełem człowieka i obłąkania jego, a sam człowiek jest bardziej małą od najbliższej mały.

Wprawdzie po cichu i on śmieje się sam, przesadzając dla efektu i patrząc na pełne przestachu miny dziewczynek, lecz przed dziadkiem nie wrywa się już ze zdaniai podobnemi, i tak dziadek go nazwał „apostolem prawdy pozytywnej.“ Jednakże jest to chłopak z gruntu szlachetny. Idzie wprawdzie na przełaj utartym już dawno poglądom, burzy religię, lecz na jej miejscu stawia etykę i przyznaje tej ostatniej moralne kierownictwo własnego sumienia. Trawi go jeszcze zbytek sił młodych niezrównoważonych, pozwólcie mu się wygadać—mówi czasem dziadek, zapominając, iż zdania chłopca, jego właśnie najsilniej oburzają.

I powoli, nieznacznie mknąc począł wpływ Żydów-kolegów, a szczególnie ów lekceważący sposób traktowania starszych, jako zacofanych, pionków społeczeństwa. Dobry ton, nieopuszczający nigdy mieszkańców Rohotnej, i na niego podziałał. Nie zmienił rdzenia swych poglądów, których wytyczną pozostało zawsze: dobro' ogółu, marzenie o idealnem zjednoczeniu ludzi, w którym panować będzie powszechne braterstwo, serdeczna miłość bliźniego, przy największem zaspokojeniu moralnych i materyalnych potrzeb jego pojedynczych członków, ale zmienił formę wygłaszania swych zasad, zdarzały się jeszcze od czasu do czasu utarczki z dziadkiem, lecz o wiele już łagodniejsze.

Teraz zaś, pod wpływem jakiegoś dziwnego rozmarzenia, stanęło mu przed oczyma całe ubiegłe życie, od kolebki, aż do chwili obecnej, i raptem poczuł się ogromnie samotnym. Zapragnął mieć obok siebie kogoś dobrego, przyjacielskiego, jakąś duszę blizką, któraby go rozumiała i była mu osłoda, duszę, przed którą mógłby swoją otworzyć, i zdało mu się, gdy tak patrzył na jasny profil Hanki, iż ona właśnie ta jedna... jedyna...

A Oleńce nagle przychodzi do głowy myśl, by — ot tak, dla zabawki — rozdurzyć w sobie chłopaka. Zatrzymają go dłużej w Medówce i koniec lata przejdzie jej weselej, będzie przynajmniej miała jakieś zajęcie w swej beczynności.

*

*

*

— Niech nam dziadzio Stefana zostawi—przymila się Oleńka. Staruszek składa swoje rzeczy do walizki i uśmiecha się.

— Mnie to nawet nie prosicie bym został, ach bałamutki, bałamutki!

— Ależ dziadziu... — usiłuje tłónaczyć zażenowana Oleńka.

— No no, już dobrze, niech zostanie, tylkoż nie rozdurcie mi chłopca zanadto—grozi palcem.

— Haneczko, tyś powaga, weź że go pod swoje skrzydełko, a pamiętaj, niechno mi wróci nie takim, jak go zostawiam, ciebie do odpowiedzialności pociągnę.

— Dobrze dziaduniu!

Staruszek ma słabość do niej, i nic dziwnego, u niego się wychowywała do lat dziesięciu, przywiązał się też do niej całym sercem.

— Jesteś pod moją wyłączną opieką—oznajmia Hanka podczas obiadu Stefanowi.

— Brawo! miło mi! — toż będziemy dokazywać!

— No no!

*

*

*

Hanka, Stefan i Witek jadą konno.

Wieczór. Cisza panuje i tylko wietrzyk od wschodu przynosi daleki szum stepu. Wjeżdżają w chłód leśny. Las liściasty, równa droga szeroka przecina go wstęgą, u brzegów jej szpaler ze świerków, jako zwarte ciemno-zielone podszycie dla wysokich dębów. Uroczysty nastrój jakiś panuje, jadą wolno, bez słowa pod konarami olbrzymów stuletnich, skamieniałych w powadze swojej. Górą idą stłumione rozgwary, rozhowory gałęzi i liści, a w dole taka cisza, iż zda się słyhać szmer pyłu, co kopytami koni podniesiony leniwie, jakby z żalem napowrót opada na ziemię. Słońce, krwawiąc się, dobiega szczerbatej ściany boru, rozpyła w powietrzu łunę czerwono-złotą, igra tęczą promieni, jak wizją światła bajeczną, spuszcza się coraz niżej, aż w końcu niknie za zielonym wałem z drzew i tylko snują się jeszcze krwawe blaski jego. Unosi się mrok cichy, tajemniczy, senny, opada białymi mgłami, po trawach biegną szepty tajemne, tulą się do snu kwiatów kielichy, płyną pachnące ich technienia. Na skraj

nieba jawi się już gwiazdka blada, ledwo widoczna, za nią druga, trzecia...

— Konanie światła podobne konaniu myśli ludzkiej — mówi Hanka z zadumy wyrwana.

— Rozmazanie napada moją siostrę — żartuje Witek, lecz ona nie zwraca uwagi na słowa jego, zacina konia, bo czuje raptowny przypływ myśli błyskawicznej, nagłej, poszarpanej, niepowiązanych wrażeń, sił nowych, zawrotnych, a wszystko to zużyć musi, choćby w szalonym cwale po stepie.

Gniada klacz o rozdętych chrapach i sieci żyłek delikatnych zarżała przeciągle i stanęła dęba.

— Hanko, puść cugle wolniej! — lecz ona nerwowym ruchem bezwiednie jeszcze je ściąga — jedna chwila i padnie przywalona końskim ciężarem. Niby świst kuli przecina powietrze. Styk Stefana opada na uszy Laszki. Klacz daje skok naprzód, jak furja z grzywą rozwianą i wichrem rwie po równej, leśnej drodze, lecz Hanka już przytomnieje.

— Nosi mnie — miga myśl, i wnet próbuje zatrzymać. Pelan pęka. Już po mnie — huczy jej w głowie, słyszy za sobą tętent głuchy koni chłopców, ale zdaje sobie sprawę dokładnie, iż jej nie dogonią. Tam dalej zakręt, a wprost jar kamienisty...

— Albo zwalę się weń, albo głowę o drzewo rozbiję.

Jednak, to dziwne, nie boi się nic... zupełnie... raz jeszcze powtarza spokojnie: tu zakręt, tam jar... i nagle przypomina sobie naukę starego stangreta — stykiem zaczyna lekko uderzać konia. Laszka wypręży się, kopytami ledwie ziemi tyka, skłębione obrazy uciekają przed Hanką, błysły jakieś światełka, mignęły jakieś barwy i przepadły, Hanka znowu klacz uderza i raptem ściąga cugle. Cwał wolnieje, ściąga nanowo, łagodnym głosem przemawia do konia. Cwał przechodzi w galop, jeszcze chwila, jeden wysiłek i Laszka staje na skrócie drogi tuż prawie u krawędzi przepaści.

Chłopcy, bladzi z przerażenia, chwytają klacz drżącą i tak mokrą, że para z niej bucha kłębami. Hanka zsiada, bo chwieje się na siodle, nogi dygoczą pod nią i zęby szczękają jak w febrze, teraz dopiero czuje strach zimny, co ją uściskiem obejmuje z lodu. Płacz ogromny, nerwowy wstrząsa nią całą, upadła na ziemię i szlocha, twarz w dłoniach ukrywszy. Chłopcy stoją nad nią bezradni.

— Jest tu niedaleko chatka leśnika — mówi cicho Witek, jakby bojąc się samym dźwiękiem głosu siostrę bardziej jeszcze rozdrażnić, lecz ona już się podnosi.

— Nie, nie—upiera się przez łyży—wracajmy do domu, mama będzie niespokojna.

— Przesiadź się, Haneczko, na mego konia—proponuje Stefan.

— Ależ po co? Laszka teraz pójdzie doskonale, wstyd mi doprawdy, takie głupstwo... jedźmy już, jedźmy!

Pomagają jej wsiąść, Laszka niespokojnie kręci się na miejscu, przez skórę jej chwilami przebiega skurcz. Hanka zbiera cugle, lecz ręce jej drżą, całą siłą woli opanowuje się i jadą. Klacz przebiera nogami, drepcze, jest to chód strasznie męczący, Hanka z rozpaczą myśli, iż nigdy końca nie będzie tej jeździe. Prawie już ciemno, psy szczekają we wsi, konie strzygą uszami, wreszcie błyszczą światełka dworu. Jeszcze kwadrans i oto stają przed gankiem.

— Ani słowa mamie — przykazuje Hanka i idzie do swego pokoju przebrać się oraz włosy poprawić.

— Hanko, jak ty wyglądasz! — woła Oleńka.—Spójrz w lustro. Prawda, zielona, oczy wpadły w jakieś doły, istna mara.

— Coś się stać musiało!

— Ależ, nic nadzwyczajnego.

— Nieprawda, przyznaj się.

Niema rady, trzeba powiedzieć.

— Ale ty zaraz mamie powtórzysz, a tymczasem takie głupstwo, Laszka zerwała się nosić.

Oleńka przyjmuje tę wiadomość spokojnie.

— Zawsze mówię, że ona za ostra na twoje jazdy waryackie—robi uwagę.

— Ech, nie! taka łagodna, jak dziecko, tylko pelan się zerwał, więc na razie nie mogłam zatrzymać.

Naturalnie, pani Zaniecka się dowiaduje, lecz również nie czyni zdarzenie to na niej głębszego wrażenia, obiecuje tylko zabezpieczyć konnych spacerów.

Witek opowiada wszystkie szczegóły. Oleńka napada na Stefana, iż Laszkę uderzył.

— Nigdy nie bije się cudzego konia—wygłasza apodyktycznym tonem.

— Co ty wiesz—oburza się Witek—musiał, bo inaczej klacz poleciałaby na wznak, Hanka za cugle szarpnęła, zamiast wolno puścić. Sam myślałem, że już będzie po niej.

Stefan milczy, nie mogąc jeszcze ochłonąć, a Hanka już się śmieje.

— Żebyście wiedzieli, jak przyjemnie tak lecieć!

— Bardzoś się bała, powiedz—bada Oleńka.

- Ech, nie!
 — Opowiadanie!— mruczy Witek—czegoż beczłaś?
 — Czy ja wiem? gdy zsiadłam drżało we mnie wszystko i zrobiło mi się zimno, lecz przedtem lęku żadnego... nic...
 — Oj, ty dzieciaku nierozważny—gromi Stefan.
 — Ech, zobaczysz, jak dobrze jutro pojedę!
 — A jedź sobie, jeśli chcesz koniecznie kark kręcić, ale bezemnie—rzuca chłopiec rozdrażniony.
 — Nic mi nie będzie!

*

*

*

Oleńka nadaremnie usiłuje Stefana rozruszać; próbuje wszelkich sposobów, wyładowuje cały arsenał wdzięcznych uśmiechów, słodkich miniek, aż Hanka jej się przygląda zdziwiona. Stanowczo Oleńka pragnie Paulę zakasować, jednak Stefan jest jakiś oswiały, o ile Hanki niema w pokoju, prowadzi z ciotką poważną rozmowę lub pogrąża się w czytaniu, z Oleńką ledwo zdań kilka urywanych zamienia. Zniechęcona po raz drugi mówi sobie: szkoda fatygi—i daje za wygraną.

Całe towarzystwo zasiada wieczorem do „ciotki.“ O ile wieczór jest ciepły i pogodny stolik karciany wynosi się na werendę, zapala się ogrodowe świece i latarnię japońską w chryzantemy i toczy się gra a z nią spory, niekiedy bardzo burzliwe. Szczególniej Witek się indyczy na złą kombinację sióstr, przytem przyrzekają wszyscy solennie nigdy więcej z sobą nie grywać, no i na drugi dzień za nadejściem szarej godziny jednomyślnie powracają do stolika.

Hanka najczęściej przypuszcza kogoś do „współki“ ze sobą, poczem porzuca współnika jego własnemu przemysłowi, a sama ucieka do saloniku, nastawia gramofon i godzinami słucha aryj z rozmaitych oper. Nieraz Stefan radby też pójść za jej przykładem, lecz zabrakłoby jednego partnera, musi zatem poświęcić własną zabawę na ołtarzu przyjemności bliźnich.

Któregoś dnia jednak jest młody sąsiad Jacek Zawiejski, Stefan zatem bez obawy rozbitcia partyjki wysuwa się.

— Haneczko, przejdzienny się trochę, taki śliczny wieczór—proponuje.

Idą naokoło klombu, ukazując się co chwila w smugach księżyca i przepadając znowu w mrokach nocnych. Za Hanką kroczy poważnie kilka psów — ulubieńców.

— Opowiedz mi życie wasze w Kijowie — prosi student.

Hanka jest dziś jakaś zniechęcona.

— Ot nic ciekawego, przeżywamy tę odrobinę wiedzy, którąśmy nabyły; bywamy na wieczorkach, balach, rautach; — mówię o sobie w przyszłości, gdyż pono w tym roku mam się szerszemu światu ukazać;—flirtujemy zawzięcie, poruszamy się wszystkie jakąś wypaczoną drogą, uitorowaną przez nasze poprzedniczki, a po której inne po nas postacie również kroczyć będą i w rezultacie marzymy o zamążpójściu, mającem nam zapewnić trwałe szczęście i swobodę... ha!

-- Braknie wam energii, by się wyzwolić?

— Poprostu nie widzę możliwości, tak nas ścisnęła obręcz dozwolonego i uświęconego kodeksu światowego, na który się składali nasi rodzice, krewni, znajomi, iż, by ją przekroczyć, trzeba by było zerwać wszystkie nici, wiążące nas choćby z rodziną. Taka Paula naprzykład: ma talent, ma piękność, wszystkie dane, by stać się sławą nawet, rwie się do sztuki i co z tego?... Wydadzą ją za mąż, przez szpary patrzeć będą na jej rozmaite flirty, lecz gromy nieba i anatemy rzuciliby za nią, gdyby się ośmieliła wstąpić na scenę. Eh, człowiek dla wartości czynów ma własną miarę!

— Trzeba sobie umieć powiedzieć: mam wolną wolę, niezależną, zawsze we mnie obecną, z pośród wielu dróg wybrać swoją i po niej iść, nie zważając na żadne przeszkody.

Hanka uśmiecha się smutno.

— System wychowania naszego stara się zabić w nas wszelką indywidualność, tresują nas zawzięcie: wszystko, od rozmów i lektury poczynawszy, aż do czynów, powinno być banalno-konwencyjonalne. Co tam mówić o jakichkolwiek drogach, popędzą nas wszystkie jednym torem. A jednak czasem dusza aż w strzępy się rwie, tak chciałaby lecieć kędyś w górę, do źródeł czystych, przedwiecznych ideałów.

— Romantyzm Haneczko, mohikanizm, przeżytek rasy wieczystych tęsknot, skazanych na zagładę, jako bezowocnych, a zatem szkodliwych dla społeczeństwa. Rozumiem skargę duszy na nędzę doli człowieczej, chęć wydobyć się z więzów bezczynności, lecz pojąć nie mogę nieokreślonych marzeń o czemś nieuchwytnym, czego nigdy osiągnąć nie można. Nam trzeba ludzi silnych, zdrowych, ludzi czynu!

— Ależ ci bez jakichś wyższych wzlotów staną się jedynie pieszczelno-mrówczeni odruchowemi machinami.

— Kto wie jednak, czy on niema racji — myśli Hanka wieczorem rozbierając się; — zapewne! nawet oni więcej wybudują, dźwigając nieznacznie cegiełkę po cegiełce, niż tamci inni, zwani przez niego „Ostatniemi mohikanami,“ wznoszący niebotyczne pałace z — pianki morskiej.

*

*

*

Stefan ma serce przepełnione, tymczasem mówił jej o wszystkim, ale nie o „tem“ właśnie, boi się i nie śmie. On taki śmiały!

Żebyż to nie była Hanka, poszedłby do niej, wziął ją za ręce i powiedział: „Idźmy razem przez życie, nie rozpraszaajmy swych sił, czekają nas długie lata pracy jeszcze, starajmy się zdobyć to, co nie zawodzi. Pożytek dla innych, zadowolenie wewnętrzne i przyjaźń dla siebie!“ Lecz właśnie jest to Hanka, taka jakaś dziwna, goniąca nieuchwytny złudy. Mgławica! Przytem taka młoda! — nuż utnie, jak brzytwą?...

— Jeszcze więc nie! — postanawia sobie i głęboko ukrywa swe uczucie, by nań żadne oko nie padło.

Pływają wielką białą łodzią po stawie. Jest i Artur. Obie siostry, w czerwonych satynkowych sukienkach, wyglądają jak dwa wielkie, kraśne maki.

— Zaśpiewajmy co chórem — prosi Witek, podjeżdżając w cień szuwarów i składa wiosła.

Oleńka zaczyna cygańską piosenkę obiegającą wszystkie tingle większych miast.

„Jam jak wicher wolna sam,
Życia radość dana nam!“

„Zechę pokocham...
Zechę zapomnę!...“

— Nieprawda, nie zapomina się na własne żądanie — mówi Artur półgłosem, patrząc na biały bucik Oleńki.

Hanka urwała gałąź wierzby, ciągnie ją po wodzie, poczem podnosi ją do góry i spogląda na spadające gradem brylantowe

krople, co wyrwane przed chwilą ze spoistości gromady, znowu do niej dążą, by spłynąć w jedną wielką, żelazną całość.

Nagle Witek uderza wiosłem po wierzchu.

— Aj! aj! prysznic! — I Stefan zrywa kiść trzciny. Wnet Witek otrzymuje w twarz całą fontannę wody.

— Chłopcy, co wyrabiacie! — gniewa się Hanka, lecz na łódce panuje już anarchiczna wesołość.

— Przewróciny się! — desperuje Oleńka i w tej chwili sama wybucha śmiechem z pociesznej miny Artura, któremu woda rozfryzowała czub i rozkleiła zadarte wieczne wąsy.

— Chińczyk!

Artur był zły.

— Muszę wyglądać jak małpa — myśli z rozpaczą i załazi aż na ster, by być jaknajdalej od Oleńki.

Na obiad przychodzi już wyświeżony zupełnie, wąsiki sterczą, jak zwykle.

— Metamorfoza! Wilhelm Zdobywca! — żartuje dziewczyna, a Hance robi się żal biedaka i zagaduje tę sprawę.

— Ty jesteś prawdziwie dobra — mówi jej później Stefan, gdy zgrzana po tenisie siada obok niego trochę odpocząć.

— Eh nie! Staram się tylko każdego rozumieć i uchwycić jego uczucia — odpowiada, wyciągając rakieta dla odbicia piłki, co, zmyliwszy swą drogę, leci wprost na nich.

— Jak oni grają! patrzeć nie mogę! — irytuje się i znowu biegnie na plac. Za chwilę powraca.

— Jestem szalenie zmęczona, nóg nie czuję! — oczy jej błyszczą, na twarz wystąpiły silne rumieńce.

— Jednak ja lubię ruch, wesele! lubię życie!

Szerokim gestem wyciąga ręce przed siebie.

— Mgławica!

Ona staje raptem uderzona.

Prawda, prawda! — tak mgławica, nie w niej niema stałego, same rozchwieje, same sprzeczności, chwilami tęsknoty Prometeuszowe o światło wiedzy... o poznanie sensu bytu... chwilami żądza poświęceń wielkich... znów czasem gwałtowna chęć egoistycznego szczęścia. A przed nią sfinks życia!...

Jak jej smutno, jakby wionął jakiś podmuch uroźny, gaszący nagle promyczek radości.

Stefan patrzy na nią uważnie.

— Zanadto wrażliwą jesteś, to też niepotrzebny balast w życiu; powinniśmy mieć nerwy stalowe, gdyż to, co silne, potrafi zawsze utrzymać się na powierzchni życiowej fali.

Oblewa ją zimną wodą.

— Ty byś wszystko naciął skalpelem rozsądku — szepcze niechętnie — ślimacze pełzanie!

— A jednak *La Raison sera un jour tout puissante déesse*, powiada pono Renan!

*

*

*

Hanka leży na pożółkłej trawie nad stawem. Jest znużona. Raniutko wyjechał Stefan, wezwany do chorej matki. Hanka żałuje go, zżyła się z nim przez te kilka tygodni, okazywał jej wiele przyjaźni.

Kiedy się znowu spotkają?

Jak w kalejdoskopie, ludzie coraz inni przesuwają się przed sobą, zawiązują się sympatye, uczucia, rwą się i czas je pokrywa swym płaszczem zapomnienia.

Przeszło!...

Hanka wzięła z sobą krótkie jakieś nowelki, czuje, że dziś żadnem poważnem nie mogłaby się zająć czytaniem. Tak się dziwnie niechce... i teraz leży bez ruchu, tylko sennemi oczyma wodzi wokół.

Powietrze jasne, a takie przezroczyste, że widać łagodne falowanie jego, niebo bez chmur, zachodzące słońce się złoci, rzuca blaski swe na purpurę liści jesiennych, na dziki chmiel, co oplata wierzbinę, na kiście winogron i gorący fiolet śliw.

Na stawie milczenie.

Czasami żaba zarechocze, lub rybka pluśnie, czasami mignie jaskółka, wodę muśnie lekko czarnem skrzydłem, uchwyci ważkę albo komara i poleci kędys w trzcinę mokradeł...

I znowu staw stoi cichy, nieruchomy.

Dalej, na drodze, powstał tuman kurzu, skrzypi telega wołami zaprzężona, chłopek powraca z basztanu z kawonami; siedzi na brzegu wozu, na kolanach trzyma owoc w pół rozkrojony, drewnianą łyżką go zajada.

Okolo najbliższej chaty „wesilje!“

Panna młoda, wysoka, zgrabna dziewczyna, w marszczonej, krótkiej spódnicy, z pod której na dłoń wychodzi wążka koszula wyszywana. Kaftan ma luźny, czarny, aksamitem osyty, buty

z podkówkami czerwone, głowę całą w kwiatach, a od tyłu war-koczy zwiesza się chmara kolorowych wstążek, aż za kolana prawie, na szyi pełno koralu, paciorek i rubli srebrnych.

Pan młody już po miastowemu ubrany w kurtce i butach z cholewami. Młodzi trzykrotne pokłony biją przed przechodnia-mi czołem ziemi tykając, a wstążki panny młodej rozsypują się przytem w nieładzie po piasku.

Rodzice i starsi obsiedli przyzbę popijając kwartą wódkę i miód własnego wyrobu, a muzyka od ucha rżnie kozaczka.

Na środku drogi parobcy tańczą w prysiadach, podrzucając ziemię wysoko. Z boku drepczą dwie zaczerwienione, podchmie-lone baby podśpiewując ochoczo:

„Uch-tiu-tiu! Uch-tiu-tiu!“

Na wzgórku kilkoro dzieciaków w brudnych koszulinach drze się wybijając takt piętami

„Z hory ta w dołynu
Na czerwomu kałynu...“

A nisko na kładce, prawie już w wodzie stoi kobieta w czer-wonej „namyście“ mężatki. Rękawy koszuli zakasała, spódnicę podpięła, śniada jej skóra połyskuje tonami opalu, monotomie uderza bieliznę o nogi swoje i plusk się rozchodzi szeroko, a wtóruje mu pieśń taka znana, pospolita.

„Kažut ludy szczom szczastływa,
Ja z sioho smijusia,
Bo ne znajut, jak ja czasto
Słozamy zaljusia...“

Beznadziejna skarga w głosie...

To Mełanka.

Hanka zna ją, przychodzi czasem do dworu pomagać pracce, ładna kobieta, córka dostatniego gospodarza, kilka lat dopiero, jak za mąż poszła, i mąż ją kocha, nie bije, a jednak...

— Ja nykoły szczastja ne zaznała, nykoły ne buła szczastły-wa—powiedziała kiedyś Ilance tym swoim dźwięcznym, przejmują-cym głosem.

Jakiego szczęścia pragnęła Mełanka? jak je pojmowała? skąd jej to przyszło? czy z tego wichru co szumi po stepie? czy z tej tęsknicy dumki ukraińskiej?

Pieśń już skonana! ona jeszcze chwilę stoi nieruchoma z opu-szczonemi wzdłuż ciała rękoma, zapatrzona w cichą wodę, poczem

składa „chusty,“ zawraca i leniwo pnie się ku górze, a słońce delikatnie całuje bosc jej stopy.

„Uch-tiu-tiu! Uch-tiu-tiu!“

jęczą baby kręcąc się w kółko.

„Po preczystoj barwinoczok
Bude Chrysti na wianoczok!“

kończą piskliwie dzieciaki.

Hanka ogarnia wzrokiem horyzont.

Na skraju nieba wiatrak sunie wolno swe skrzydła, skrzydła upiora, gdzieś z pola owce pędzą do domu i kurz się kłębi, od buraków wraca gromada dziewczyn z motykami na ramionach, na podwórzu żuraw studzienny skrzypi przeraźliwie, rozlega się gwizd młocarni na znak, że dzień pracy, dzień znoju się kończy, jaskółka znowu szybuje nad stawem, pajak na łodydze bodiaka się swą rozpina.

Wszędzie życie...

Wieki już na to patrzyły, wieki jeszcze patrzeć będą!

A słońce złoto zachodzi!...

ORY JELSKA.

O CYPRYANIE NORWIDZIE.

Próba charakterystyki. Przyczynki do obrazu życia i prac
poety, na podstawie źródeł rękopiśmiennych.

„Synu minie pismo, lecz ty spomnisz, wnuku!”

C. Norwid (z „*Vade mecum*”).

Wymownemu wzywaniu Miriama (p. Zenona Przesmyckiego), który z taką gorliwością podjął niełatwe zadanie rozproszenia mroków, otaczających postać i działalność twórczą Norwida, pragnę uczynić zadość, spożytkowując materiały rękopiśmienne, jakie znalazły się w posiadaniu mojem, dzięki uprzejmości p.p. Dyonizego Zaleskiego i prof. d-ra Kallenbacha. Pierwszy przesłał mi odpisy listów, artykułików i wierszy Norwida, jakie przechowały się w puściźnie Bohdana Zaleskiego; drugi odstąpił mi uprzejmie dokumenty, zaczerpnięte z archiwum paryskiego, za łaskawem zezwoleniem generałowej hr. Zamoyskiej. Ponadto pani Michalina z Dziekońskich Bronisławowa Zaleska przysłała mi łaskawie wiersz niedrukowany Norwida i udzieliła kilku o nim nieznanych szczegółów, a pani Anna Ludwikowa Norwidowa, bratowa poety, w uprzejmej odpowiedzi na list mój, rozjaśniła stanowczo zagadkę nagłego wyjazdu jego do Ameryki.

Tym wszystkim osobom składam gorące podziękowanie, tem gorętsze, im więcej światła rzucają te rękopiśmienne dokumenty i drobne na pozór, a tak charakterystyczne szczegóły poufne, na życie i twórczą działalność Norwida. Studium niniejsze jest przeto poniekąd uzupełnieniem tego, co już zostało wydrukowane, co ogłosił Miriam w „Chimerze,” w szczególności zaś w jej tomie VIII,

całkowicie pamięci poety poświęconym, co przynosi studyum „Pro Norwid,“ napisane przez Jean Paul d'Aderschah (Jan Kaczkowski), a poprzedzające niemieckie przekłady niektórych utworów Norwida¹⁾, co wreszcie obok najświeższego wydawnictwa p. Romana Zrębowicza²⁾, podają ukazujące się coraz częściej po rozmaitych czasopiśmiech fragmenty, tak zwane „Norvidiana.“

Oto źródła, z jakich czerpałem. Źródła niewątpliwie cenne, lecz pozostawiające, niestety, zbyt jeszcze wiele szczerb, by na ich podstawie można było przedstawić całokształt życia i działalności artysty i poety. Na wypełnienie szczerb tych czekać jednak dłużej niepodobna. Sądzę, że lepiej podać w zestawieniu mniej więcej krytycznem to, co złożyć można na podstawie tych dokumentów i źródeł.

I.

Trzy pierwiastki duchowe.

Berlin—Bruksela—Rzym. Oto etapy życia Norwida od r. 1845 do 1849, życia, pełnego jeszcze złudzeń, uczucia i wiary w siebie. Wyjeżdżając z Warszawy w r. 1843 na studia artystyczne do Włoch, do Florencyi, liczył Norwid zaledwie lat 21. Wybór tych studyów nie bardzo, zdaje się, dogadzał rodzinie. W r. 1858 w liście do Karola hr. Krasińskiego wspomina o tem sam Norwid w tych słowach: „...kiedy doniesiono ś. p. Dziadowi mojemu, że wszedłem do Florenckiej akademii i rzeźbę robię—Dziad mój zgorzzył się tym wyborem przedmiotu.“³⁾

W młodszej duszy poety i artysty walczyły wówczas z sobą sprzeczne uczucia, które z kolei brały w niej górę i na których podłożu wyrabiał się i wyrobił późniejszy jego charakter. Psuty przesadnemi pochlestwami przez damy, zwłaszcza starsze, z warszawskiego świata i niektórych swych rówieśników, rósł w wielkie zarożumienie o sobie. Na zarożumienie to padały lodem

¹⁾ Cyprian Norwid. Eine Auswahl aus seinen Werken, übersetzt und eingeleitet von J. P. d'Aderschah. Verlag von J. C. C. Bruns. Minden i. W.

²⁾ Cyprian Norwid. „Wybór poezyj.“ Zebrał i objaśnieniami zaopatrzył Roman Zrębowicz. Lwów, 1908.

³⁾ „Dwa listy Norwida.“ Kuryer Lwowski, z 18 kwietnia 1908 r.

słowa, zbyt niekiedy surowe, krytyki fachowej, tem dotkliwiej bolał rozgłos powag uznanych. A pod wpływem tych dwóch tak krańcowo sprzecznych wrażeń, po części może także wskutek owej niechęci rodziny do jego artystycznych aspiracyj, rodziła się w sercu młodzieńca gorycz, która w późniejszych latach, spotęgowana bolesnymi zawodami życiowymi, stężeła w szyderstwo.

Szydercza ta gorycz dyktowała mu już w r. 1848 w wierszu p. t. „Rzeczywistość i marzenia“ słowa do „tej, co się *dzisiaj* dotknąć strun ośmiela:“

„... Chroń się Mistrzów wielkich, co dziś nucą,
Bo oni *klątwe* swej *wybujałości*
Na twoje młode ramiona zarzuca,
I zamiast tobie dać błogostawieństwo,
Przytulić słowem i ogrzać wyznaniem,
Oni ci laurów swych dadzą przekleństwo.
Strzeż się ich—ciesz się lepiej uraganiem
I módl się za te *szkielety ogromne*...“

Słowa te, zastosowane wyraźnie do Mickiewicza i Krasińskiego, odzwierciedlają najwierniej ówczesny stan duszy Norwida, który, jakkolwiek uznawał siłę ich geniuszu, chociaż łączyły go z nimi, jeśli niezbyt może ściśle i poufałe, to jednak bliskie, osobiste stosunki, nie mógł się wyzbyć pewnej zawiści, mówiąc o ich sławie, nie mógł się powstrzymać, aby w ich postępowaniu z sobą nie podejrzewać, bezwątpienia niesłusznie, „uragania,“ co było zapewne tylko wyższością tonu ludzi starszych i powszechnie uznanych.

To samo uczucie podyktowało poecie, znacznie później, ho w „Odpowiedzi,“ danej Deotymie na jej entuzjastyczny wiersz z r. 1857, rozpaczliwą skargę końcową:

...*kto inny ma laur i nadzieję,*
Ja—jeden zaszczyt, być człkiem...

W dalszym ciągu przekonamy się, że owa gorycz szydercza, wyrosła na uczuciu zapoznania swej wartości, nie opuściła go już nigdy, że oddziaływała na jego stosunek z Mickiewiczem i z innymi, a niewątpliwie wpłynęła fatalnie na cały los poety i twórczość jego.

Ze tak było rzeczywiście świadczy najdobitniej ustęp z listu bratowej poety, pani Anny Norwidowej (Francuzki z domu)¹⁾, która tak pisze:

¹⁾ Mss.

„J'ajouterais encore un détail sur Cyprien. C'est une vieille dame la Maréchale Kuczyńska qui me l'a donné. Elle avait connu le poète tout jeune—dix neuf ans, il me semble, et elle me disait qu'il était beau, spirituel, artiste jusqu'au bout des ongles; mais les vieilles dames surtout l'ont trop gâté. On le nommait déjà Mickiewicz, Słowacki, et Madame Kuczyńska prétendait que cet encens a beaucoup nui à son avenir et je suis un peu de son avis.“¹⁾

I jeszcze jedno niepodejrzane świadectwo — Teofila Lenartowicza; niepodejrzane dlatego, że sam Norwid stwierdza w jednym z listów do Maryi Trembickiej,²⁾ że żył z nim zawsze „w braterskiej przyjaźni.“ Otóż Lenartowicz, pisząc w liście do Adama Pługa o swoim pierwszym pobycie w Paryżu i poznaniu się z Bohdanem Zaleskim w Fontainebleau, tak się wyraża: „Cypryan Norwid, który mi służył za kornaka w Paryżu—raz szalenie pyszny, raz dobry jak anioł i pełen serca...“³⁾

Chcąc przeto przedstawić sobie w całej pełni usposobienie poety, z jakim puszczał się w świat szeroki, chcąc należycie zdać sobie sprawę z dalszych kolei jego życia i twórczości, potrzeba koniecznie mieć na uwadze ten zasadniczy pierwiastek duchowy: silne poczucie swej wysokiej wartości i niemniej silny żal, że ta wartość nie jest należycie uznana, że jest ścigana „klątwą wybujałości“ Mistrzów wielkich, „przekleństwem ich laurów.“ I stąd to ten człowiek z natury „dobry jak anioł i pełen serca“ bywał czasami „szalenie pysznym.“

Wnikając jeszcze głębiej w tę młodzieńczą, pełną zapału i natchnienia duszę, dostrzegamy w niej nadto inne charakterystyczne uczucia, bardzo szczerze, które również nie miały wpływu wywarły na losy i życie Norwida.

To przedewszystkiem głęboka wiara, szczerza religijność i gorące przywiązanie do katolickiego kościoła. Uczucia te, jak w następstwie zobaczymy, nie pozwoliły mu ani na chwilę dać się

¹⁾ „Dodam jeszcze jeden szczegół o Cypryanie. Podala mi go sędziwa dama, marszałkowa Kuczyńska. Znała ona poetę bardzo młodym, w wieku podobno lat dziewiętnastu, i mówiła mi, że był piękny, dowcipny, artystą do szpiku kości, lecz starsze zwłaszcza damy zanadto go popsuly. Nazywano go już Mickiewiczem, Słowackim, i pani Kuczyńska utrzymywała, że to kadzidło mocno zaszkodziło jego przyszłości, a do tego zdania i ja się nieco skłaniam.“ (Z listu pani Anny Norwidowej z 18 czerwca 1908 r.)

²⁾ „Chimera“, tom VIII, str. 388.

³⁾ „Kłosa“ r. 1886, „Wspomnienie o Bohdanie Zaleskim“, № 1091, str. 332.

wciągnąć w obłąd Towianizmu lub spirytyzmu ¹⁾; one sprawiły, że zdołał się oprzeć wpływowi Mickiewicza i nie poszedł za głosem jego rzymskiego „manifestu,” one to wreszcie uzbroiły jego rękę w obronie władzy doczesnej papieża i odbiły się tak w jego poezjach, jak i w dozgonnem uwielbieniu dla osoby Piusa IX.

Mniej doniosłem w następstwach, lecz także charakterystycznym było głębokie przekonanie Norwida o swem wysokiem pochodzeniu rodowem. Odbiło się to w fantastycznym wywodzie genezy rodu Norwidów, zamieszczonym w „Autobiografii” ²⁾, przejawia się w listach poety, w których on często kładzie nacisk na swe pochodzenie po kądzieli od króla Jana III.

Wedle autentycznej metryki, ogłoszonej w tomie VIII „Chimery” ³⁾ urodził się Cypryan Norwid, d. 24 września 1821 r., jako syn Jana Norwida, dziedzica majątności Laskowo Głuchy, i Ludwika ze Zdzieborskich. Matka jego urodzona była z Sobieskiej, jak o tem wspomina sam poeta w liście do Maryi Trembickiej z 8-go kwietnia 1856 r. ⁴⁾ Wzmianka w tym wypadku upozorowana była prośbą, by p. Trembicka odwiedziła ciotkę jego, mieszkającą w Warszawie; powtarzam: *upozorowana*, bo nie była konieczna, ciotka ta bowiem nosiła „nazwisko męża siostry Deotymy” (Komiczewska). Norwid jednak dodaje cały genealogiczny wywód: „Jest mi ona ciotką—pisze—przez jednego z dziadów mych, Sobieskiego, dziadów z matki mej.” A w nawiasie dodaje: „Matka moja rodzi się z Sobieskiej, córki miecznika Sobieskiego.” Na tej wzmiance jednak nie koniec. W jednym z listów Norwida do Bohdana Zaleskiego, bez daty, lecz pochodzącym niewątpliwie z końca r. 1851 ⁵⁾ mamy obszerniejsze o tem szczegóły, a zarazem stwierdzenie zapatrywań poety arystokratycznych. Było to w cza-

¹⁾ Patrz przypisek umieszczony przy wierszu „Rzeczywistość i marzenia.” „Chimera,” tom VIII, str. 358. Na jakiej podstawie prof. Al. Brückner w tomie II swoich „Dziejów literatury polskiej w zarysie” (str. 343, wydanie drugie) pisze o C. Norwidzie: „Towiańczyk, jak Słowacki...” domysleć się trudno. Towiańczykiem był brat Cypryana, Ludwik, o czem jest wzmianka w „Historji Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego” ks. Pawła Smolikowskiego, tom IV, str. 189. Vide także wiersze Słowackiego do Ludwika Norwida „w braterstwie idei świętej.” Malecki: „Pisma pośmiertne” tom I, str. 72—73.

²⁾ F. Kopera: „Wiad. num. arch.,” 1897, str. 5 i 6.

³⁾ Str. 437 i 438.

⁴⁾ „Chimera,” tom VIII, str. 386.

⁵⁾ Mss.

sie jego pierwszego pobytu w Paryżu, w którym „żywił się ja-dami, niezrozumieniem, zawiścią marną, bezsilnemi pogroźkami i paskudną małością.“ Między innemi otrzymał wówczas poeta „szerokie skargi od arcy-liberalno-socyalnej strony,“ a wśród tych skarg zarzut, że „arystokracją jest tak niezrozumiale pisać.“ Na zarzut ten odpowiedział poeta „do żywego rozdrażniony,“ że „gdy-by tak płaskim był, to nie szukałby arystokracji swojej w pisa-niu książek, ale poszedłby już *drogami przeszłości. w kierunkach przeszłości* i zstąpiłby tam, gdzie, zaiste, sądzi, iż niemniej od ko-gokolwiek bądź uroszczeń znalazłby, gdyż dziadowi jego, pułko-nikowi Sobieskiemu, po poszukiwaniach szczególnych, policya lubo moskiewska dozwoliła pogrzeb na katafalku tym wystawić, na którym kapucyni dla króla Jana Sobieskiego egzekwie wy-prawiali...”

Dołącza do tego Norwid obszerny wywód genealogiczny, wedle którego pradziadem poety był Józef Sobieski, który z ks. Radziwiłłem podróżował do Paryża, a umierając tamże oddał mu w opiekę synów swoich.¹⁾ Ten Józef Sobieski miał być mieczni-kiem liwskim, a synów odumarł dziećmi; po jego zaś śmierci za-szły spory o dziedzictwo, o puściznę po nim. „Przysiężono — pisze Cypryan że żadnego z Sobieskich w kraju niema. Tymczasem powrócili owi synowie Józefa: Jan, Ignacy i Michał. Ten ostatni pod koniec życia stał na czele „Heroldyi Królestwa Polskiego.“ I tu się dowiadujemy nieznanego szczegółu, że Cypryan służył pod nim w tym urzędzie czas jakiś w Warszawie.

Owi zatem Sobiescy, po swym z zagranicy powrocie, rozpo-częli „poszukiwania dla odzyskania fortun,“ a te poszukiwania, zarówno jak i interwencya księżnej de Nassau, „która w kuzy-nostwie z nimi jest,“ nadały sprawie taki rozgłos, że król Stani-sław August Poniatowski wziął w opiekę najstarszego Michała Sobieskiego i do korpusu kadetów oddał. Kiedy dla króla Jana III pomnik w Łazienkach stawiał—opowiada dalej Norwid — „ubrawszy dziecko w polski strój, prowadził za rękę na to miejsce, jako do tejże rodziny należącego, ostatniego.“ Dowiadujemy się dalej z te-go listu, że gdy „Heroldya legitymować się kazała, a oni wylegi-tymowali się, postawiono Michała z Komorowskim i Walewskim

¹⁾ Edward Kotłubaj w swej „Galeryi Nieświezkiej portretów Radzi-wiłłowskich,“ w monografii ks. Karola Radziwiłła, wspomina o Józefie Sobie-skim, który był komendantem Nieświeża i w czerwcu 1764 r. poddał go skon-federowanemu wojsku litewskiemu, wspieranemu przez oddział rosyjski (str. 479).

na czele. A jak umarł, to nastąpił ten szczegół (z katafalkiem) i oficjalne ogłoszenie w „Kuryerze Warszawskim“ 1842 r., że to ostatni najstarszy syn z rodu onego króla Jana, czego nieprzyjaciele Ojczyzny niezaprzeczyli.“¹⁾

Nie naszą rzeczą jest dochodzić, o ile pretensye poety do pochodzenia od króla Jana były uzasadnione. To pewna, że powtarzał on w najlepszej wierze rzeczy, zasłyszane w dzieciństwie od babki Hilaryi Sobieskiej, u której się wychował, a również jest pewnem, że jak owe „pochlebstwo dam starszych,“ mieniące go drugim Mickiewiczem lub Słowackim, wyrodziły w duszy młodzieńca nadmierne przekonanie o swej wyższości, tak i te tradycye „królewskiego pochodzenia,“ tkwiące w nim tak głęboko, że w latach już późniejszych, na obczyźnie, trzymając dziecko do chrztu, obstawał, by mu dano pierwsze imię Jan, na pamiątkę króla²⁾, wpływały niejednokrotnie na jego stosunki z ludźmi i przyczyniały się do spotęgowania wewnętrznej goryczy.

Widocznie też nie wszyscy uznawali autentyczność tych wywodów genealogicznych, wielu zaś to drażniło, bo w tymże liście do Bohdana Zaleskiego pisze Norwid, że z powodu tych królewskich pretensyj, „którym nieprzyjaciele Ojczyzny nie zaprzeczyli,“ wszakże „Budzyński na Seweryna Sobieskiego, najniewinniejszego człowieka, co w Belgii jest, bardzo rozgniewany!“ I dodaje z żalem: „Do komedyi Falstafo-Dantejskiej jeden więcej szczegół i obraz! Bóg z nim!“

Z tych trzech pierwiastków wewnętrznych, jakie Cypryan Norwid wynosił z sobą z kraju w świat szeroki, t. j. wysokiego rozumienia o swej wyższości umysłowej i poczucia swej rodowej wyższości, które przyniosły mu w rezultacie rozczarowanie i gorycz, tylko trzeci: głęboka religijność i wiara, miał mu być dźwignią wśród morza udręczeń, w jakie go pogrążyły dwa pierwsze, a zwłaszcza najpierwszy.

To też poeta zwracał się zawsze ku Bogu, jako jednemu źródłu pociechy, a nawet w chwili najcięższej w życiu, w przededniu niemal wyjazdu do Ameryki, stwierdzał, że:

*...ludzie, kiedy mnie mylili,
Było mi zawsze tam rzeźwicy do Boga,
I rozpiórzały się ramiona moje,
Patrzyłem w zawrot gwiazd, w wieczne spokoje.³⁾*

1) Patrz także „Autobiografia,“ str. 6.

2) List do Maryi Trembickiej, „Chimera,“ t. VIII, str. 403 i 404.

3) „Chimera,“ t. VIII, str. 359.

II.

W Berlinie.

Pobył Norwida we Florencyi, Neapolu i Berlinie, obejmujący okres czasu od 1843 do połowy 1846 r. wyczerpuje i zamyka tę krótką epokę życia poety, którąby nazwać można promienną, pełną złud i marzeń młodości. Nie brakowało tu zapewne chwil smutnych, szarych, utęsknień ponurych i rozczarowań, ale był to jeszcze czas, w którym poeta był przekonany, że „złość“ niema istnienia osobnego i samodzielnej siły, że jest tylko brakiem dobra, jak cień jest brakiem światła, i niema cienia osobnego, samodzielnie ciemnego, niema słońca „czarnego.“¹⁾ Nie wierzył jeszcze wówczas poeta w istnienie złego, natomiast „wierzył w dobrą wiarę.“

Chwilą przełomową jest tu chwila poznania się z panną Maryą Trembicką, a raczej z jej towarzyszką i przyjaciółką, słynnie piękną panią Maryą Kalergis.

Gdzie nastąpiło to poznanie się? Czy we Florencyi lub Neapolu w r. 1843 lub 44, jak twierdzi p. Stanisław Kossovski w przedmowie do „Listów do Maryi Trembickiej“²⁾, czy też przedtem jeszcze w Warszawie, podrzędna jest rzeczą; ściślejże zbliżenie się nastąpiło niewątpliwie dopiero we Włoszech, gdzie odbywano razem wycieczki i przejażdżki konne, których wspomnienie ścigać miało poetę długo jeszcze potem. W początkach stycznia 1845 r., wracając z konnej wycieczki na przedmieścia Berlina, w wieczór dżdżysty, wśród błota i drzew z liści obnażonych, przypomina sobie z tęsknotą Norwid wspólny powrót konno z Wezuwiusza. Była wówczas także cichość wieczorna, „ale nie taka“³⁾.

Co poetę przyгнаło z pod włoskiego nieba do Berlina, do tego, jak go nazywał, „pośepnego miasta?“ Oprócz innych, zapewne artystycznych, celów, kierowała nim niewąpliwie nadzieja spędzenia jeszcze bodaj chwil kilku w towarzystwie pani Kalergis i panny Maryi Trembickiej, z których pierwsza obudziła w nim namiętne uczucie miłości, a druga stała się powiernicą, „kochaną siostrą,“ „drogą kuzynką.“

¹⁾ List do Maryi Trembickiej z 2/I 1845 r. „Chimera,“ t. VIII, str. 335.

²⁾ „Chimera,“ l. c., str. 323.

³⁾ „Chimera,“ l. c., str. 333.

Nie był wszakże pewny, czy je zostanie w pruskiej stolicy. Wyjechał z Rzymu wśród tysiącznych przeciwności: Zamiast pieniędzy, otrzymał wiadomość o pożarze w domu siostry, niedaleko Warszawy, a przytem był słaby. Nie brakło też fatalnych prognostyków: miał wziąć miejsce w dyliżansie, który potem obrabowany został opodal Monterosso; wagon, idący bezpośrednio za nim, strzaskał się pomiędzy Wiedniem a Lejpnikiem, wreszcie poeta zgubił pasport i pugilares z pieniędzmi...¹⁾

Pomimo tych wróżb złowrogich stało się jednak to, czego pragnął Norwid: obie panie zastał jeszcze w Berlinie. Mieszkały w Meinbards-hotel. Było kilka chwil promiennych, uroczych, dzięki zwłaszcza pani Maryi Kalergis, która za świadectwem samego poety, miała „taką siłę humoru, że wszędzie może jej być wesoło, a musi być przyjemnie“²⁾. Pod tym wpływem ożywił się Norwid, jak student na wakacyach, a swawolny i wesoły zyskał sobie przezwisko *le Gamin*, którem podpisywał pierwsze kartki, pisane w Berlinie i posyłane do hotelowego mieszkania panny Trembickiej.

Niedługo to wszakże trwać miało; pani Kalergis wkrótce wyjechała, pogrążając poetę wogromną tęsknotę, łagodzoną wszakże nadzieją i uśmierzaną przyjazną dłonią „dobrej siostry,“ panny Trembickiej. „Ja umiem się spodziewać!“ woła Norwid w pierwszej berlińskiej kartce, „czego dowodem *wczoraj*,“ zapewne dzień pożegnania. I dodaje: „będę się jeszcze więcej, wiele więcej spodziewał.“ Ta nadzieja go krzepi, chociaż „miałby powód być smutnym,“ prosi też, aby mógł jeszcze tegoż samego wieczora przyjść do swojej „dobrej siostry,“ której stałą przyjaźń ślubuje. Przyjdzie, i będą się wspólnie pocieszać w swym smutku po odjeździe pani Maryi.

Dalsze bileciki berlińskie, których ogółem jest cztery, świadczą, że węzły przyjaźni pomiędzy Norwidem a panną Trembicką, na podstawie wspólnej tęsknoty za oddaloną uroczą panią Maryą, coraz bardziej się zacieśniały; przyjaźń przeobrażała się w ścisły stosunek braterskiej poufałości. Poeta wynurzał „kochanej siostrze“ swoje uczucia dla tej, która odjechała, a panna Trembicka serdecznymi węzłami połączona z towarzyszką, słuchała zwierzeń ze współczuciem, dzieliła smutek.

¹⁾ „Chimera,“ I. c., str. 335.

²⁾ „Chimera,“ I. c., str. 325.

Musiąło to być wielkie, szlachetne serce tej Maryi Trembickiej, umiejące koić, łagodzić, uśmierzać. Dobroć, czysto niewieścia, w połączeniu z niepospolitą inteligencją, stanowiła urok, który oddziaływał na Norwida z nieprzepartą siłą, a i w późniejszych życia kolejach był mu dźwignią, jedynym wśród mroków jasnym promieniem. W dziesięć lat później, po powrocie z Ameryki w r. 1856, w wielkiem skołataniu ducha, pisał jeszcze do Maryi Trembickiej, że gdy go wszystko i wszyscy opuścili, „kiedy na drugim biegunie świata znajdował się w położeniach, o jakich romansiści pisują tylko, bo żaden z nich *nigdy w takich nie był położeniach*“¹⁾, trzy tylko rzeczy nie opuściły go nigdy, a to: „1) religia, 2) sztuka, 3) przyjaźń p. Maryi Trembickiej,“

Taką przyjaźń obudzić i takiej przyjaźni dochować mogła tylko osoba, tak wysokich przymiotów ducha i umysłu, jak Marya Trembicka.

Córka generała brygady, wczesnie pozostawiona sierotą (ur. 1821 † 1896), wczesnie też samodzielnie myśleć i działać zaczęła, uzupełniając wykształcenie swoje podrózkami po obcych krajach, w towarzystwie jednej z najbardziej świetnych i wykształconych niewiast owego czasu, pani Maryi Kalergis. Później żona znakomitego poety, Felicjana Faleńskiego, dała się też poznać na polu literackiem, nie tylko ze wzorowych przekładów obcych arcydzieł, lecz i z powieści i prac oryginalnych. Już w bardzo młodym wieku musiała objawiać niezwykle zdolności i samodzielność sądu. W podróżach swych, w epoce, w której spotkał ją Norwid, liczyła zaledwie lat dwadzieścia parę, a umiała zawiązywać i utrzymywać znajomości z takimi ludźmi, jak: Humboldt, Jules Janin, Ida Hahn-Hahn, kardynał Mezzofanti, Liszt, Rossini, Edmund Chojecki i inni.

Taką była „dobra, kochana siostra“ Norwida, a kimże była owa jej towarzyszka i przyjaciółka serdeczna?

Marya Kalergis (zwana u nas zwykle Kalerdzi lub Kalergi) była córką Fryderyka Karola hr. Nesselrode, bratanka Karola Roberta, potężnego później kanclerza Rosyi. Hr. Fryderyk, nie posiadający majątku, był w służbie rosyjskiej i zajmował stanowisko adjutanta w. ks. Konstantego w Warszawie. Tu, w późniejszym już wieku, ożenił się z młodziutką i piękną Polką, Teklą Natęcz Gorską, a z małżeństwa tego, zresztą nieszczęśliwie

1) „Chimera“ I. c., str. 384.

dobranego ¹⁾, pozostało dwie córki, z których starsza Marya (ur. 1823 r.) dostała się pod opiekę stryja, wówczas już ministra spraw zagranicznych w Petersburgu, hr. Karola Nesselrode ²⁾. Marya zasłynęła wkrótce niezwykłą urodą. Książę Wiaziemskij pisze o niej:

„Polski i niemiecki żywioły potęczyły się harmonijnie w jej osobie, każdy to jej przydając, co pięknego w nim się mieściło. Promieniała ona zarówno niepokonanym urokiem sarmackiej kobiecości, jak łagodnym, matowym blaskiem germańskiej Tusneldy. Dodawała jej jeszcze więcej uroku błyskotliwość francuskiego szyku i bystrość inteligencji. Łatwo więc zrozumieć, że królowała wszędzie, gdzie tylko miano zaszczyt ją gościć. Dodać zaś wypada, ku chlobie Maryi, że nawet w odurzającej atmosferze swych sukcesów i położenia towarzyskiego, umiała zachować świeżość i naturalną żywość uczucia“ ³⁾.

Jeden z dyplomatów angielskich, sir Horace Rumbold, pisze o niej z zachwytem:

*A daughter of the gods, divinely tall,
And most divinely fair.*

„Żadna kobieta owego czasu — twierdzi on dalej — nie była przedmiotem tak szczerego i głębokiego podziwu, jak ona... W społeczeństwie swego pokolenia grała ona tak wybitną rolę, że należy tem samem do historii współczesnej“ ⁴⁾.

Przebywał wówczas w Petersburgu młody, 25 letni Grek, niezmiernie bogaty, a znakomitego rodu, nazwiskiem Jan Kaler-gis. Miał on pochodzić w prostej linii od owego wojownika, który w XV w., walcząc na czele własnej fregaty, po stronie Rzeczypospolitej weneckiej, z Turkami, w nagrodę skutecznej pomocy otrzymał rękę córki doży Vendramina i słynny pałac w Wenecyi, noszący po dziś dzień nazwę: Vendramin-Kalergis.

Otóż milionowemu Grekowi temu podobała się niezmiernie piękna, szesnastoletnia zaledwie Marya Nesselrode. *C'est la grande blonde, que je désire épouser!* — zawołał, ujrzawszy ją po raz pierw-

¹⁾ Tekla z Gorskich hr. Nesselrode, rozłączona z mężem, zmarła w Paryżu 1848 r.

²⁾ N. W. Berg „Russkaja Starina,“ 1880 r. A także: „Marie von Muchanow-Kalergis in Briefe an ihre Tochter.“ Herausgegeben von La Mara. Leipzig, 1907.

³⁾ „Dzieta,“ Petersburg, 1879, II, str. 15 i 16.

⁴⁾ Recollections of a diplomatist. London, W. Edward Arnold, 1902.

szy w towarzystwie kuzynek. Stryj-opiekun Maryi nie stawiał przeszkód, rad może pozbyć się z domu wychowawicy, której niezwykła uroda zaćmiewała wdzięki jego własnych córek. I stało się, że niebawem ów Jan Kalergis, mały i szpetny, stał się małżonkiem pięknej Maryi, na której imię złożył przedtem przekaz na dwa miliony rubli.¹⁾

Szczęścia jednak za miliony nie kupić. Już w podróży poślubnej zagranicę wybuchły nieporozumienia, które się załagodzić nie dały. Pełna poetycznego nastroju, niezwykłych zdolności i nad wiek swój wykształcona, kochająca nadewszystko muzykę i sama utalentowana pianistka, zasłuchana duszą całą w strofy Byrona, w dźwięki Mozarta i Rossiniego, Liszta i Chopina, piękna pani Marya nie mogła pogodzić się z nawskroś prozaicznym, znacznie mniej wykształconym a zazdrosnym małżonkiem. Niebawem nastąpiło rozstanie. Pan Kalergis kupił pałac w Londynie i tam zamieszkał, a przyjąwszy poddaństwo wielkobrańskie, zmienił nawet nieco swoje greckie nazwisko i stale już odtąd pisał się z angielską: Kalergi.

Pani Marya zaś rozpoczęła tryumfalny pochód po Europie. Za jej rydwanem ciągnął się długi szereg najpierwszych znakomitości ówczesnych. Kolejno składali jej hołdy z poetów: Musset i Heine; pierwszego melancholiję po rozstaniu się z George Sand jedna tylko pani Marya rozproszyć zdołała; drugi nazwał ją „katedrą boga miłości,” a poświęcił jej jeden z najpiękniejszych swych poematów: *Der weisse Elephant*, w którym mówi o niej:

*Das ist Gott Amors kolossale
Domkirche, der Liebe Kathedrale;
Als Lampe brennt im Tabernakel
Ein Herz, das ohne Falsch und Makel.*

Nie przeszkadzało to Heinemu ścigać ją potem sarkazmem i gdy raz, będąc już bardzo chorym w Paryżu, dowiedział się, że jedna z jego znajomych jedzie z panią Kalergis do Panteonu, zawołał: „A cóż robić będzie pani Kalergis w Panteonie? *Sie ist selbst ein Pantheon, wo grosse Männer rechen!*“

W sarkazmie tym tkwiła rzeczywista prawda. Nie było niemal bowiem wielkości w ówczesnej Europie, któraby nie złożyła swego hołdu świętej pani Maryi. Obok Musseta i Heinego, wy-

¹⁾ „Marie von Mouchanoff-Kalergis.“ Einleitung, str. XIII. Patrz także „Nasz kraj,” 1906, № 9.

mienić należy w tym wspaniałym szeregu wielbicieli Teofila Gauthier¹⁾; z muzyków Liszta, a z mężów stanu: hrabiego Molé, prezydenta gabinetu i ministra spraw zagranicznych za czasów Ludwika Filipa, dalej dyktatora Eugeniusza Cavaignaca, wreszcie Ludwika Napoleona, późniejszego Napoleona III!...²⁾

Nie brakło tu i Polaków z rodów magnackich. Między innymi wymieniają Adama hr. Potockiego i Józefa hr. Szembeka. O jednym z polskich magnatów, który tyle majątkości posiadał, że o mniejszych swych wioskach zapominał zupełnie, opowiadają, że chcąc przypodobać się pani Maryi, która artystycznie grając na fortepianie, bez muzyki obejść się nie mogła, w czasie jej ciągłych po Europie podróży dylizansami pocztowymi, na każdą stację sprowadzał z najpierwszych fabryk najcenniejsze fortepiany. Pani Marya grała zachwycająco i uśmiechała się wdzięcznie, lecz ów magnat musiał sobie niebawem przypominać nazwy swych najmniejszych nawet posiadłości, które śladem większych poszły w ruinę...

W takiej to „gwieździe“ rozmiłował się Norwid w r. 1845, to jest w samych początkach jej tryumfalnego pochodu po nieboskłonie Europy. Prawdziwy *ver de terre amoureux d'une étoile!*

Nie trudno pojąć, że tego rodzaju kobieta mogła olśnić i oczarować umysł i serce tak wrażliwe, jak Norwida. Łatwo też sobie wytłómaczyć jego wytrwałość w uczuciu, które jakkolwiek zawiedziona, jakkolwiek stało się klęską i kłatwą jego życia, zwracało się ciągle ku tej jedynej, której podobnej nie spotkał nigdzie na obu półkulach świata...

Marya Kalergis liczyła wówczas zaledwie lat 22, była więc w samym rozkwicie swej wspaniałej urody. Olśniła nią Norwida odrazu a pociągnęła niezwykłymi przymiotami umysłu. Poeta upatruje w niej wszelkie doskonałości. Już w pierwszej swej kartce berlińskiej, przesłanej Maryi Trembickiej, mówi o „szerokiem pojęciu obowiązku, jakie ma pani Marya“³⁾. Dyskretny jednak niezmiernie, urywkowo tylko a czasem nie wymieniając nawet imie-

¹⁾ Patrz jego „Emaux et Camées.“ Paris, 1895. „Symphonie en blanc majeur.“

²⁾ Patrz: N. W. Berg w „Russkiej Starinie“ (1880). „Heinrich Heine und die Frauen“ d-r Adolf Kohut, Berlin, 1888. „Marie von Mouchanoff-Kalergis.“ Leipzig, 1907. Aby ocenić znaczenie Maryi Kalergis i rolę, jaką odgrywała, patrz także felietony Stan. Kozmiana w „Czasie“ p. t. „Kobieta polityczna.“ Wreszcie artykuł J. W. O. w „Naszym kraju.“ 1906, № 9.

³⁾ „Chimera.“ t. VIII, str. 325 i nast.

nia, mówi o swym ideale. W liście, pisanym z Berlina, 16 grudnia 1845 r., już po wyjeździe panny Trembickiej, zapewne do Warszawy, nazywa panią Kalergis *Panią naszą*. trwoży się o jej zdrowie, zapewnia, że gotów jest sam natychmiast do Warszawy pospieszyć, w razie gdyby „*Pani naszej* zdrowie lub inna jaka okoliczność stała się groźnic na przeszkodzie.“ Przepuszczać też można, że w dalszym ciągu tego listu litera *S* oznacza nie kogo innego, tylko panią Kalergis, która dla interesów z familią i jakiegoś procesu „nagle powrócić musiała.“ Prosi tedy Norwid, aby panna Trembicka mu doniosła „czy pani *S* ukończy ten swój proces,—czy ten na ziej stopie?“

Mniemam, że mowa tu o układach z mężem, a może o procesie rozwodowym. Do rozwodu namawiano wówczas panią Kalergis, a zapewne pragnął tego i Norwid. Pani Kalergis oparła się, ze względu na córkę jedynaczkę, także Maryę (późniejszą hr. Coudenhove), do której w wiele lat później pisze: „*Sans vous, j'aurais suivi les conseils détestables qui m'entouraient de divorcer et de réparer les vigneurs du sort.*“¹⁾

Mogłoby to tłumaczyć poniekąd owo dyskretne tajenie nazwiska nawet w liście do „dobrej kuzynki,“ ów niepokój i gotowość przyjazdu w razie jakiegokolwiek przeszkody, wreszcie wtajemniczenie w całą sprawę rodzonej siostry, mieszkającej w Warszawie, która miała mu o wszystkim donosić i przyjść z pomocą... Na końcu tego listu jest dopisek: „Jestem bardzo spokojny, zdrów etc.,“ co znaczy chyba, że w rzeczywistości było wręcz przeciwnie. Już bowiem w liście w cztery dni potem pisanym, na troskliwe zapytanie panny Trembickiej, przyznać musi, że jakkolwiek nie jest słaby w tym stopniu, aby to zatrwazać mogło osoby życzliwe, lecz doznaje tego rodzaju niedomagania, na którego określenie polskiego wyrazu niema. „Jest to *nie-dyspozycya*.“ Smutek i tęsknota już żarły serce poety. Ma on wprawdzie „na niebiosach umysłowego swego życia“ jedną taką gwiazdę, która wszystkie uczucia w jedno łączy ognisko,—ta mu świecić będzie nawet na grobie, jak teraz świeci, gdy on „dla obecności kona.“ Promienie tej gwiazdy rozliczne, „rozciągnięte do ziemi, krystalizują się w postaci organiczne i całe.“

Tak od razu Norwid określa swoje uczucie. Ponad wszystkim „na niebiosach umysłowego życia“ jedna gwiazda promienna, nie gasnąca nigdy—to Sztuka. Jednym z jej promieni, sięga-

1) „Marie von Mouchanoff-Kalergis.“ Str. 114.

jącym do ziemi, to miłość dla Maryi Kalergis, „organiczna i cała,“ która choćby „spaliła się tęskliwie,“ choćby ją „złamał wiatr północny,“ „przemienności nie dozna i nie rozemgleje się, jak kwiat jednodzienny.“ Uczucia jego „nie są rzeczą przywidzenia i szału, Pan Bóg jeden może je zniszczyć...“ Poeta nie jest i nie chce być praktycznym na widnokregu uczuć. Czasem mu na myśl przychodzi, że tak życie wyczerpnie, ale — dodaje — „na to jest życie, by je *wyżyć*, nie na to, by *użyć*.“ „O, Boże!—woła—jakże pragnę tę głąb serca mego *tym* właściwie dać poznać, którzy, o ile sędzić mogą...“

Nie kończy frazesu, ale domyśleć się nie trudno, że idzie mu o tych, a właściwie tylko o *tę*, która zdaje się to serce rozumieć i być mu wzajemną. Wszak właśnie wówczas, gdy list ten pisał, otrzymał wraz z przyjacielskim liścikiem panny Trembickiej, „kilka słówek Pani Mar...“ W „przyjacielskim liściku“ były szczegóły o zdrowiu i podróży „Pani naszej,“ za które poeta z wyłanieniem dziękuje i prosi o dalsze doniesienia, każdy bowiem szczegół, chociażby nawet najmniejszy, niewymowne mu szczęście przynosi.

W przypisku do tego przedświątecznego listu¹⁾ prosi Norwid, by panna Trembicka przełamała opłatek „z Panią... i oznajmiła jej, że on *nie zapomniał*.“

Zbyt dobrze pamiętał, bo już list następny, w dziesięć dni później pisany, odśłania całą głębię smutku, w jakiej pogrążony był poeta. List „kochanej siostry“ nieco mu życia wrócił; przyznaje, że był „bardzo zmęczony, smutny, nudny, okropny,“ ale słowa przyjaciółki mają „moc czarodziejską,“ obudzają ufnosć. Z tegoż listu okazuje się, że p. Trembicka miała jakąś rozmowę z panią Kalergis o Norwidzie; musiała jej przedstawić jego uczucia i nadzieje. „Ta rozmowa — pisze Norwid — powróciła mi cię nadziei, a jest to wiele, bardzo wiele, bo wierzę temu, co Pani tylko zrobić mogłaś.“ On sam pisał do „Pani M.,“ ale krótko, przewidywał bowiem „tysiące zabaw i zatrudnień.“

Wobec niezwykłej dyskretyi Norwida, która nawet w zwierzeniach poufnych przed najlepszą przyjaciółką, nie pozwalała mu na wyraźne wyznanie swych uczuć, a tylko półsłówkami, w sposób „fragmentowy“ je określała, powyższe słowa o „tysiącu zabaw i zatrudnień,“ brzmią jak wymówka, jak zarzut zbyt wielkiej światowości. Poeta już czuje, że on z uczuciuni swemi, które nie są „rzeczą przywidzenia i szału“ i nie ulegają „przemienno-

1) Z 20 grudnia 1845 r.

ści,“ jest wśród tych tysiąca zabaw i zatrudnień jednym tylko i to dość przelotnym epizodem. Ufa jednak wpływowi swej „kochanej siostry“ i już zawczasu smuci się, że „Pani Marya pozostanie bez jej towarzystwa.“ Pani Kalergis miała już powędrować w świat po hołdy, co też niebawem nastąpiło.

Niepokoje te i tęsknota źle widocznie wpływały na zdrowie poety. W tymże liście i następnym z 2 stycznia 1846 r. przyznaje, że czuje się cierpiącym; nie może wiele pracować, nie więcej jak godzinę, bo zaraz dostaje rodzaju febry. Jest to—dodaje—nic, bagatelka, ale, bacząc na przyszłość, „będzie musiał z pół roku niczem się nie zatrudniać.“

Ma też w tym czasie trudności z paszportem rosyjskim. Dla usunięcia tych trudności i dla „rekonwalescencji,“ w ciągu której ma zamiar załatwić swoje interesy materyalne, „zając się—jak się wyraża—mechanicznie mechanizmem tych mechanicznych interesów, które paraliżują jego artystyczne powołanie,“ — postanawia wyjechać z Berlina i powrócić do Warszawy.

Ó pracach Norwida, przedsięwziętych w Berlinie, nie wiele mówią ówczesne listy do Maryi Trembickiej. W jednym z nich donosi, że ma wiele do czynienia, że kończy „plan na pomnik,“ ubolewa też, że zamierzony powrót do Warszawy przerwie mu zatrudnienia, zwłaszcza rozpoczętą pracę o *sztuce* i studia czynione w bibliotece uniwersyteckiej, nie tyle nad Estetyką, we właściwym tego słowa znaczeniu, bo ta, zdaniem Norwida, „systematycznością niemiecką jest skrzywiona,“ ile nad historią, a mianowicie *Wschodu* i co do „mych Etrusków.“ Bolesną skargą tchną słowa jednego z ówczesnych listów: „Cały mój artyzm (w razie powrotu do kraju) zakończony, nie będę miał muzeum, akademii i szkoły w estetycznym znaczeniu tego słowa. Przychodzi chwila rozstrojenia kierunku, jaki wziętem.“¹⁾

Tymczasem jednak mijały dni, tygodnie i miesiące, a Norwid nie opuszczał Berlina. Przebywa tam „chwile okropne, smutne i gorzkie, niektóre łaską Boską oświecone, pocieszające bez nadziei...“ Z upragnieniem wygląda listów od Maryi Trembickiej, które same przez się sprawiają rozkosz, a przynoszą mu także „blask innej duszy.“ Spodziewa się bowiem i wyobraża sobie, że jego „dobra siostra“ nie zapomina o nim „zwłaszcza mówiąc z...“ Rozmowa ta wszakże musiała już być listowna, bo w ślad zatem idzie prośba o szczegółowe doniesienie o *podróżnym* i o zdrowiu

¹⁾ List z 27 stycznia 1846 r.

podróżnego. „Podróżny“ ten jednak snadź mało dbał o pozostawione za sobą tęsknoty. To też poeta w liście z 25 stycznia 1846 r. nie może stłumić skargi, że od pani M...x nic nie miał, że o niej nic nie wie i dodaje z goryczą: „żalów nie chcę rozwoździć, taka jest wola Pana Boga.“ Gorycz to tem większa, że Norwid, ośmielony przez przyjaciółkę, sam pisał do Pani M...x i—odpowiedzi nie otrzymał... Pisał w sprawie trudności paszportowych. Już poprzednio, z końcem grudnia 1845 r., donosił, że otrzymał paszport, ale tylko do połowy lutego i to z warunkiem zapłacenia 50 rubli. Sprawa zatem stawała się nagłą. Chodziło oczywiście o prolongatę lub o wydanie nowego paszportu, od tego zaś zależała możność pozostania za granicą i „nie rozstrajania artystycznego kierunku studyów.“ Brak więc odpowiedzi na list tak ważny podwójnie musiał go boleć; ze zwykłą jednak sobie dobrocią troszczy się jeszcze, że może on tym listem „nowego smutku Pani M...x przysporzył.“ Narzeka przytem, że „portretu“ jeszcze niema i dołącza: „pierwszy raz o tem wspominam — cierpliwy jestem i rozsądny.“

Domyślam się, że mowa tu o przyobiecanyim może portrecie pani Kalergis, którego zarówno, jak i listu, nie otrzymał. Panna Trembicka usiłowała go uspokoić, składając zwłokę na karb opiekałości pocztowej, ale Norwid już nie dowierza: „Wyobrażałem sobie — odpowiada — że Pani M. napisze, wszakże to przeszło miesiąc!“

I minął znowu prawie miesiąc cały, w ciągu którego pani Kalergis musiała do Warszawy powrócić. Na to przypuszczenie, oprócz innych okoliczności, wprowadza list Norwida z 20 lutego 1846 r., w którym poeta gorącą zanoszą prośbę do swej przyjaciółki: „Jeżeli kiedykolwiek — pisze — na przyjaźń Pani zasłużyłem, jeżeli Pani miałaś kiedy podać mi rękę przyjacielską w przykrych życia wypadkach, chciej Pani wszystkim tem powiększyć przyjaźń dla Pani M...x.“ A w dalszym ciągu: „Pani tak jesteś dobrą... mimo całej wysokości natury, masz pewien rodzaj słusznego zapatrywania się na rzeczy, toby powinno dobrze na towarzyszkę Pani wpłynąć...“ W przypisku do tego listu jest wzmianka: „Niech Pani i Pani M...x nie gniewa się na rzeczy często niemiłe i niewczesne w korespondencyi mojej.“ Niemiłych jednak czy niewczesnych rzeczy w tych listach dopatrzeć się trudno. Natomiast w każdym niemal słowie przebiega się gorącość i aż do przesady niemal posunięta delikatność uczuć. „Jeśli dobrze będzie — pisze — osobom, które kocham, mnie będzie stokroć lepiej,

nieliby mnie dobrze było. Będę zdrow, silny i wesoły. Wszystko na tem zależy.“

Następuje dwumiesięczna przerwa w korespondencji. Listy Maryi Trembickiej przestają przychodzić. Przyczyny tego milczenia, które niemało boleć musiało Norwida, szukać zdaje się należy w wypadkach, jakie zaszły w Warszawie, a o których pisze N. W. Berg.¹⁾ W lutym 1846 zjawia się u pani Kalergis w Warszawie niejaka pani Dąbrowska, której mąż należał do głównych przywódców ruchu narodowego w tym czasie, błagając ją, by ocaliła jej męża, któremu groziło aresztowanie i dopomogła mu w wyjeździe za granicę. Pani Kalergis, pamiętna zawsze swego urodzenia z matki Polki, czy też może działając pod wpływem Maryi Trembickiej i atmosfery warszawskiej, przejmuje się gorąco tą sprawą i postanawia Dąbrowskiego ocalić. Ojciec jej hr. Fryderyk Nesselrode zajmował wówczas niezbyt odpowiednie arystokratycznemu pochodzeniu swemu, a groźne ruchom narodowym stanowisko, szefa żandarmeryi. Pani Marya, wysłuchawszy rozpaczliwej prośby pani Dąbrowskiej, nie waha się wcale — idzie do biura ojca, wydostaje formularz pasportu i poleca służbowemu urzędnikowi wypełnić go wedle przepisów. Stało się: Dąbrowski uszedł pościgu władz rosyjskich, aby wpaść w ręce Prusaków i dostać się do cytadeli poznańskiej. W Warszawie jednak rozpoczęły się dochodzenia, kto mógł Dąbrowskiemu dostarczyć pasportu. Wkrótce też sprawczynię wykryto i tylko dzięki przemożnym wpływom zdołano uzyskać, że wszechwładny podówczas dyktator Królestwa, groźny Paskiewicz, zadowolili się wydaleniem pani Kalergis za granicę

Inaczej nieco przedstawia tę sprawę wydawczyni listów Maryi Kalergis do córki, Maryi hr. Coudenhove.²⁾ Opowiada ona o pewnem wielkiem sprzysiężeniu polskiem, które miało być wykrytem w tym czasie w Warszawie. Policya wpadła na trop spisku, wielce kompromitującego przyjaciół i znajomych pani Kalergis. Raz, w nocy, budzi ją lekkie pukanie do okna jej sypialni, położonej na parterze. Była to jedna z jej przyjaciółek polskich, która usilnie błagać ją poczęła, by kompromitujące jakieś dokumenty wzięła w przechowanie, gdyż nigdzie one bezpieczniejszymi byćby nie mogły, jak w domu hrabiego Nesselrode. Pani Ka-

¹⁾ „Russkaja Starina. 1870.

²⁾ Marie von Mouchanoff-Kalergis in Briefen an ihre Tochter. Herausgegeben von La Mara (Marietta hr. Coudenhove). Leipzig 1907. Str. 9.

lergis bierze owe papiery, rzuca je w pudło od kapelusza, stojącego na stole i udaje się znowu na spoczynek. Nazajutrz, rano, zanim z łóżka wstać zdążyła, nadchodzi jej ojciec i oświadcza, że mu jest wiadomem, iż ona z podejrzanymi politycznie ludźmi utrzymuje stosunki i prawdopodobnie ważne papiery ma w przechowaniu. Zjawia się też policya i odbywa ścisłą rewizyę, przy której jednak nic nie znaleziono, nikomu bowiem nie przyszło na myśl zbadać zawartość pudła od kapelusza! Papiery ocalały i dostały się napowrót w posiadanie swych właścicieli.

Czy było tak, czy inaczej, to pewna, że pani Kalergis, jakkolwiek obracająca się w sferach dworskich, rządowych i świecie kosmopolitycznym, miała w sobie wysoko rozwinięte uczucie polskości, po matce odziedziczone,¹⁾ a sprawy te i wynikię ztąd niepokoję musiały wpłynąć na przerwę korespondencyi jej i Maryi Trembickiej z Norwidem.

Dobra przyjaciółka nie chciała snadź trwożyć poety wieścią o trudnej sytuacji, w jakiej się nagle pani Kalergis znalazła. Ale Norwid tłómaczy sobie to milczenie na swoją niekorzyść, jako—niezasłużoną karę: „Śmiem sobie wyobrazić—pisze w liście z 11 kwietnia 1846 r.— że nie zasłużyłem na ukaranie mnie milczeniem blisko dwa miesiące trwającym...“ Zbolały, błaga o wiadomość, bodaj o kopertę do siebie adresowaną, na znak, że przecie korespondencya nie zupełnie przerwana... Pisząc to, nie wiedział, że panna Marya Trembicka, prawdopodobnie równocześnie z panią Kalergis, opuściła już była Warszawę. List ten, wysłany pod zwykłym warszawskim adresem, do pałacu Potockich²⁾ nie

¹⁾ W początkach r. 1864, pani Kalergis, już wtedy w drugim małżeństwie Sergiuszowa Muchanow, zapadła w melancholię i umieszczoną być musiała w sanatorium w Illenau bei Achern. O powodach tej choroby pisze jej ojciec do zięcia jej, Franc. hr. Coudenhove: „Son coeur si bon, si généreux se froissait au récit des continnells désastres des Polonais... combien de fois ne me disait-elle pas: „Ah, cette pauvre Pologne! nuit et jour je passe dans les larmes!“ W tymże samym liście: „Peut-être elle se reprochait d'avoir épousé un Russe... je m'aperçus que le sang polonais, qui coule dans ses veines, commençait à remuer plus que jamais.“ (Marie von Mouchanoff-Kalergis. Str. 135, 136).

²⁾ W pałacu Potockich w Warszawie mieszkał stale hr. Nesselrode z córką p. Kalergis. Tam też przebywała zawsze, jak świadczą adresy listów Norwida, panna Marya Trembicka, co już samo przez się jest dowodem zażyłości, jaka łączyła serdeczną i wierną przyjaciółkę Norwida z ubóstwianą przez niego panią Kalergis. (L. c. str. 59 w przyp.).

zastał już tam panny Trembickiej i jak świadczy adres, inną ręką na kopercie umieszczony, odesłany został przez Brześć Litewski, Kobryń do Stryhowa.

Tam też już adresuje Norwid swój list następny, pisany w pierwszych dniach czerwca 1846 r. Wiedział już wówczas niewątpliwie o zajściach warszawskich, skarży się jednak, że o samej pani Kalergis nie ma wiadomości, bo „co chwila zasłaniają mu ją krwawe chmury współczesnego chaosu; ma wszakże nadzieję w Bogu i licznych jej znajomych, iż nic fatalnego się nie stało.“ Ubolewa, że sam nie może się jej na nic przydać „obowiązkami zatrzymany.“ Tęsknotę, ból, gorycz tłumi pracą. „Pędzle wszakże położył,“ a w atelier swoim—dodaje—„od zorzy prawie do południa i od południa znowu do wieczora taką drobną rzeczą: sztuką (!) życie moje zapełniam.“

Zmienia też adres. Już nie do Berlina, na Marienstrasse № 6 adresować każe, lecz „par Berlin à Pudliszki près Polnisch-Lissa.“

W tym czasie zaszły okoliczności, które Norwida zmusiły do zawieszenia na czas jakiś korespondencji. Na dwa listy Maryi Trembickiej nie dał odpowiedzi, z czego nie chce się usprawiedliwiać, oświadcza tylko w liście z 7 czerwca 1846 — ostatnim berlińskim — że przebył chwilę, w której niepodobna mu było być „jasnym,“ musiał czekać na usposobienie „przyjaźniejsze,“ nie chciał bowiem, aby do przyjacielskiej rozmowy mieszały się „doczesne interesa, drobiazgowość zajęć, małe walki z tysiącem małych przeciwności, małych ludzi małe intrygi.“ Wyznaje, że przebył „chwile okropne,“ spotkał „wiele gorzkiej żałości, podstępności i poziomego interesu, które mu drogę chcą na poprzek przeorać, zgnatwać lub oplamić.“

Musiał mieć poeta wówczas zamiar wyjazdu z Berlina do Drezna, może na spotkanie pani Kalergis, która podróżowała teraz znowu po Europie. Zamiar ten jednak nie przyszedł do skutku; to też poeta z żalem mówi, że jeśli z przyjaciółką swoją spotykał się często myślami, czyniąc za jej przykładem dobrze innym—to zresztą nie spotkał „nikogo“ więcej!—nie wyjeżdżał ani na chwilę z Berlina i „w Dreźnie nie był.“

Pani Kalergis podążyła do Londynu, gdzie, jak wiadomo, mieszkał mąż jej, skąd miała powrócić do Wrocławia. Szło znowu teraz o jakieś „przedsięwzięcie,“ które mocno Norwidowi leżało na sercu. „Boże!—woła—oddalbym życie moje, żeby się to przedsięwzięcie pomyślnie udało. Co się teraz dzieć może — ani domyślam się.“

Miał wszakże przed tem bezpośrednią od „pani Maryi“ wiadomość, ale „jeszcze nie z Anglii,“ a teraz tego tylko czeka i tego pragnie, aby być zaspokojonym co do „uczuć macierzyńskich osoby, której one życie utrzymują.“

Z zupełnem prawdopodobieństwem przypuścić można, że szło tu znowu o układy z panem Kalergis i o zabezpieczenie praw matki do wychowania jedynej córki Maryi, liczącej podówczas lat sześć, a wydanej następnie (w r. 1857) za Franciszka hr. Coudenhove... Może też w tym czasie ponowione były nalegania o rozwód, owe „détestables conseils,“ o których pani Kalergis wspomina w późniejszych listach do córki. Niepokój przejawiający się w słowach listu Norwida, przypuszczenia te uzasadnia.

Wspomina też Norwid w tymże liście o bytności Adama Potockiego w Berlinie. Mówił z nim o wszystkim—„tylko o jednej rzeczy nie—zupełnie nie.“ Ta „jedna rzecz,“ to oczywiście osoba Maryi Kalergis, której wielbicielem był także Adam Potocki. Norwid sądzi, że Potocki byłby o niej mówił, lecz poeta tego unikał. „Zanadto bowiem — pisze — mam szacunku dla przedmiotu rozmowy, któraby tu zająć mogła i dla wyobrażenia mego o szczerości, ażebym komuś pokazywał, iż cokolwiek bądź kryję, albo żebym odkrywał przed kinkolwiek, wyjąwszy mojej dobrej siostry, której jednak nigdy nie powiedziałem — prawda?“

Ostatnie wyrazy są znamienne dla charakteru i usposobienia Cypryana Norwida. Tłumi w sobie bóle i niepokoje, serce ma przepełnione wielką, namiętą miłością, pożera go tęsknota za rzeczywiście niepospolitą, wyjątkową kobietą, którą ukochał, ale nawet swojej „dobrej siostrze“ nigdy nic takiego nie powie, co by wyglądało na niedyskrecyę, skargę lub narzekanie. „Jeżeli pani będziesz pisać do Londynu lub Baden-Baden — powiada w przytoczonym powyżej liście — proszę wspomnieć, że niebyłem tu gorzki i że uniem się ograniczać.“ Oto wszystko. Przebywa w tym Berlinie chwile ciężkie, ponure, samotne, doznaje „wiele gorzkiej żałości,“ ale o tem nawiasem tylko „dobrej siostrze“ wspomina, a nie chce, by wiadomość o jego smutkach choć na chwilę zasępić mogła jasne czoło „pani Maryi,“ tej, która, wedle słów Teofila Gauthier, była jak Madonna śnieżna:

*Blanche, comme le clair de lune
Sur les glaciers dans les cieux froids...¹⁾*

¹⁾ „Symphonie en blanc majeur.“

Przywiązując wielką wagę do wpływu panny Trembickiej, prosi ją Norwid, aby pisywała często do światowej przyjaciółki: „Może Pani pisać do Baden-Baden ¹⁾ poste restante do Pani Maryi—chcę się dzielić promieniami gwiazdy, nie śmiem powiedzieć, mojej, bo tyle tylko... zasłużyłem, ile o nią ciemności otaczające mnie wołają.“

Szcześliwy, jeśli w listach panny Trembickiej pochwyti „blask innej duszy,“ tak mu bardzo drogiej, pragnie on tylko, aby dobrze było osobom, które kocha, zapominając zupełnie o sobie. Jest wielka siła zaparcia się w jego uczuciu, tak głębokiem, że go nawet w słowach wyrazić nie jest zdolny. „Słowa są mu, jak powiada, nazbyt ciężkie.“

Taki był stan ducha Norwida w czasie ostatnich tygodni pobytu w Berlinie. Wciąż targany niepokojem, tęsknotą, obawą o los „Pani Maryi,“ goniąc za nią rozmiłowanym wrokiem po Londynach, Wrocławach, Baden-Baden, w ciągłej niepewności, czy mu nie wypadnie rzucić rozpoczętej pracy i do Warszawy powracać, nie zdołał, jak sam wyznaje, „nic monumentalnego uskutecznić,“ a doszedł wreszcie do tego stopnia rozstroju, który musiał wywołać katastrofę.

Katastrofa ta nastąpiła pomiędzy datą ostatniego listu poety z Berlina: 7 czerwca 1846 r., a datą następnego z Brukseli, t. j. 11 sierpnia tegoż roku.

III.

W Brukseli.

Jakaż to była katastrofa?

W jednym z listów do Bohdana Zaleskiego, bez daty, lecz niewątpliwie pochodzącym z jesieni 1851 r.,²⁾ w liście niezmiernie ciekawym, o którym później obszerniej mówić będąc, donosi Norwid o swej pisemnej dyskusyi z „mystykami szkoły p. Andrzeja Towiańskiego.“ Odpisał im ostro i stanowczo, i dodaje:

¹⁾ Ulubione miejsce pobytu pani Kalergis, gdzie ją powszechnie nazywano: *La dame blanche*.

²⁾ Mss.

„Jakże chcesz, jestem za to na wygnaniu, ztem się podobnie rozmówił z Reprezentantem Państwa Rosyjskiego, „Ministre plénipotentiaire.“ *Za to byłem więziony i uszedłem.*“

Widzieliśmy już poprzednio, że Norwid miał trudności pasportowe i że dla ich usunięcia udawał się do pani Kalergis, a wybierał się nawet z powrotem do kraju, co go ze względu na konieczność przerwania studyów artystycznych, niezmiernie bolało. Musiał więc Norwid sam czynić zabiegi w ambasadzie rosyjskiej w Berlinie, a ulegając rozstrojowi nerwowemu, w jakim był wówczas, tak ostro się postawił wobec upełnomocnionego ministra rosyjskiego, który jakieś wymagania stawiał, że został uwięziony.

W jaki sposób „uszedł“ z więzienia tego nie wiemy. W pierwszym liście brukselskim do Maryi Trembickiej z 11 sierpnia 1846 r. pisze, że czuje się jeszcze mocno znudzonym, po podróży, którą „śmiesznie odbył“. Ta „śmieszna“ podróż, to widocznie ucieczka z uwięzienia, które trwało przeszło miesiąc, jak wnosić można ze słów tegoż listu: „Pana Trembickiego nie poznałem, z powodu, iż w Berlinie *miesiąc przeszło* i właśnie podczas jego bytności tamże, *nie wychodziłem wcale — z domu.*“

W czasie tego uwięzienia nadeszły aż trzy listy od Maryi Trembickiej, które mu oddano, gdy już *mógł* je odbierać. Ucieczka jednak musiała być bardzo pospieszna, bo tych listów, zawsze z takim upragnieniem oczekiwanych, nie miał nawet czasu dokładnie przeczytać, a w takim był snadź pomieszaniu, że adresu swej przyjaciółki zapomniał. Adresuje też do Warszawy, *poste restante*. Podaje przytem dwa adresy swoje: jeden do Brukseli, na ręce p. Bolwina, fabrykanta koronek, drugi, jak twierdzi, wygodniejszy, do Berlina, na ręce serdecznego przyjaciela swego, Włodzimierza hr. Łubieńskiego — któremu kierunek jego podróży zawsze będzie wiadomy — *pour remettre à Mr. Cyprien Camille*. Ścigany widocznie przez policję berlińską, nie chciał, aby nazwisko jego figurowało na kopercie.

W Brukseli nie miał zamiaru bawić długo. „Zapewne jeszcze zatrzymam się w Brukseli — potem dalej się udam.“ Słowa te znajdujemy w pierwszym krótkim liściku, wysłanym ze stolicy belgijskiej do panny Trembickiej jedynie po to, „ażeby jej nie zostawiać w pośród wieści niemiłych (o aresztowaniu), które mogły dojść o nim.“ Ale i w tym liście, jakkolwiek krótkim, kreślonym w pośpiechu i pomimo zmęczenia po „śmiesznej podróży“ z Berlina, jest wzmianka, i to obszerniejsza niż kiedykolwiek, o pani Kalergis. W którymś z owych trzech listów, otrzymanych od panny Trembickiej po wyjściu z więzienia, znalazł poeta „niezro-

zumiąte wiadomości.“ „Pani mi mówisz — pisze — iż Panią M. widziałem. Od czasu, jak to było w przytomności Pani w Berlinie, szczęścia tego ani sobie mogłem wyobrazić. Podobno, że jest ciągle w Baden — bo przeszło dwa miesiące i listownej nie mam wiadomości.“

Gorycz, którą łatwo już wyczuć w tym krótkim liściku, musiała coraz bardziej się wzmacniać i gromadzić w stęsknionem sercu Norwida, że wreszcie zamilkł na dłużej. Następny list brukselski nosi datę 18 grudnia 1846 r., zatem milczenie trwało przeszło cztery miesiące. Nie pochodziło to wszakże — wyjaśnia poeta — z *zapomnienia*. On bowiem nie podlega temu prawu, uznanemu za powszechnie i samowładnie panujące. On, który pamięta „wszystkie monumenta i kamienne sztuki arcydzieła,“ jakżeby mógł zapomnieć „o rzeczach rzadziej spotykanych, o pomnikach szczerości i arcydziełach pięknego charakteru.“ Nie za mało, lecz *na-
zbyt* pamięta!

Drugi ten i ostatni list brukselski adresowany jest już nie do Warszawy, lecz przez Warszawę, Brześć Litewski, Kobryń do Stryhowa, gdzie panna Trembicka dłużej zabawić miała, cały bowiem szereg listów Norwida z r. 1847 i 1848 z Rzymu piasanych, do tej miejscowości jest adresowany. Gdzie podówczas była pani Kalergis?... Na szerokich drogach świata, po których nadaremnie gonił za nią rozstępiony wzrok poety. Piękna pani Marya przebywała snadź wtedy pod włoskiem niebem, w przytoczonym bowiem drugim liście brukselskim Norwida czytamy:

...„Dobrze jest, że p. M. ma tak jej godną towarzyszkę i kraj tak piękny naokoło i tak godne jej niebo nad nią.“

Ale poeta nie podąży tam za nią osobiście i nie wiele ma nadziei oglądania kraju tego „z tem wszystkiem, co mu go uczyniło tyle droгим,“ a to z dwu powodów: przedewszystkiem lęka się „przeszłości na wielu miejscach tam rzuconej,“ a powtóre, nie może się oddalić tak „hazardownie od prac swoich doczesnych.“ Gdyby jednak mógł był wierzyć, że owa „przeszłość tam pozostawiona“ może odżyć w terażniejszości, nie byłby się niewątpliwie wahał rzucić owych „prac doczesnych,“ bo to już wówczas nie byłoby „hazardem.“ Niestety, tej wiary już nie miał, więc bieży tam często tylko myślą, „bo myśl adresu nie potrzebuje, ani poczty,“ — „mniej często i bardzo mniej listami, bo — co z widoczną dodaje goryczą — nie wiem ani miejsca, ani pobytu, ani dościsnąć mam pewności, czyli godzi się pisać.“

Więc już do tego doszło, że Norwid wątpi, czy może się odezwać do ukochanej! „Zdaje się — dodaje — że Pan Bóg chce

mnie skarać za nazbyt mocną ufność w siłę uczuć.“ I nie waha się nazwać tego „niewdzięcznością.“ „Osoby niewdzięczne — powiada — nigdy nie dowodzą niedostateczności uczuć, ale prawdziwego pojęcia poświęcenia, bo poświęcenie bez wdzięczności obchodzić się powinno i inaczej byłoby niezupełnem.“ On przeto, pomimo doznanej niewdzięczności, uczuć swych nie zmieni, poświęcić się gotów zawsze, sam zaś dla się wymaga tak mało: on tylko kilka razy prosił o „spokój“ wewnętrzny, dla osiągnięcia „zewnątrznej harmonii,“ ale zdaje mu się, że „albo prosić nie umiał, albo go nie pojęto.“ Że go nie pojęto, najlepszym dowodem, iż „od roku, oprócz grzecznych i pełnych dobroci *kilku* słówek, nic dobrego nie miał.“

To też ten drugi list brukselski przepojony jest beznadziejnym smutkiem. Powiada wprawdzie Norwid, że jest „tak spokojnym, jak mało ktoby sądził,“ ale w ślad za tem powołuje się na słowa Byrona, że i trucizna, gdy służy za chleb powszedni, przestaje być szkodliwą. Składając pannie Trembickiej życzenia na zbliżający się rok nowy 1847, nie życzy jej szczęścia, bo ma nadto doświadczenia i wie, że to niemożliwe, i zbyt wiele szacunku dla słów swoich, by mówić rzeczy nie odczute. Ale życzy swej przyjaciółce „wiary w szczęście,“ bo taka wiara jest potężną dźwignią wśród przeciwności życiowych.

On jednak tę wiarę już niemal utracił. Jedyne krzepią go słowa panny Trembickiej, z wylaniem dziękuje za jej starania i przyjacielską o nim pamięć, za „wiarę w jego przyszłość.“

Lecz i w tej nawet wierze on sam jest już zachwiany. Dawniej był tego przekonania, „wyobraził sobie,“ że bez *współczucia* żyć nie może. Szukał tego współczucia w sercu pięknej pani Maryi Kalergis, sądził, że znajdzie w niem „spokój“ wewnętrzny, a przez to możność tworzenia rzeczy wielkich. Niezrozumiany, zbyt „kilku grzecznymi słówkami,“ szuka teraz ulgi w wielkiej pracy. Wielkiej nie treścią i wartością, lecz — rozmiarami. „Przygotowuję się — pisze — do wykonania *wielkiego* (co do rozmiarów) obrazu, potrzebuję pracy koniecznie, niezbędnie, ciągle, tylko wielkie zajęcie może mi szczerą przynieść ulgę.“

W tych słowach jest rozpacz. Artysta szuka już tylko „ulgi,“ nie zaś tego natchnienia, które we „współczuciu,“ t. j. w miłości, w „blasku innej duszy,“ mając podniętą, tworzy rzeczy prawdziwie wielkie, jest „sprężyną arcyzmu.“ On teraz chce próbować, czy ów obraz, nie treścią, lecz „tylko rozmiarami“ wielki, czy praca nad nim, która „nie wiele wymaga zrozumienia i współczucia i sądu,“ tych rzeczy, „o które trudniej; niż o pę-

dziel i płótno,“ czy słowem „ogromność przedsięwzięcia“ nie jest sama przez się „sprężyną i celem tej sprężyny.“

Rezultatu tej próby nie znajdujemy śladu. Zapewne więc nie powiodła się zgoła. Pogrzebał ją „w popiele,“ podobnie jak „owoce długich starań swoich,“ przedsiębranych wówczas jeszcze, gdy marzył o zdobyciu „współzucia.“

Wkrótce potem Norwid opuścił Brukselę.

IV.

W R z y m i e.

W początkach roku 1847 Norwid był już w Rzymie, w liście bowiem do Maryi Trembickiej z 17 czerwca, pisze na wstępie, że już od „kilku miesięcy“ przebywa w Wiecznym Mieście ¹⁾. Przez ten czas nie pisał do swej przyjaciółki, nie pisał „do nikogo,“ co uważa za „niegodziwość,“ ale spieszy dodać, że to zapomnienie chwilowe nie było bynajmniej „chwilą szczęścia, w którym się nic nie pamięta.“ Przeciwnie: „obiegł pół ziemi, przeszedł wiele ludzi i chmur wiele przeciwnych“ i wreszcie wylądował w Rzymie, lecz już zanadto ma doświadczenia, „żeby spoczynku, ulgi i spokojności szukać.“

Stan ówczesny swojej duszy określa poeta w sposób rzeczowicie rozpaczliwy. „Bywa—powiada— iż wąż wypija opuszczone w gnieździe jaja ptaków i zostają skorupy bardzo podobne do tych ludzi, którzy *zwyciężyli pasyę swoje*, ale z których to skorup orły się już więcej nie narodzą...“

Czy już wówczas Norwid „pasyę“ swoją zwyciężył? „Miał szczęście“ widzieć Panią M., ale o niej nie chce pisać, „albo może kiedyś, albo nigdy.“ To „albo—albo“ dowodzi, że jeszcze nadzieja nie opuściła go zupełnie, ale owo „nigdy“ coraz groźniejszą, coraz bliższą mu się zdaje alternatywą. Niedawno w Tivoli był nad kaskadą i coś go ciągnęło ku przepaści, „bo niebezpieczeństwo ma urok wielki.“ Więc jeszcze „passyi“ swej nie zwyciężył, bo człowiek wtedy dopiero ją „zupełnie zwycięża, gdy się „szczęśliwym być czuje.“ On się tylko „wstrzymał nad *przepaścią siebie samego*“ i czuje, że będzie potrzebował „filozoficznej spokoj-

¹⁾ „Chimera,“ tom VIII, str. 350.

ności,“ której pragnie, aby tę przepaść *przestąpić*, nie *przesadzić*, bo „przyjacielowi greckiej sztuki i poważnych draperyj,“ przeskoki nie przystoją. Postanawia więc starać się przedewszystkiem o zdobycie tej filozoficznej spokojności, aby mózż ową przepaść zwolna i z należytą powagą „przestąpić.“ Tymczasem jednak niebezpieczeństwo pociąga go ku „przepaściom myślenia.“ Czuje, że to „co tu (we Włoszech—w Rzymie) doświadczył,“ może go „daleko“ zaprowadzić. W swem długim, martwym, nieprzerwanem odosobnieniu, przyszedł do smutnych rezultatów. Widzenie się z „Panią M.“ przerwało na chwilę odosobnienie, lecz spotęgowało jeszcze gorycz. Poeta, przeciw któremu broniono się zapewne „obowiązkiem“ ¹⁾ przyszedł do przekonania, że obowiązek jest wprawdzie „rzeczą świętą,“ ale tylko „rzeczą,“ bo *formą*, a obowiązek *bez miłości* jest tylko „świętym formalizmem.“

W kobiecie tak dotychczas ubóstwianej, snadź już dostrzegł poeta brak uczucia, brak miłości, powiada bowiem: „Kto nie kochając nie, rozumie, iż przez to samo kocha Boga, ten musi zarazem utrzymywać, że obojętność jest religią. Pogardzić *wszystkiem* oprócz Boga, jestto zarazem w pewnym względzie i Jego samego mieć w pogardzie.“

A doznawszy rozczarowania co do jednej, z pośród wszystkich wybranej, w goryczy swej rozciągnął sąd swój ujemny na wszystkie kobiety, nie wyróżniając w tej chwili nawet najwyższej cenionej, panny Trembickiej. „Proszę mi darować — pisze — że tak o kobietach mówić będę. Wy jesteście dzisiaj w położeniu, z którego nie wiem, czy już wasza intuityczna mądrość wyprowadzić was zdoła. Wam może trzeba *wiadomości*. Te, co z dumą otwartą emancypować się dążyły, kilka łez, kilka smutków powróciło na drogę im właściwą, czyli wyemancypowało rzeczywiście. Ale te, które ogłaszają się być niczem, które się jak proch depczą, niech mi szczerze powiedzą, czy dla tego się zdeptały, żeby *deptanemi*, czy żeby *depczącemi* w głębi duszy się uczuły?...”

To wszystko oczywiście pisane pod adresem pani Kalergis, która była chwilę w Rzymie, stało się powodem „doświadczeń“ poety „daleko zaprowadzić mogących;“ wyjechała później do Neapolu, a w chwili, gdy Norwid pisał list ten, przebywała we Florencji. Świetna gwiazda rozpoczynała już tryumfalny swój pochód po nieboskłonie Europy, a poeta, doznawszy może niejedno-

¹⁾ Marya Kalergis w jednym z listów do córki pisze: *Jamais... je ne vous aurais fait le chagrin de divorcer.* „Marie Mouchanoff-Kalergis,“ str. 117.

go upokorzenia, lekceważony zapewne w tłumie dostojniejszych wielbicieli, rozczarowany i rozżalony, zdobywa się na energiczne potępienie: ... „Powieм Pani—pisze w przytoczonym liście do Maryi Trembickiej—powiem w zaufaniu, któremu równego trudno znaleźć—bo może już dotyka niegrzeczności—że dla całej płci waszej, que pour la femme en général, jedno *dzisiaj* tylko mam uczucie, to jest *czułą pogardę*. Cóż Pani ze mną za to zrobisz?“ I w ślad za tem dodaje: „Mnie się zdaje, iż Pani nie zechcesz bronić płci swej *dzisiaj* mimo biegłości pióra swego i subtelności w wyrażeniach.“

Znając powściągliwość Norwida nawet w zwierzeniach poufnych, ze słów powyższych można brać miarę, jak bolesnem i głębokiem było doznane rozczarowanie, jak ta wspaniała kobieta, przed którą pochylały się w hołdzie najdumniejsze czoła, a która, przyjmując te hołdy, deptała w oczach poety wyidealizowaną przez niego własną istotę, musiała okrutnie zranić jego serce i dumę. Więc nie wiedząc jeszcze na pewno, czy ona dlatego zdeptała się sama, aby być zdeptaną, czy, aby depczącą się uczuć, poeta zdobywa się już dla niej *dzisiaj* tylko na „*czułą pogardę!*“ Pannie Trembickiej przyznaje już jedynie „biegłość pióra“ i „subtelność w wyrażeniach,“ nie wyróżnia już jej z ogółu kobiet, mówiąc: „wy,“ i traktując dawną swą „drogą siostrę, przyjaciółkę, kuzynkę,“ niezwykle zinnem podziękowaniem „za każde dobre słowo,“ które wychodzi z pod jej biegłego i subtelnego pióra, i jeszcze zinniejszem „zapewnieniem przyjaźni.“

W jaki sposób piękna pani Kalergis odwzajemniała się Norwidowi za jego ognistą, a tak dziwnie dyskretną miłość, że na podstawie „fragmentowych“ wynurzeń, zaledwie jej koleje naszkicować można—przedstawia pani Anna Norwidowi, w liście do mnie pisanym,¹⁾ treściwie a dobitnie:

„Il (Norwid) l'aimait follement, sincèrement, et il n'était pas aimé, seulement supporté, accepté parmi la foule d'adorateurs que cette belle et spirituelle femme trainait à sa suite dans tous les coins de l'Europe. Cyprien était alors très jeune et aimait en poète, c'est-à-dire de toute son âme, ce qui faisait qu'il ne voyait que de belles et nobles qualités dans son idole, oubliant que souvent de même que le fruit, l'extérieur d'une femme est splendide et l'intérieur, hélas, gâté, gangrené.“²⁾

¹⁾ Mss.

²⁾ „On ją kochał do szaleństwa, szczerze, a nie był kochany, tylko cierpiący, przyjmowany wśród tłumu wielbicieli, jaki ta piękna i sprytna kobie-

Słowa powyższe wyrażają to, co z zamkniętych dyskretnie ust poety nie wyszło nigdy—tłómaczą powody owego potępienia, rzuconego na cały rodzaj niewieści i „czulej“ dla niego pogardy.

Trudno się dziwić goryczy poety, który w tej nieszczęśliwej miłości przeczuwał już niewątpliwie klęskę swego życia, niepodobna jednak, wiedząc kim była pani Kalergis, podzielać oburzenia, niepodobna potępiać tej niepospolitej kobiety za to, że może z pewnem lekceważeniem traktowała uczucie młodego poety. Nie chcielibyśmy też, aby czytelnik niniejszego studyum mógł choć na chwilę zostawać pod ujemnem wrażeniem i na tej podstawie mylnie powziąć wyobrażenie o rzeczywistej wartości tej nie tylko pięknej, lecz i znakomitej niewiasty, która, jak słusznie pisze Stanisław Koźmian w swych świetnych felietonach, ogłoszonych w „Czasie“,¹⁾ była jedną z ostatnich politycznych kobiet w wielkim świecie. „Ileż to z nią — czytamy tam — łączy się europejskich i polskich wspomnień! A jak uroczych i niezwykłych, podniosłych i dobroczynnych, zajmujących i niepospolitych, politycznych i artystycznych! Ale bo też była ona europejską i polską, uroczą i niezwykłą, piękną i szlachetną, miłosierną i zajmującą: jako dama i jako artystka i jako polityczna kobieta. Czarowała europejskich mężów stanu; to, co było w Polsce najznakomitszego, składało jej hołdy, a warszawscy studenci kochali się w niej.“¹⁾

Nie było to przeto „bożyszcze“, któreby tylko wyobrażenia Norwida przystroiła w piękność i szlachetność. Pani Kalergis zasługiwała niewątpliwie na miłość; fatalność, wynikająca z drażliwego usposobienia i charakteru poety, sprawiła, że miłość ta, niepodzielona, stała się istotnie dla jego życia i jego talentu nie dźwignią, lecz klęską. Już w epoce, gdy Norwid poznał panią Kalergis, serce jej, a raczej jej artystyczne uczucie, pociągnął za sobą nie on, poeta, lecz mistrz tonów—Liszt. W świecie artystycznym musiano już nawet o tem mówić dość głośno, bo w jednym z paryskich listów Chopina, z tych czasów, czytamy wzmiankę: „Liszt także był u mnie; rozwodził się nad piękną p. Calergi,

ta pociągała za sobą we wszystkie zakątki Europy. Cypryan był wówczas bardzo młody i kochał jak poeta, t. j. z całej duszy. Co sprawiało, że w bożyszczu swem upatrywał tylko piękne i szlachetne przymioty, zapominając, że podobnie, jak się to miewa z owocem, powierzchowność kobiety bywa wspinała, a wewnątrz zepsute, zgangrenowane.“ (List pani Anny Norwidowej z 18-go czerwca 1908 r.).

¹⁾ „Czas“ z 8 stycznia 1907 r. № 6 i 7 „Kobieta polityczna.“

a po moich kwestyach widzę, że *więcej mówili, jak było.*“¹⁾ Wkrótce też została ona uczennicą Chopina. „Panią Calergi—pisze on w liście z końca grudnia 1847 r.—uczę; w istocie bardzo *pięknie gra* i bardzo wielki sukces ma w świecie wielkim paryskim ze wszęch miar.“²⁾

W tymże czasie zaprzyjaźnił się Norwid z Bohdanem Zaleskim, przebywającym podówczas w Rzymie, i z całym gronem Polaków, grupującym się w około ukraińskiego piewcy. „Żyjemy najściślej z Norwidem“—pisze Bohdan z Rzymu d. 8 lipca 1847 r. do Jana Koźmiana.³⁾

Przyjaźń ta przetrwała długie lata, a we współczującym sercu Bohdana znajdował zawsze Norwid pokrzepienie i otuchę. Zbliżyli się do siebie w czasie wspólnej wycieczki do Kolizeum, która została w pamięci Norwida, poznawszy bowiem Zygmunta Kraśńskiego, a gotując się do poznania Adama Mickiewicza, pisze 9 lutego 1847 r. do Bohdana:

„Kiedy po raz drugi cię widziałem, stało się jakoś, iż do Colosseum (pomnisz) szliśmy. Podobnie i z Zygmuntem przypadek nas tamże zaprowadził. Radbym, aby podobnie z Panem Adamem, po tej ziemi, tak do Polski podobnej, krótką odbyć pielgrzymkę.“⁴⁾

Ślad tej przyjaźni z Bohdanem przechował się w wierszu Norwida, pisanym także w r. 1847, widocznie pod wpływem ukraińskiego piewcy, a już zapewne po wyjeździe jego z Wiecznego Miasta. Utwór ten jest zarazem dowodem, jaką cześć żywił Norwid, mieniający się „chłopiędziem z dróg krzyżowych,“ dla tego, którego nazywa „Panem sadu.“ Wiersz przechowany w puściźnie Bohdana, brzmi:

Do Józefa Bohdana Zaleskiego.

1.

Dobrze, tęczy się zielenić
 Błękitnawie i czerwienić,
 Tej wielmożnej Pani!...
 Ale, chmurki oddalone
 By jagnięta pogubione
 Te — kto chce, to gani.

1) Mieczysław Karłowicz „Pamiętki po Chopinie.“ Str. 32

2) L. c. Str. 51.

3) „Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego.“ Tom II. Str. 75.

4) List C. Norwida. Mss.

2.

Ej — i z lutnią złoto-runą
 Złoto-ustą, siedmiostruną
 Nieba obiedz sklepy,
 Lżej--niż piosnkę raz zaczęłą
 Już we fletnię dąć pękniętą,
 Jak włóczęga ślepy.

3.

Tys bo wiele odziedziczył,
 Tys bo Panie zagraniczyl
 Z niebem — mogiłami;
 Więc to Seraf, to Cherubin
 Niby wisien spadnie rubin
 W ogród twój—skrzydłami.

4.

A jam chłopię z za ogrodu
 Gdzieś u szpary drżące wchodu,
 Gości, strach mnie bierze:
 I strach ciebie, Pana sadu,
 Co tam z duchy gadu, gadu;
 Jak dzwon na pacierze...

5.

A jam chłopię z dróg krzyżowych
 Z za trzęsawisk *olszynowych*
 Gdzie mdle jęczą cienie —
 I głód zemsty w sercu u mnie
 Już wyrodził się jak w trumnie
 Chude lisa szczenie.

6.

I wiatr zabrał mię w powiecie
 Chmur—by nagle zmarle dziecię
 Bez chrztu-krwi i walki...
 Tu, na ementarz poniósł ludów,
 Gdzie trzy świecą Panie-cudów—
 Gdzie sztuki Westalki...

7.

Gdzie krzyż z włócznią w jednej dłoni
 Z gąbką w drugiej—z cierniem w skroni
 Księżyc ma nad sobą;

I kompasu wodząc cienie
Po otartej z krwi arenie
Cieszy nas żałobą.

8.

— Kiedyż, czasów wypełnienie
Kiedyż Polski odkupienie — ?!
Wieszczym zanuć słowem :
A sto wiatrów je rozniesie
Precz po lesie, za po-lesie
Po echu stepowém...

Cyprian Kamil Norwid
w Rzymie 1847 r.

W dowód zawartej przyjaźni, przesłał też Norwid żonie Bohdana, pani Zofii z Rosengardtów Zaleskiej, wiersz, który brzmi:

Pani Zofii Zaleskiej
od współ-Mazura (po kądzieli)

A m e n

(Legenda).

Amen znaczy: *i niech się tak stanie.*

Skrwawione ciało, haki żelaznemi
Imperatorscy ludzie wzięli z ziemi,
I za arenę wynieśli, rzucili...

- A Aniołowie w niebie hymn nucili,
Palmami wiejąc rozkwitającemi,
I tę nawiali woń,—o której święci
Gdzieś w katakumbach modłami zajęci,
Jak o szczególnej rzeczy rozmyślali...
— Tabliczki nagle wypuściwszy z dłoni,
I papyrusy, na których czytali:
Czy *słowo*, mówiąc, tyle zlało woni? —
— Więc się męczennik przeniósł do Serafów,
A do robactwa, ciało, podziemnego —
Tak, iż poganin rzekł: „ha!—i cóż z tego?!”
Azali prawda nie jest sługą trafów? —
Albo, czy tygrys wązką kłów szczeliną
Wycedził prawdę oną z krwawą śliną?!”

Leonidas Andrejew.

I.

Kilka lat temu na ustach wszystkich był Maksym Gorkij, „zwiastun burzy“, budzieliel inteligencji rosyjskiej, jej sumienia uśpionego. Głos jego grzmiał donośnie wśród tłumu, który ze stanu bezwładu i zgnębienia przechodził powoli w stan niecierpliwego wyczekiwania i nadziei—przecucia wypadków niezwykłych. „Zwiastun burzy“ mówił o człowieku, jego dumie i godności; otwierał ludziom oczy na poniżającą nędzę ich życia bez śmiałych porywów, marzeń zuchwałych i ryzykownych przedsięwzięć; zachęcał do czynów, do ocknięcia się z marazmu; obiecywał odnowienie życia, nową jego wspaniałość, nowe piękno.

Przyszła burza, „zwiastun“ znalazł się w jej wirze i opętaniu, przekrzyczał jeszcze raz swoje: „naprzód, wal... szalej burzo... niech głupie pingwiny tchórzliwie kryją swoje tłuste cielsko w szczelinach skał... człowiek, to wielka rzecz... trzeba czcić człowieka... wstawaj człowieku-„bosiaku“... naprzód po szczęście, słońce, piękno i t. p.“—przekrzyczał to wszystko poraz wtóry, głosem wszakże mniej dźwięcznym i pewnym niż niegdyś, nie tak bezpośrednim, nie tak „dumnie i demonicznie“ pociągającym. Tłum jeszcze słuchoał tego głosu, ale jakoś w roztargnieniu, zresztą słuchacze już się uważali za przebudzonych i wszyscy razem, zgiełkliwą masą, śpieszyli w różne strony — każdy po swoje szczęście i do swego słońca. Burza przeszła, przeszedł i „zwiastun“ jej, przebrzmiał głos jego i teraz „spowiada się“ ze swoich wrażeń i doświadczeń, i jest „firmowym“ pisarzem rosyjskim, ale już tłumów nie widać dokoła niego.

Kiedy Gorkij na dobre już unosił się wśród chmur, jak ów „burzyk“, „podobny czarnej błyskawicy“, i grzmiał i roznosił hałas nowego życia, obok niego próbował nieśmiało lotu Leonid Andrejew, który obecnie, z kolei, jest jeszcze na ustach wszystkich, bo dopowiada to, czego jego poprzednik nie umiał i nie mógł wypowiedzieć. Gorkij mówił, że człowiek, to wielka rzecz, że trzeba czcić człowieka, zwłaszcza człowieka-proletaryusza; i Andrejew cokolwiek z tego wszystkiego, czem przeniknięta była twórczość jego poprzednika, na swój sposób powtarza — bo to czasy takie i smak publiczności tego rodzaju, że o tem milczeć nie wolno—więcej wszakże zajmuje go pytanie: co jest właściwie wielkiego w tej „wielkiej, dumnej rzeczy“— w człowieku, co wogóle w nim jest takiego, bez względu na jego stan, pochodzenie, poziom kultury, nad czem warto się zastanowić, czem się należy przejąć, czemu tę lub inną cześć złożyć.

I to zwrócenie się Andrejewa do losu człowieka wogóle, do jego przeznaczenia, istoty tragizmu i t. p. niesłuchanie dogodziło ogółowi rosyjskiemu (i nie tylko jemu), który z gwałtownego ruchu już wychodził, a nie wiedział jeszcze dokąd ma iść i co go czeka, czuł jeno na sobie skutki przebytego wstrząśnienia i w duszy nosił lęk przed czemś nieznanem, nieodgadnionem. Dogadza Andrejew dotychczas tak usposobionej publiczności; są już jednak objawy przesylenia się jego twórczością, są—zwłaszcza w krytyce i to różnych obozów—dowody rozczarowania, niezadowolenia, odwracania się nawet. Można mniemać, że wkrótce Andrejew podzieli losy Gorkiego, stanie się tylko „firmowym“ pisarzem, zdezonizowanym władcą tłumów, autorem może dojrzalszym i głębszym, nieposiadającym wszakże uroku. Urok dla publiczności rosyjskiej posiada twórca wówczas, gdy obiecuje wszystko, gdy uda się mu przekonać ogół, że przenosi go od razu w świat nowy; dość małej wątpliwości w tej mierze, żeby urok się rozwił niepowrotnie.

W utworze Andrejewa „Ściana“ stoi tłum ludzi przed ścianą kamienną, dzielącą niebo na dwie połowy. „Oczy wszystkich — mówi autor — zwróciły się na ścianę, która ziała ognistymi promieniami. Wszyscy wierzyli i oczekiwali, że natychmiast runie ściana i otworzy im widok na nowy świat. W zaślepieniu swoim już widzieli, jak chwieją się kamienie, jak od podstawy do szczytu drży kamienny wąż, wykarmiony krwią i mózgiem ludzkim...“

Ściana jednak stoi nieruchoma i głucha jest na wołania ludzkie: nowych światów nie odkrywa. Wówczas rozpacz i wście-

kłość ogarnia wyczekujących pod nią, zaczynają miotać się i złorzeczyć, ci i owi krzyczą: oddaj mi mego syna okrutna zabójczyni — oddaj mi mnie samego!...

Podobnie zachowuje się nieraz wszelka publiczność, a tembardziej rosyjska, która stoi długi czas pod ścianą-twórcą, olśniewającym ognistymi promieniami, budzącym wiarę, że wprowadzi wszystkich spragnionych w świat nowy, przeczuwany. To się nie dzieje, albo nie dzieje się tak, jak to sobie wyobrażał ogół; ściana zaczyna irytować swoją nieruchomością, nowych światów nie otwiera, wówczas rozlega się wycie i łkanie: oddaj nam to, oddaj nam owo, oddaj nam samych siebie...

Wprawdzie Andrejew dość często utrzymywał ogół w tej wierze, że odsłoni mu jakiś świat nowy, koniecznie odrazu i całkowicie mający być zawsze odsłaniany; wprawdzie przesunął, jakby umyślnie naginając się do „ducha czasu,“ zwłaszcza przed wyobraźnią opinii „wolnościowej,“ ponętne światy (np. w dramatach „Sawa,“ „Ku gwiazdom,“ „Król-Głód,“ a ostatnio jeszcze w utworze „Mrok“ rozstrzyga, zgodnie z upodobaniami tej opinii, doniosłe zagadnienia etyczne chwili bieżącej), dużo więc sam zawinił, wiele nieporozumień sam wywołał, nie można też dziwić się, że zaczęto go z rozmaitych punktów napastować.

Andrejew pociągał ku sobie rzesze czytelników—ze sfer opozycyjnych społeczeństwa—tem wszystkim, czem się zawsze sfery te w Rosyi hipnotyzowały: grzmiącemi frazesami programów radykalnych, prymitywną emfazą rewolucyjną, co wszystko już doskonale nazwano *sui generis* „kazionszczyzną,“ urzędówką rewolucyj; pozatem również szablonowem „bogoburstwem,“ bez którego nie rozumiano tu nigdy cokolwiek „dumnego,“ „pięknego“ życia, tak samo, jak i apokaliptyczną filozofią „człowiekoboga,“ która zawsze tu dogadzała pojęciom o indywidualności niezwykłej, stwierdzającej „ja“ swoje wobec samej siebie i świata.

To wszystko było na powierzchni utworów Andrejewa—i to się asymilowało w lot przez wyobraźnię i świadomość czytelników. Bardzo rodzinne, serdecznie swojskie motywy przypominał im np. bohater poematu dramatycznego „Sawwa,“ który chce postawić „gołego człowieka na gołej ziemi“ i obiecuje, że „po Bogu weźmiemy się do nich: Tycyanów, Szekspirów, Puszkiców, Tolstojów—mały stosik polejemy naftą...“ Tak samo żywo i dźwięcznie przemówiły do czytelników rozumowania światoburcze doktora Kierzencowa (p. „Myśl“) i nawet „bogoburczy“ szal niezszczęsnego głuptaka, Ojca Bazylego Fiwejskiego (utwór tegoż tytułu), a cóż mówić dopiero o tak skrzydlatych myślach, jak np.:

„jaki ty masz prawo być dobrym (pięknym), gdy ja jestem nędzna“ (mówi Luba do pewnego rewolucjonisty w utworze „Mrok“); albo takich dreszczem rozkosznym przejmujących groźbach, jakie wypowiadają „głodni,“ zwyciężeni przez rozum i wiedzę: „My jeszcze przyjdziemy, jeszcze przyjdziemy. Biada zwycięzcom.“ (p. poemat dramatyczny „Król-Głód“); albo o tych wszystkich wzniosłych porywach umysłu ludzkiego w walce z tajemnicą wieczystą, jakich pełno w utworach Andrejewa (p. choćby poemat dramatyczny „Ku gwiazdom“ i wiele innych), a z jakich technie nieubłągany żywioł rewolucyjny—*more antico*...

Lubowano się nawet w tak licznych u Andrejewa wypadkach rozdwojenia, rozpadania się „ja“ ludzkiego, w tem dręczącym jego bohaterów poczuciu otchłani, przepaści na początku i u kresu wszystkiego, albo w poczuciu ich osamotnienia, ich życia „nawiasowego,“ że się tak wyrażę. Przejmowano się i tem wszystkim, boć i to przecie jest albo wynikiem rewolucyi, która była, albo zapowiedzią jakiejś przyszłej. Brano to wszystko bardzo naiwnie do serca, brano długi czas *à la lettre*, aż przyszło rozczarowanie, zdumienie, niesmak.

Skoro tylko zaczęto uważniej temu się przyglądać, głębiej sięgać, wnet się przekonano, że ta cała Andrejewowska „kazionszczyzna“ rewolucyjna nie jest główną sprawą jego twórczości, że jest dodatkiem do czegoś innego, o co głównie autorowi chodzi; przekonano się, że z poza frazesów i wszelkiego rodzaju rac bieżąco-rewolucyjnych, wygląda istota rzeczy, nie zawsze z niemi zgodna, często wręcz im przeciwna, jakby urągająca wszelkim porywom i namaszczeniom buntowniczo-wolnościowej „urzędówki.“

Po tem odkryciu nastąpiły niezadowolenia, urazy, wyrzuty, zniechęcenia. Odezwali się najbardziej dotknięci i zawiedzeni, socyal-demokraci np., i zaczęli teraz głosić, że twórczość Andrejewa jest pozbawiona ideałów społecznych, że jest ona rozpaczliwym miotaniem się w pustce i bezcelowości życia, sprowadzeniem wszystkiego do nicości i absurdu, technieniem opustoszałej duszy, rozważającej w tępej przerażeniu pustką jałową i ograniczoność istnienia ludzkiego (opinia takich krytyków, między innymi, jak Łunaczarskij).

Dużo prawdy w tego rodzaju uwagach, nie można im jednak nadawać charakteru zarzutów, trzeba je oświetlać nie ze stanowiska „braku ideałów społecznych,“ tendencji społecznej i t. p. Nie jest tak źle, jak sądzą ci i owi rozczarowani i niezadowoleni z twórczości Andrejewa, gdyż nigdy nie było tak dobrze, jak to sobie niegdyś wyobrażali.

Najpierw parę uwag wstępnych.

W utworach Andrejewa prawie niema tła społecznego we właściwym słowa znaczeniu, natomiast jest zawsze tło ogólnoludzkie. Nie jest to jeden z tak częstych w literaturze rosyjskiej „bytopisarzy,“ etnicznie ścisłych odtwórców tej lub innej sfery społecznej, tych lub owych stosunków bytu rosyjskiego, wytworzonego przez historię, rasę, kulturę właściwą Rosyi. Andrejewowi nie chodzi wcale o taki lub inny szmat życia rosyjskiego, o ten lub ów jego szczegół indywidualny, bądź kierunek znamieny — zależy mu przedewszystkiem na tych pierwiastkach życia ogólnego, które się znajdują w rosyjskiem.

Treść zewnętrzną, społeczną, bytowo-rosyjską ściągają on w utworach swoich do *minimum*, poprzestając najczęściej na dość pobieżnych schematach życia i bytu społecznego, czy to specjalnie rosyjskiego, czy też nawet ogólnego, natomiast główną uwagę skupia na bycie wewnętrznym, na przeżyciach jednostki, i to na przeżyciach najbardziej ogólnoludzkich, niezależnych od tych lub innych właściwości społecznych, obyczajowych i t. p.

Interesują go nietyle sprawy społeczne, cnoty obywatelskie, ewolucye takich lub innych sił społecznych, objawy etyki zbiorowej, klasowej, kastowej i t. p.—ile interesy i ewolucye jednostki, rozważanej najczęściej nie ze stanowiska danego momentu czasu, punktu przestrzeni, lecz pod kątem wieczności, ze stanowiska jej przeznaczeń uniwersalnych.

To wszystko widocznem jest nawet w początkowych jego utworach, gdzie pozornie więcej jest tła społecznego, więcej wszelkiego balastu etnograficznego i szczegółów właściwych wyłącznie bytowi rosyjskiemu niż w późniejszych (p. przedewszystkiem utwory, zebrane w 3-im tomie, w którym umieszczono rzeczy wcześniejsze niż w dwóch pierwszych).

Cała sztuka Andrejewa stoi w najściślejszym związku z powyższym charakterem jego twórczości.

Andrejew jest twórcą nastrojów; cała rzeczywistość, zwłaszcza cały byt zewnętrzny, służy mu przedewszystkiem jako środek do wydobycia i podniesienia nastroju, do wyłowienia jakiegoś zasadniczego tonu tego lub innego przedmiotu, takiego bądź innego przeżycia duszy ludzkiej. Przedmioty poszczególne rzeczywistości, ich zarysy barwne i osobliwości indywidualne, obrazy świata zmysłów nie są celem jego twórczości, nie są bezpośrednią jej sprawą, nie istnieją dla niej same przez się. Z tego wszystkiego układa wciąż Andrejew jakieś skrót, jakieś schematy abstrakcyjne, jakąś geometryę konkretnej rzeczywistości, która mu służy do

stworzenia nastroju, do wywołania ukrytej duszy, tonu, idei — spraw ludzkich i rzeczy świata.

Do wyobrażenia rzeczy ogólnych, oderwanych, używa Andrejew niemal zawsze faktów, wziętych z otaczającej, przeciętnej rzeczywistości, wogóle faktów realnych, obrazy ogólne obleka w powłokę dotykálną, zbliżając ku sobie w ten sposób dwa światy — widomy z przeczuwanym, symbol z tem, co się poza nim kryje. Gdziekolwiek rzucimy okiem, czy zechcemy brać przykłady z pierwszych utworów Andrejewa, gdzie powszedniej rzeczywistości więcej, niż w następnych, czy też z ostatnich, gdzie jej coraz mniej — wszędzie natrafimy z jednej strony na to skondensowane, ogólnikowe ujęcie rzeczywistości, z drugiej zaś — na grupowanie faktów jej dokoła jedyne go jakiegoś nastroju, który pozwala nam odczuć istotę wewnętrzną danego bytu.

Pomijając szersze znaczenie idei utworu „Kłamstwo“, dajmy na to, że ktoś jakąś kobietę podejrzewa o fałsz, oto jak Andrejew uwydatnia nastrojem grozę podobnego uczucia:

„Niekiedy zbliżał się do mnie biały, pachnący obłok. To była ona... Gdy zwracałem ku niej oczy, widziałem profil tak biały, surowy i prawdomówny, jaki bywa u anioła zadumanego nad mogiłą zapomnianego człowieka. I oczy jej widziałem. Były wielkie, chciwe światła, piękne i spokojne. Okrążona błękitnem kółkiem czerniała źrenica i, choćbym w nią wpatrywał się jaknajdłużej, wciąż wydawała się jednakowo czarną, głęboką i nieprzenikloną. Ze strachem i bólem odczuwałem, że całe życie moje, jakby promień cieniutki, przechodziło w jej oczy, aż stawałem się obcym samemu sobie, opustoszałym i pozbawionym głosu — prawie martwym. Wówczas ona odchodziła odemnie, unosząc ze sobą życie moje, i znowu tańczyła z kimś wysokim, wyniosłym i pięknym. Badałem każdy szczegół jego postaci: kształt jego obuwia, szerokość podniesionych ramion, równomierne falowanie kosmyka włosów — on zaś swoim obojętnym, niewidzącym wzrokiem, jakby wtlaczał mnie w ścianę, a ja stawałem się tak samo płaskim i nieistniejącym dla oczu, jak ściana“ (p. „Kłamstwo“ — w zbiorze wydawnictw „Znanie.“ Tom I-szy, 1903 r.).

Otóż tu mamy i tę ogólnikową, streszczoną rzeczywistość, która nie może być inną, gdyż nie jest bezpośrednim przedmiotem odtworzenia artystycznego, i zgrupowanie jej faktów dokoła jedyne go tonu przeżywania danej duszy i wywołanie nastroju, zlewającego w jedno przeżycia wewnętrzne z bytem zewnętrznym.

A teraz weźmy jakakolwiek bądź scenę, opis warunków zewnętrznych bytu, charakterystykę tej lub innej postaci z jednego

z ostatnich utworów Andrejewa „Życie Człowieka,“ gdzie wszystkie cechy i szczegóły rzeczywistości pochłonięte zostały prawie zupełnie przez to, co jest ogólnem, oderwanem, bezkonkretnem.

Oto obraz atmosfery rzeczowej, w jakiej upływa życie człowieka: „Wszystko zalane jasnym, ciepłym światłem. Duża, bardzo wysoka i bardzo biała izba. Zupełnie gładkie, jasno-różowe ściany, gdzieniegdzie pokryte fantastycznym i malowniczym splotem wilgotnych plam. Z prawej strony dwa ośmioszybowe okna bez firanek, patrzy w nie noc... W kącie, ciemniejszym od innych, stoi *Ktoś Szary*. Świeca w Jego ręku wypaliła się o jedną trzecią, lecz jej płomyk jest jeszcze bardzo żywy, wysoki i biały i rzuca mocne odbłaski na Jego kamienne oblicze i brodę. Wchodzą sąsiedzi, ubrani w jaskrawą, wesołą odzież. W rękach mają pełno kwiatów, trawy i zielonych, świeżych gałązek dębu i brzozy. Rozbiegają się po izbie. Twarze mają proste, wesołe, dobre“ (p. „Życie Człowieka,“ Obraz II. Miłość i ubóstwo. Polski przekład, wydanie „Taniej Biblioteki“).

Albo jeszcze z opisu „Balu u Człowieka:“ „Zaraz za Człowiekiem idą jego przyjaciele — wszyscy podobni do siebie: lica szlachetne, czoła otwarte i wysokie, oczy uczciwe. Kroczą dumnie, podając naprzód piersi, stąpając pewnie i silnie, a po bokach spoglądają pobłaźliwie, z lekkim uśmiechem. Przy ubraniach białe róże. Za nimi, po małym odstępnie, kroczą wrogowie Człowieka, bardzo podobni do siebie. Chytre, podłe oblicza, niskie czoła, długie, małpie ręce. Idą niespokojnie, popychając się, kryjąc jedni za drugich i z podełba ciskają po bokach ostre—fałszywe spojżenia. Przy ubraniach żółte róże...“

W takich przedstawieniach rzeczywistości widzimy jej całość, wszystko i wszystkich, nie widzimy jednak kogoś lub czegoś poszczególnie, jakiegoś ułamku rzeczywistości, przedmiotu, osoby w ich kształcie wyłącznym, indywidualnym. Za to poza temi ogólnemi obrazami, odczuwa się zasadniczy ton, duszę istotną wszystkiego i wszystkich. Pierwiastki podobieństwa, bądź różnicy, szeregi cech i właściwości bytu rzeczywistego sprowadza Andrejew do jednego mianownika, do wyrazów najogólniejszych, do określeń najszerszych.

Są to metody twórcze, których Andrejew trzyma się stale.

Wskutek tego, że byt społeczny nieodgrywa pierwszorzędnej roli, a jego przedmiotowa obrazowość została sprowadzona do koniecznego *minimum*, język, styl utworów Andrejewa jest, biorąc rzeczy zewnętrznym, dość bezdźwięcznym i niemalowniczym—technicznie on czemś sztywnym, twardym, nieugiętym. Ale jest w nim ukry-

ta jakaś niezłomność, jakaś logika nieubłagana, rozsnuwająca treść rzeczy w sposób uroczyście skupiony, majestatycznie groźny; jest tu coś z powagi modlitwy za zmarłych, albo z milczenia skupionego przed bitwą. Styl taki w dobrej pozostaje harmonii z tematami utworów, sam przez się podnosi ich nastrój, wytwarza sam atmosferę nastroju.

Jak rzeczywistość zewnętrzna została sprowadzona w utworach Andrejewa do zasadniczych, ogólnikowych linii, tak samo akcja zewnętrzna została tu zastąpiona akcją wewnętrzną, która jest wprawdzie zależna od szeregu zdarzeń i wypadków życiowych, wpływających na te lub inne przeżycia jednostki ludzkiej, punkt jednak ciężkości swojej ma w tem, co stoi poza owymi zdarzeniami, jako ich ukryty i nieodgadniony *spiritus movens*, jako tajemnica bytu powszechnego, to, co pospolicie nazywa się: losem, przeznaczeniem.

Akcja zewnętrzna nie istnieje dla tego, że te zdarzenia, które na nią się składają, nie są dane dla nich sanych, ale po to, by obudzić życie wewnętrzne jednostki, wydobyć jego konieczność i wykreślić linię tej konieczności. Krąg jej mogłaby się nieraz bardzo dobrze zamknąć w obrębie danego życia indywidualnego, konieczność mogłaby być doskonale usprawiedliwioną przeżyciami wewnętrznymi jednostki, uwarunkowanymi z jednej strony jej naturą poufną, składem psychicznym, z drugiej — zdarzeniami zewnętrznymi. Andrejew wszakże rozrywa stale niemal ów obręb życia indywidualnego, ograniczonego, styka je wciąż z oceanem życia powszechnego, topi je w jego bezmiarach, nad koniecznością jednostki stawia konieczność powszechną, nieprzewycięzoną i niezależną, ręką nieubłaganą, wygrazającą zarówno wszystkim.

Otóż ta konieczność wyższa, powszechna odgrywa często rolę akcji zewnętrznej, jest nieraz zbyt zewnętrzną, wysuwa się odrazu na pierwszy plan, przedtem nim się zaczęła rozsnuwac nić konieczności wewnętrznej życia jednostki. W dawniejszych utworach Andrejewa nie rzucalo się to tak w oczy, w niektórych ostatnich staje się już nadużyciem.

W takich np. jak: „Milczenie,” „W ciemną dul“ i t. p. (patrz tom I-szy, zbiór „Znanie“) unoszą się wprawdzie nad ludźmi czarne skrzydła konieczności fatalnej, ale tu się to głównie wyczuwa niewyraźnie, jakby jakiś zbyt subtelny zapach rozpylony w powietrzu, tu się to przeczuwa nawet trwożnie, jak ów „tragizm życia powszedniego“ utworów Maeterlinck'a;—natomiast widzi się przede wszystkim konieczność wewnętrzną, dobrze usprawiedliwioną przyczynami jasnymi, rozwojem życia indywidualnego. Tymcza-

sem, w takim np. utworze, jak „Życie Człowieka,“ właśnie owo fatum powszechne stoi wcielone przed nami w kształt wyraźny, siedzi od początku gdzieś w kącie, jak ów „Ktoś Szary,“ towarzyszący wciąż „człowiekowi“ w rozmaitych fazach jego życia, już czyhający na nie, przed jego poczęciem i rozwijaniem się. Ta zewnętrzność konieczności powszechnej jest słabą stroną utworów Andrejewa. Do niej jeszcze wróć; tymczasem zdajmy sobie sprawę z tego, jak Andrejew rozumie wogóle tragizm bytu, jakiego rodzaju tragizmem wypełnione są jego utwory?

II.

Krytyka rosyjska zaczyna zastanawiać się bardzo poważnie nad tą stroną twórczości Andrejewa. ¹⁾ Mereżkowskij w jego utworach nie znajduje wcale tragizmu; dowodzi, że Andrejew ma o tragiczności bytu jaknajfałszywsze wyobrażenie, gdyż wywodzi tragizm z tego, co jest złem powszechnem, a głównie jego pierwiastkiem przerażającym.

„Wszyscy my, śmiertelni, wiemy, że wszelkiego rodzaju okropności mogą spaść na głowę każdego z nas, i my, przez to, żeśmy się urodzili, jakbyśmy się na nie zgodzili. Tutaj niema jeszcze tragedyi: zaczyna się ona tam, gdzie jest walka, walka zaś rozpoczyna się tam, gdzie jest nadzieja przewyciężenia ślepego losu. U Andrejewa żadnej niema nadziei, a przeto niema wcale tragedyi.“

Zbyt to powierzchowne, zbyt pośpieszne załatwienie się i z tragizmem wogóle, i z tragizmem utworów Andrejewa.

Najpierw nie wszyscy śmiertelni wiedzą, że wszelkiego rodzaju złe może ich dotknąć, a jeśli nawet wiedzą o tem, to nie wszyscy godzą się na coś podobnego — i stąd wynika najelementarniejszy konflikt pomiędzy jednostką i całością, nikłym atomem, a potężnym kosmosem, niewątpliwie zachodzący głównie w dość pierwotnych świadomościach, z takich jednak składa się znaczna część człowieczeństwa. Następnie krytyk uwzględnił tylko te utwory Andrejewa, w których zasadnicza okropność bytu wyraża

¹⁾ Ostatniemi czasy poświęcił Andrejewowi bardzo ciekawe studjum D. Mereżkowskij (p. *Ruskaja Myśl*, styczeń 1908 r.). Szczęśliwie bardzo charakteryzuje twórczość Andrejewa T. Ganzulewicz, autor książki: „Życie rosyjskie i jego prądy w twórczości Andrejewa,“ 1908 r., str. 122.

się empirycznymi okropnościami, klęskami wszelkiego rodzaju, od których powstają złorzeczenia i zgrzytanie zębów bohaterów Andrejewa (głównie powieść „Ojciec Bazyli Fiwejski“). Pomiął natomiast te utwory, w których tragizm nie wypływa z okropności i przerażeń empirycznych, lecz jest wynikiem myśli jednostki ludzkiej, czującej i rozważającej stosunek swój nie do tego lub innego zdarzenia, faktu przerażającego, ale do całości kosmosu, przerażającego jednostkę swoją zagadką, budzącego w niej nieskończone wątpliwości, oszołamiającego tem, co jest w nim niedościgłem, wieczyście niemem, milczącym.

Wobec tego można występować do walki nawet z nadzieją przewyciężenia złego losu, odniesienia w świadomości swojej zwycięstwa nad tem, co nas przeraża w dziejach wszechświata, co jest jego niezłomnym wyrokiem względem nas. Można odczuwać nawet wielką potrzebę zwycięstwa—a tej zawsze towarzyszy jakaś nadzieja—słowem, można mieć chęć walki i pragnienie zwyciężenia, no i ostatecznie dojść do poczucia niemożności czegoś podobnego, do uświadomienia sobie bezużyteczności własnego wysiłku i niezwalczoności wroga.

Empiryczne okropności, klęski materialne, słowem zło wszechświata—grozi, przeraża, zastrasza, ale jeszcze nadziei nie odbiera, wytwarza przedewszystkiem poczucie nieznośności, które nie jest właściwie poczuciem tragicznym. Rodzi się ono z chwilą uświadomienia sobie — albo odczucia bodaj najgłuchszego — że coś jest nieodwołalnego, nie do naprawienia, że przytem za to wszystko niema kogo właściwie pociągać do odpowiedzialności, że pytać niema kogo, bo odpowiedź nie nastąpi, że wróg jest niewidzialny i niedościgły. Można się na to wszystko zgodzić i to jest jedyne wyjście, znoszące poczucie tragizmu, wówczas ma się tylko poczucie tych klęsk i nieszczęść empirycznych, jakie mogą spaść na naszą głowę, ale tu się ma jeszcze nadzieję, że mogą one być zażegnane, odwrócone od nas, że coś i ktoś da się ubłagać. A kiedy na to wszystko zgody z naszej strony niema, gdy „ja“ nasze nie może i nie chce uznać swojej zależności od sił i potęg zewnętrznych, gdy walczy z nimi o swobodę swoją, a przytem widzi całą bezowocność walki, uświadamia sobie własną śmiesznie małą siłę w porównaniu z olbrzymią, nieobliczoną potęgą przeciwnika, wówczas rodzi się poczucie tragizmu.

A więc jest walka, gdyż jest ona tam, gdzie jest przeciwstawienie się czegoś czemuś, jednostki, czegoś nieskończenie małego—całości, czemuś nieskończenie wielkiemu, nadziei wszakże niema, a mimo to, albo właśnie dla tego, jest tragedia.

Otóż tego rodzaju tragizm bytu ludzkiego, taką tragedycę życia pragnie odtwarzać Andrejew. Cała bieda w tem, że on niezawsze dobrze ją odtwarza, że zaczyna ją coraz gorzej odtwarzać—i to robi wrażenie, że pojęcie jego o tragizmie jest zgoła fałszywe. „Kochałem tylko siebie — zwierza się doktor Kierżencew z utworu „Myśl“ — a w sobie kochałem nie wstrętne ciało, które i miernoty lubią, lecz myśl. Nie znałem i nie znam nic wyższego nad myśl. Ubóstwiłem ją, bo warta tego. Czyż nie zmagąła się ze światem i jego przesądami? Na szczyt wyniosłej góry uniosła mnie, i widziałem, jak w dole grzebie się mrowisko ludzkie, zasłaniając się świątyniami i modłami przed żądzami zwierzęcemi, wobec wiekuistego strachu przed życiem i przed śmiercią. W myśli swej, za kośćmi czaszki, byłem tak dumny, jak rycerz średnio-wieczny, kiedy siedząc, jak w orlem gnieździe, w swym zamku niedostępnym, dumnym okiem władcy spogląda na rozściełające się nisko doliny...“

Tak też się opiera na myśli większość wybitniejszych postaci utworów Andrejewa.

Nie wszyscy wprawdzie jego bohaterowie (tacy np. jak: Sergiusz Pietrowicz z „Opowieści o Sergiuszu Pietrowiczu,“ jak Pietrow z noweli „Miasto,“ Sergiusz Nikołajewicz z dramatu „Ku Gwiazdom,“ jak Sawwa [dramat tegoż tytułu], Ojciec Bazyli Fiweski, Judasz Iskariota i t. p.) mają silne poczucie swojej myśli; jednych wynosi ona na wyższe, innych—na niższe szczyty, wszyscy jednak z niej wychodzą, w niej widzą siłę potwierdzającą ich „ja,“ tę, która nadaje ich jednostkowemu istnieniu wartość bezwzględna, rzecz samą w sobie. Ta jednakże dumna władza jest źródłem ich tragizmu, na jej osi obraca się tragedia ich życia.

Wszyscy prawie bohaterowie Andrejewa z jednej strony żyją myślą swoją, przez jej napięcie i przeciwstawienie się rzeczywistości dochodzą do poczucia „ja“ swego, z drugiej zaś męczą się jej wyłącznością i odosobnieniem, tem żywiej odczuwają nicność, małość swego bytu jednostkowego wobec całości. Dzięki myśli swojej, tem głębszą przepaść widzą przed i za sobą, na początku i na końcu, tem nieznośniej uświadamiają sobie niemoc własną wobec myśli niedościgłej wszechświata. „Znowu zaryczał potężny potok ludzkich ciał i całą siłą swoją uderzył o ścianę. I znowu odpłynął, i tak wiele, wiele razy, dopóki nie nastąpiło znużenie, martwy sen i cisza“ (p. „Ściana“). I tak wiele, wiele razy czyni jednostka ludzka, usiłująca określić i wyrozumieć swój stosunek do całości bytu, wiele razy uderza rozpaczliwie o podstawy ściany, która kładzie kres jej rozpędowi ku swobodzie, od-

dziela od tajemnicy powszechnej, wyodrębnia z całości, z którą złać się nie pozwala, stawia na uboczu, obok innych jednostek, również nieprzenikliwych, jak ściana kamienna — aż przychodzi znużenie i martwy sen.

Sens życia indywidualnego przedstawia Andrejew w utworach swoich mniej więcej w taki sposób: albo jednostka jest słaba i już wskutek tego wszelkie jej zachcianki potwierdzania swego „ja“ kończą się jeszcze beznadziejniejszym pogrążeniem jej w chaosie, rozpyleniem i unicestwieniem; albo to, co jest mocą jednostki, okazuje się śmiesznie małym w obliczu nieogarniętej całości, dostarcza tylko złudzeń i ułatwia w końcu złamanie karku. W obydwu wypadkach otchłań otwiera się dokoła życia indywidualnego, krwawiącego pierś swoją o ostre zręby bytu powszechnego, otwiera się głucha, milcząca tajemniczo pustka, wśród której błąka się upiornie, jak wyrzucony burzą na pustynny ostrów rozbitek, straszliwie osamotniona, przerażona odosobnieniem swym jednostka ludzka. Oto zamknięty krąg istnienia indywidualnego, z którego instynktownie, wszelkimi sposobami — od buntu i szału, aż do kompromisu i jednania przeciwieństw — chcą wyjść wszyscy, nikt zaś wistocie wyjścia znaleźć nie może.

Takim jest, podług Andrejewa, nakreślony jakby z góry plan istnienia człowieka, w którym nic nie daje się zmieniać. Kto chce, może wyrzekać na jego zbytni pesymizm, na jego niedostateczność; nie można tu jednak życiu, zachodzącemu w ramach podobnego planu, stawiać zarzutów ze stanowiska tej lub innej tendencji społecznej, gdyż na nią tu miejsca niema; nie można również wyciągać z poszczególnych wypadków tego życia jakichś morałów na użytek chwili bieżącej (jak to robią umysły bakałarskie krytyków niektórych, p. choćby książkę A. Mazanowskiego: *Gorkij, Czechow, Weresajew, Andrejew*), gdyż tu nie chwila, ta lub inna, jest głównym przedmiotem myśli twórczej, ale wieczysty moment bytu, nie szczegół — lecz powszechność. Można jednak pytać — i z tego stanowiska czynić zarzuty — czy w tych poszczególnych wypadkach życia, jakie autor odtwarza, tragedia powyższa istnienia ludzkiego jest czemś wistocie nieodzownem, czy krąg jest zamkniętym na zawsze, czy też tragedia jest zewnętrzna, krąg zaś gwałtem został zamknięty przez autora i może posiadać wiele luk?

Gdy rozejrzemy się w całkowitym dorobku twórczości Andrejewa, bez większego trudu zauważymy, że stałą jego dążnością jest poszukiwanie w stosunkach zewnętrznych życia, zarówno jak i w przeżyciach „ja“ ludzkiego, czegoś, coby uwydatniało ciężące

wieczyście nad bytem ludzkim fatum istnienia. Otóż, o ile w pierwszych utworach Andrejewa—do napisania choćby powieści „Ojciec Bazyli Fiwejski”—owo fatum bytu nie jest gwałtownie narzucone poszczególnym istnieniom, o tyle w późniejszych coraz bardziej na takie wygląda, coraz częściej staje się czemś zewnętrznym, niekoniecznym.

Weźmy kilka utworów pierwszego okresu. Oto doktor Kierzencew z „Myśli“ (p. tom 2-gi, wydanie „Znania“), kochający przedewszystkiem myśl swoją, zamknięty w niej, wyniośle przeciwstawiający się światu. Dogadzając myśli swej, Kierzencew zabija, ale cóż następuje po spełnieniu postanowienia, powziętego przez myśl i gwoli jej? Zamiast czuć się wzmocnioną tego rodzaju potwierdzeniem, myśl Kierzencewa zaczyna wątpić o samej sobie, nieufa mocy własnej i zatrzymuje się na tem przeświadczeniu, że chyba w obłąkaniu mogła popełnić morderstwo. I Kierzencew wistocie dostaje obłądu, tęskni do utraconej mocy myśli swojej i pragnie, by go lekarze uznali za zdrowego. Fakt dość gruby, elementarny, ale myśl głębsza kryje się poza nim. Nie można nie uchybić myśli swojej, nie można jej nie zachwiać, nie zniweczyć jej mocy, skoro władzę jej, mającą prawo rządzić w obrębie życia indywidualnego, w którym i dla którego powstała, przenosi się na życie powszechne w sferę innych indywidualności. „Ja,“ wyprobowujące moc swoją na innym „ja,“ wchodzi w zetknięcie z czemś sobie obcem, nieznanem, źle, fałszywie ustanawia swój stosunek do niego, wskutek czego popełnia najprzód zbrodnię, następnie ponosi karę: nie uznaje siebie w czynie spełnionym, wypiera się samego siebie. Czy w tym poszczególnym wypadku czegoś podobnego, w tragedji życia indywidualnego, można znaleźć odbicie tragedji ogólnej, pierwiastek uniwersalności? Można, dla tego, że tego rodzaju stykanie się życia ograniczonego, indywidualnego (pomijając, rzecz jasna, gwałtowność zetknięcia się — zabójstwo) z bezkresnem, niedościgłem, wskutek czego następuje błąd, chęć stwierdzenia „ja“ swego w obrębie innego, zachodzić może w najrozmaitszych okolicznościach życia człowieczeństwa, jest poniekąd jego procesem ogólnym. Jest w tem stała pokusa ludzkości, coś, co wieczyście towarzyszy wzrostowi indywidualności ludzkiej, jej porywom ku swobodzie, dążeniu do absolutu — i dla tego jest w tem stałe niebezpieczeństwo, groźba nieustannego chwiania równowagi, jest fatum nieodłączne od bytu ludzkiego. Czuje się również jego nieodstępną obecność i w takich utworach, jak „Śmiech“ i „Kłamstwo“ (p. tom I-szy), w których poszczególne wypadki odczucia indywidualnego przepaści, oddziela-

jącej pozór od istoty, złudzenie od prawdy, odbijają wieczystą tragedję ludzkości, udręczonej dwulicowością bytu, rozdzieleniem ducha, spragnionego prawdy bezwzględnej, odbierającego zaś pozór i fałsz. Tragizm jednostkowy posiada tu charakter tragizmu uniwersalnego, jest losem człowieczeństwa. Kochanek, znękaný fałszem, pozorem prawdy zabija istotę kłamliwą, kłamstwo zaś czyni przez to nieśmiertelnem; człowiek nie uwalnia się od uczucia, że jest zwodzony i łudzony pozorem bytu, podczas gdy prawda, której namiętnie pożąda, jest tem, co wieki każe czekać na siebie i nigdy nie przychodzi. Nie przychodzi dla tego, że źródło kłamstwa nietylko bije na zewnątrz człowieka, ale w nim samym, przedewszystkiem w nim, płynie z jego złudzeń, wiary niedostatecznej, niemożności objęcia poznaniem całości bytu.

To ostatnie zagadnienie i związaną z niem tragedję człowieczeństwa porusza Andrejew w formie bardzo prostej, niemniej pozwalającej wyczuć doskonale istotny tragizm świadomości ogólnoludzkiej (p. nowelę „Miasto,“ tom 3-ci). Ktoś uświadamia sobie straszliwie małą częśćkę poznanego bytu, wyliczając wszystkich znajomych sobie ludzi. W ten naiwny sposób uwydatnia się tem lepiej nicość świata poznanego w stosunku do jego całości, unaczynia się ograniczoność poznania ludzkiego, osamotnienie człowieka wśród kosmosu. Tragedya w tem stała i nawet tego rodzaju, że i Mereżkowskij nie potrafiłby jej odjąć cech tragizmu, towarzyszy jej bowiem wieczna nadzieja, będąca warunkiem walki, nadzieja poznania wszystkiego, dotarcia do absolutu. Charakter tragizmu powszechnego posiada również tragizm życia indywidualnego, odtworzony w utworze „Książka“ (tom 3-ci). Tu uwydatniona została nicość, ograniczoność wysiłku ludzkiego, zmierzającego do ożywienia, wzruszenia jedną myślą i jednym uczuciem całości, człowieczeństwa—w porównaniu z przeszkodami, jakie temu stawia ociężałość materji, obcość i bezwładność świata zewnętrznego. Oddźwięk fatalizmu uniwersalnego brzmi w rozpaczliwym wołaniu biednego Ojca Ignacego z noweli „Milezenie,“ który chce wydrzeć tajemnicę śmierci córki-samobójczyni, woła, miota się, rozpacza—i na wszystko otrzymuje głuchą, okrutną, rozdzierającą serce i unicestwiającą umysł odpowiedź milezenia. Nie jest to poszczególna sytuacja, lecz położenie ogólne człowieczeństwa, wołającego na puszczy, nieodbierającego odpowiedzi na najżywotniejsze zapytania, na najboleśniejsze wątplenia, najstraszliwsze zagadki, osłonięone wieczystą tajemnicą milezenia.

Fatalizmem ogólnoludzkim technie również życie Sergiusza Piotrowicza (p. „Opowieść o S. Piotrowiczu“), którego tragizm po-

lega na tem, że nie może on utwierdzić swego „ja“ wobec wszechświata. Tu mamy tragedję pochłaniania „ja“ jednostki przez chaos świata zewnętrznego, gubienie się znanego i ograniczonego w niepojętem i bezkresnem.

W tych i t. p. utworach miara tragizmu jednostkowego może służyć jako miara tragizmu powszechnego, tragedia życia indywidualnego, ujęta w poszczególnych jego wypadkach, odbija istotną tragedję człowieczeństwa, jako coś wszczepionego w rdzeń jej istnienia, obciążającego jego dzieje. Czuje się tu, że to tak było, jest i będzie. Czuje się tem silniej, ile że autor niechce nam gwałtem podobnego uczucia narzucić, nie nakręca faktów i sytuacji do założenia. Myśl fatalizmu powszechnego nasuwa się sama przez się, idzie sobie swobodnie po faktach i wypadkach. Nie zawsze tak czyni Andrejew, od niejakiego czasu zaś zaczął postępować wręcz przeciwnie—i zaczął okropnie chybiać celu.

Bardzo dużem chybieniem jest, pod tym względem i pod wieloma innemi, powieść „Ojciec Bazyli Fiwejski“ (istnieją dwa przekłady polskie), jeszcze większem poemat dramatyczny „Życie Człowieka.“ Tym utworom można większe przypisywać znaczenie, niż poprzednim, dla tego, że w nich, zwłaszcza w ostatnim, pragnął autor jakby ostatecznie wypowiedzieć się w sprawie tego wszystkiego, co jest kręgiem niezłomnym, fatalnym ludzkiego bytu, człowieczego przeznaczenia.

Gdybyśmy podejrzewali Andrejewa, że w „Ojcu Bazyliem Fiwejskim“ chciał tylko odtworzyć jakąś rzeczywistość, kładąc przede wszystkim nacisk na to, co jest jej pierwiastkiem przerażającym, w takim razie musielibyśmy powiedzieć, że jest to w istocie stek faktów i zdarzeń przerażająco-ohydnych, lawina klęsk empirycznych, spadających na pewną jednostkę ludzką. Może być w tem prawda, może nieprawda, w każdym razie coś, co świadczy o złym smaku autora i niepoczytalności artystycznej. Nie możemy jednak w ten sposób rozważać tego utworu, musimy—z wielu względów—traktować jako symbol losów człowieczeństwa, jako tragedję wieczystą ludzkości, odbitą w poszczególnem życiu indywidualnem. Jak ta tragedia wygląda? Na bardzo wierzącego popa, Ojca Bazylego, spadają okrutne nieszczęścia: utonął synek ukochany, żona rozpiła się potem, urodziło się im następnie dziecko-idyota, w końcu popadła spaliła się podczas pożaru i t. p. Same okropności i straszliwe dopusty Boże. Mimo to, Ojciec Bazyli wierzy po dawnemu, przetrwał próby tego rodzaju, które najsilniejszą wiarą potrafiłyby zachwiać. Ale pod wpływem nieszczęść unyślnął staję na granicy obłądzenia i, w chwili szału, Ojciec Bazyli usiłuje wskrzesić

zmarłego. Powiada w ekstazie do nieboszczyka: wstań, cud jednak nie następuje i wówczas dopiero Ojciec Bazyli zachwiał się ostatecznie w wierze swojej i, porwany paroksyzmem zwiększonego w ten sposób szału, zmarł niebawem.

Gdzież tu najpierw konieczność logiczna i psychologiczna? Jeżeli Ojciec Bazyli w istocie mocno wierzył, a dowody, iż tak było, mamy w tem, że najstraszliwsze klęski nie pozbawiają go wiary—to wierzył nie dla cudu i nie było dla niego konieczności wypróbowania swojej wiary na cudzie. Jeśli to zrobił, to chyba dla tego, że oszalał, stał się niepoczytalnym, a w takim razie nic od niego żądać nie możemy, możemy skonstatować tylko, że oszalał pod wpływem nieszczęść, słowem, że jest to wypadek indywidualny, w którym niepodobna dojrzeć czegoś uniwersalnego, będącego nieodzownym tragizmem ludzkości. Widocznie Andrejew mniema, że ludzkość wierzy dla cudu, a gdy ten się nie spełni, szaleje i przestaje wierzyć. Gdzież tu fatalizm tragiczny? Ależ to tylko najordynarniejsze pojmowanie wiary i swego stosunku do bóstwa. Bardzo lekkie traktowanie fatalizmu bytu. Jest wiara, gdy się spodziewamy cudu, niema wiary, gdy on nie nadechdździ, i wszystko rozstrzygnięte, i zagadka przestaje dręczyć, wszystko jest warunkowane, konwencyonalne.

Tragedya prawdziwa chyba inaczej wygląda!

Ludzkość wierzy przed cudem i wierzy po jego niespełnieniu się, pomimo, że cud się nie odbył; albo—nie wierzy zarówno przed, jak i po spełnieniu się cudu. To jest coś w istocie powszechnie tragicznego — w tem jest fatalizm losu ludzkiego. Tragedya zaś wrzekoma Ojca Bazylego albo jest zwyczajną głupotą (jak to doskonale wykazał Mereżkowskij w studyum o Andrejewie) — albo jest czemś zupełnie pozbawionem charakteru uniwersalności. Całkiem zewnętrzne i przypadkowe klęski, jakie spadają na jednostkę ludzką o cechach i właściwościach również bardzo przypadkowych, nie mogą rościć pretensyi do wykazania w życiu indywidualnem, bodaj najnieszczęśliwsem, pierwiastku fatalizmu powszechnego, nieodzownego. Wszak dość przypuścić, że na takiego Ojca Bazylego zamiast nieszczęść spadają same łaski Boże, a można być pewnym, że nigdy myśl jego nie doprowadziłaby go do domagania się cudu, dla wzmocnienia wiary. Wszystko tu więc jest warunkowe — a zatem konieczności niema. Gdyby Andrejew mógł wykazać, że myśl Ojca Bazylego pcha go niezłomnie, bez względu na zły bądź dobry los, do tego stanu ducha, w którym wiara nie może istnieć bez cudu, że to ona z natury swojej czegoś podobnego wymaga, w takim razie byłoby w tem coś z fatalizmu

powszechnego. Ale Andrejew tego nie zrobił, stworzył sytuację niedorzeczną ze stanowiska religijnego, w dodatku niesłychanie wstrętą w całym swoim przebiegu faktycznym. O wiele był bliższym prawdy, gdy przedstawiał w „Milczeniu“ zachowanie się Ojca Ignacego, na którego wszak także spada niesłuchane nieszczęście, który także traci orientację i otwiera szeroko w pół-obłąkane, przerażone oczy wobec faktu, którego nie może wyrozumieć, a czuje tego tak wielką potrzebę, że chyba od cudu jakiegось mógłby doznać jej zaspokojeuia. On jednak na ten środek nie wpada—krzepnie tylko w zdumieniu. I to jest naturalne, jest odczute trafnie, i więcej w tem pierwiastku tragizmu powszechnego, niż w „tragedyi“ Ojca Bazylego, który niewątpliwie zrodził się z poprzedniego szkicu, i w oczach autora i wielu czytelników uchodzi najpewniej za dalsze rozwinięcie myśli w nim zawartej. To rozwinięcie jednak jest tylko jej uwstecznieniem.

Największem wszakże uwstecznieniem idei tragizmu bytu, najbanalniejszym sprowadzeniem do fatalizmu zewnętrznego dziejów ludzkich, jest poemat dramatyczny „Życie Człowieka,“ napisany umyślnie, żeby—że tak się wyrażę—raz na zawsze ostatecznie załatwić się ze sprawą nieuchronnej tragedyi człowieczeństwa. Tu już nie poszczególny wypadek życia ma odbijać tragizm powszechny, tu już mamy całkowity obraz niedoli koniecznej człowieczeństwa, szerokie umysłowanie wszelkich faz tragedyi bytu ludzkiego. Przez te fazy, przez te stopnie nie może nie przechodzić życie człowieka. Tak było, tak jest, tak będzie—bo tak być zawsze musi! Oto jakie wrażenie pragnie wywołać utwór Andrejewa. W istocie bardzo pragnie, ale straszliwie mu to się nieudaje. W „prologu“ zapowiedź tak obiecująca, że aż dreszcze chwytają: a co jeśli doprawdy zostanie nam unaoczniona nieubłagana konieczność życia człowieka! Mamy widzieć wszystko od początku do końca, od chwili narodzin człowieka, jak wśród nocy niebytu zabłyśnie kaganek, zapalony przez niewiadomą rękę — aż do chwili, kiedy w czarną pustkę znowu się ów kaganek pograży i w niej zagaśnie. „Po narodzinach weźmie obraz i miano Człowieka — mówi „Ktoś Szary,“ ten, który jest wiecznym towarzyszem drogi Człowieka po wszystkie dni jego życia, na wszystkich jego szlakach—i we wszystkim będzie podobny do innych ludzi, którzy żyją już na ziemi. I ich los okrutny stanie się jego losem i jego los okrutny będzie losem wszystkich ludzi. Niepowstrzymanie przez czas porwany, przejdzie wszystkie stopnie życia ludzkiego od dołu do góry, od góry do dołu. Ograniczony we wzroku, nigdy nie będzie widział następnego stopnia, na który już stą-

pa jego słaba noga, ograniczony w poznaniu, nigdy nie pozna co mu przynosi przyszła godzina—minuta. I w swojej ślepej nieświadomości, dręczony przecuciami, miotany nadziejami i trwogą, pokornie odbędzie wyznaczoną pielgrzymkę...“

Many więc patrzeć na „Życie Człowieka“ wyznaczone z góry, na coś w czym nic zmienić nie można, co posiada charakter konieczności przedwiecznej — jest przekleństwem istnienia i warte tylko przekleństwa. No i patrzymy — naprzód, oczywiście, na narodziny człowieka—nie nadzwyczajnego: doktor, krewni, wszyscy gawędy prowadzą okolicznościowe, największa groza polega na tem, że „kąt w którym nieruchomie stoi *Ktoś Szary*—los kierujący nieubłaganie życiem człowieka — jest ciemniejszy od innych...“ Wszystko kończy się jaknajlepiej. Mamy następny stopień: na Człowieka czyha miłość, idąca w parze z ubóstwem, ale i tu tragedyi jeszcze nie ma, młodzi kochają się, łądzą... „śpiew i tańce coraz weselsze. Człowiek stopniowo wstaje, potem zaczyna zlekka tańczyć w miejscu, potem chwyta żonę i tańczy...“ *Ktoś Szary* tylko patrzy na to obojętnie, trzymając w skamieniałym ręku jasno płonąca świecę... I „Bal u człowieka“ bardzo dobrze schodzi—ale tu już coś naprawdę zaczyna nieubłaganie grozić Człowiekowi, bo *Ktoś Szary* „idzie ku tym drzwiom, w które wszedł Człowiek, i w nich znika,“ przytem chwije się płomień świecy, trzymanej przez *Szarego*...

W istocie wchodzimy w okres „nieszczęść Człowieka.“ Był on bogatym, a teraz znowu zbiedniał, „miał on mnóstwo drogich rzeczy, konie, pojazdy, nawet samochód, a teraz niema nic...“ W dodatku zły człowiek cisnął z za węgla kamieniem w syna Człowieka i roztrzaskał mu głowę. Człowiek stracił wszystko, bo i talent własny, pozostaje mu tylko przekleństwo, którem obrzuca dowoli, zawsze stojącego obojętnie w kącie *Szarego*. „Przeklinam wszystko, dane mi przez Ciebie! Przeklinam dzień, w którym na świat przyszedłem, przeklinam dzień, w którym umrę. Przeklinam całe życie moje, radości, smutki. Przeklinam siebie. Przeklinam moje serce, moją głowę — i wszystko ciskam wstecz, w twoje srogie oblicze, głupi losie. Bądź przeklęty, po wszystkie wieki przeklęty! I tem przekleństwem ja zwyciężam Ciebie...“

Okazuje się, że po zupełnem zbiednieniu Człowiek, przez moc przekleństwa znowu staje się bogaczem, gdyż nawet niezłomny los zwycięża — ale mniejsza o to!

Utworu podobnie płytko-pretensjonalnego chyba żaden głębszy twórca—a takim jest z wielu względów Andrejew — jeszcze nie napisał. Nie mówię już o pierwotnej, grubej symbolice tego,

co w „Życiu Człowieka“—ma być koniecznem, nieubłaganem, nie mówię o istic pensyonarskim polocie wyobraźni i zdawkowem od-twarzaniu etapów losów człowieka. To wszystko wprost razi w dziele, mającemu ujmować głębię i szerokość wieczystej trage-dyi człowieczeństwa. Tu przedewszystkiem pojęcie fatalizmu jest niesłychanie ubogie, fragizm bytu wyobrażony zewnętrznie. Cała tragedia bytu została ściągnięta do zewnętrznych wypadków i zmian, wewnętrznej, nieodłącznej tragedyi tu niema. *Człowiek* przeklina swój los, przeklina wszystko, dlatego, że utracił wszelkie bogactwa (dajmy na to: młodość, nadzieje, dostatki, talent i t. p.), gdyby więc to nie zaszło, nie miałby powodu do przekleństw, mógłby nawet błogosławić los, byt, życie wogóle. Jedyne powo-dy przekleństwa spoczywają w utracie bogactwa, pozatem myśl *Człowieka* nie trapi się wcale tem, że ów byt, sam przez się, go-dzien jest przekleństwa, że jest przekleństwem, pomimo bogactwa, radości, nadzieje i t. p.

Tu również wszystko jest warunkowe, nie ma konieczności. Są klęski empiryczne, katastrofy, przejścia nieszczęśliwe — jest tragedia, byt staje się zamkniętym kręgiem fatalizmu; nie ma katastrof, nieszczęść, klęsk—nie ma tragedyi, nie ma w bycie fa-talizmu nieodzownego. Podług takiego schematu miłość złączona z ubóstwem, jest objęta kręgiem zamkniętym konieczności, miłość z bogactwem—stoi poza jego obrębem, o miłości zaś samej przez się, w tej lub innej postaci, nie ma co już powiedzieć, w niej nie podejrzewa się tragizmu koniecznego. „Życie Człowieka“ zobra-zowało w sposób bardzo pierwotny, nie filozoficzny, zewnętrzną, rzekomą tragedią życia ludzkiego, istotną zaś, wewnętrzną, nie wyraziło niczem, pominęło to, co w duszy ludzkiej jest jej od-czuciem, zarysowało banalnie zewnętrzną niedolę człowieka, nie uwzględniło natomiast jego niedoli wewnętrznej, tego, co otwiera otchłań pod stopami człowieczeństwa, bez względu na złe, bądź dobre losy.

To Andrejewowskie „Życie Człowieka“ wygląda wewnątrz bardzo pusto, a przecież miało zawrzeć w sobie całe życie, kro-iło na najsyntetyczniejsze wyobrażenie całości bytu ludzkiego. Duszy w niem wszakże nie ma, niedarmo *Człowiek* Andrejewa powiada, w chwili wielkiego nieszczęścia, gdy go *Zona* nakłania do wspólnej modlitwy: „Nie usłyszysz mnie Ten, którego uszów nie trudziłem nigdy — ani uwielbieniem, ani prośbami...“ Tego *Człowieka* wewnętrznego wogóle się tutaj nie słyszy, widzi się tylko zgrubsza to, co wali w jego ciało, w jego znikomą ze-wnętrzną.

Jeśli to ma być „życie człowieka w obliczu wieczności“ — jak się wyraża jeden z wielbicieli Andrejewa, zresztą bardzo inteligentny (Ganzulewicz w cytowanej wyżej książce), to w każdym razie ta „wieczność“ wygląda bardzo powierzchownie, życie zaś indywidualne jest pozbawione treści głębszej. Tem dziwniej to razi u autora—w dojrzałszym okresie jego twórczości—który bardzo głęboko umiał odczuwać i niebanalnie odtwarzać stosunek życia indywidualnego do powszechnego.

III.

Jakkolwiekby, czy udaje się Andrejewowi odtwarzanie tragizmu ogólnoludzkiego, tragedyi życia *wyznaczonego z góry*, czy też nie, cała niemal twórczość jego obraca się dokoła osi tego rodzaju, wciąż się zajmuje sprawami takiego życia indywidualnego, w którym występuje związek z uniwersalnym, takimi jego momentami, w których przejawia się wieczność. Nie są to, rzecz jasna, sprawy i tematy dotyczące życia wyłącznie rosyjskiego, związane z temi lub innemi jego dążnościami bieżącemi. Jest jednak coś w twórczości Andrejewa, pomijając naturalnie tło i fabułę niektórych utworów, co wyraża dosadnie, nawet w tej swojej postaci ogólnoludzkiej, byt przedewszystkiem rosyjski, charakter tradycyjnych niemal przeżyć ducha rosyjskiego. Na zewnętrznej nawet istocie twórczości Andrejewa znać odbicie epoki rewolucyjnej, cóż więc mówić o wewnętrznej. Jest ona przeniknięta niejasnemi i świadomemi przeżyciami dusz z okresu przełomu, w którym walą się stare światy, porządki społeczne i układy myślowe, wierzenia i wyznania, nowe zaś rodzą się w męce, indywidualizują się w duszach ludzkich, przebijają się rozpaczliwie w instynkcie życia zbiorowego, w rozpędach i nadziejach jednostek i ogółu. To, co przeżywają bohaterowie Andrejewa, przeżywał oddawna i przeżywa obecnie zmęczony „inteligent“ rosyjski, i ten co się nużyć już by nie chciał, z mocy jednak losów, żyje wciąż w atmosferze nużącej i zniechęcającej. W atmosferze tej „ja“ ludzkie robi olbrzymie, rozpaczliwe wysiłki, by siebie wzmocnić i potwierdzić wobec chaosu, często jednak tak się fatalnie styka z żywiołem, z bezwładem materyi, z bezkresnem i nieprzeniknionem, że odczuwa swoją nicość beznadziejną, przechodzi męki rozdwojenia i daje się pochłonać przez to, co jest jego przeciwstawieniem, przez całość nieogarniętą życia powszechnego.

W tego rodzaju warunkach znużenie i rozpacz rozmaicie się objawiają. Jedni wchodzą w przymierze z żywiołem gnębiącym, łądzą się nieraz możliwością zawarcia z nim takiego układu, który nawet podnosi ich w świadomości własnej; inni — wprost toną w jego odmętach, patrzą beznadziejnie na to, jak „ja“ ich pograża się w otchłań bytu powszechnego; są i tacy — właściwie jest ich jaknajwięcej — którzy sami pragną stać się żywiołem, sami chcą stanąć na miejsce bytu pochłaniającego wszystko.

Znużony bojownik idei (np. taki Sergiusz Mikołajewicz z dramatu „Ku Gwiazdom“), zaczyna się w swoim idealizmie i, pocieszając zrozpaczoną, naciskiem życia nieubłaganego, młodość, twierdzi, jakoś bezdźwięcznie i automatycznie — że świat dąży „ku gwiazdom“, czyni czary jakieś i przywołuje, w obliczu „wieków i przestrzeni“—„syna wieczności“—kogoś, co wyzwala od strachu i przerażenia przed życiem. Młodość (Marusia, Piotruś) nie bardzo odczuwa tego rodzaju filozoficzno-literacki idealizm, nie czuje się zbyt ośmieloną i pokrzepioną tem, że rodzą się wciąż nowe światy i ludzie na miejsce tych, co giną—i albo zaprzecza beznadziejnie: „rodzą się dla szaleństwa i zatracenia po to, żeby ich także oplakiwała matka,“ albo rozbici, z rozprzężoną świadomością, z wykojejonem „ja“ swoim stają na stronie, na marginesie życia, zdala od jego odmętów chłonących.

A wszyscy oni, znużeni w taki, bądź inny sposób, noszą w sobie poczucie konieczności zmiany tego, co jest, na coś innego; noszą pragnienie przebudowy wszystkiego, odnowienia wszystkiego z gruntu. Ale zarazem noszą również wielkie poczucie pustki dokoła siebie, którą jeszcze nie wiedzą czem i jak zapełnić. I w takich to chwilach właśnie przychodzą ci, co są do tego stopnia znużeni walką „ja“ indywidualnego z powszechnem, jego pochłanianiem ciągłym przez chaos i żywioł, że aż sami stają się chaosem i żywiołem, bo już innej rady nie znajdują.

I wówczas to przychodzi taki Sawwa np. (p. dramat „Sawwa“) i powiada: koniec ziemi, koniec człowiekowi dotychczasowemu, niech stanie „goły człowiek na gołej ziemi.“ Powiada: „Nastał czas, żebym przyszedł—i przyszedłem, i oto stoję wśród was. Bądźcie gotowi. Wśród ognia i piorunów chcę przejść po za zręby świata. Jeżeli nie ja, to kto inny. Jestem posłany, ten zaś kto mnie posłał jest nieśmiertelny. Widzę go, on idzie, zrodzi się z płomieni. On sam jest—płomieniem i zburzeniem. Koniec ziemi... On idzie...“ I wówczas to zaczyna się „wysadzanie w powietrze“ rozmaitych Bogów, „golenie“ ziemi, równanie z gruntem gór głupstwa, absurdu nagromadzonego wiekami.

Wszystko wygląda jak głupstwo: nauka, religia, sztuka, państwo, społeczność, miłość i wiara, myśl i uczucie—stają się absurdem i mogą iść do dyabła. Rozpoczyna się taniec nihilistyczny, dokoła ołtarza Boga niebytu, następuje zniszczenie, opustoszenie duszy narodu. Wyłażą zewsząd „drobne biesy,“ wchodzą w stado nierogacizny, które pędzi w przepaść. Z „bogoburstwa“ nawet, w którego szamotaniach kryje się rozpacz niewiary, potrzeba nowej wiary, nic się nie zostaje, — zaczyna się rozpierać w życiu zadowolone z siebie „chuligaństwo“ wszelkiego typu. „W nihilizmie źródło moralnego upadku, towarzyszącego rewolucyi — powiada M. Berdiajew, jeden z odnowicieli myśli rewolucyjnej w Rosyi—(p. „Ruskaja Myśl“ lipcowy zeszyt 1908 r.). „Nasz chuligański, nihilistyczny rewolucjonizm, niegodzien jest, ze względu na swoją wewnętrzną wartość, nawet tego, czego domaga się program stronnictwa „wolności narodowej,“ stronnictwa umiarkowanego, podług opinii powszechnej.“

Oto, na co zasługują ci, co wszak zaczynają robotę od pragnienia przebudowy wszystkiego. I to jest wynik czysto rosyjski — i to się rodzi „wśród ognia i piorunów.“ Nie dość, że się dochodzi do bezwartości wewnętrzej, do pustki, ale się jeszcze tę pustkę czci, nosi się z nią dumnie — ogromnie dumnie! I to jest także „przeżycie“ czysto rosyjskie, i dumą tego rodzaju tchnie twórczość Andrejewa, co też mu najpewniej jednało masy wielbicieli.

Strasznie dumnie żyje „Człowiek“ (p. „Życie Człowieka“), w duszy jego niema miejsca ani na *uwielbienie*, ani na *prośby*. Niczem Prometeusz! Okazuje się jednak, że ten nad-Prometeusz zachowuje się od początku do końca, jak wieczysty niewolnik. Dowiadujemy się, że on znosił wszelkie klęski, jakie spadały na niego, „znosił dumnie“ — dlatego, że myślał, iż tak być powinno. Następnie, gdy się raz zdecydował uderzyć czołem przed Tym, „którego uszów nigdy nie trudił—ani uwielbieniem, ani prośbami“ — to zaczął już tak bić, że aż doszło do „całowania ziemi“ (o! to nieodzowne całowanie) — do tarzania się w prochu. Gdy nie pomogło i to, wówczas następuje serya „najdumniejszych“ przekleństw, ciskanych „po wszystkie wieki“ w oblicze Tego, przed którym właśnie czołgało się przed chwilą. To wszystko może mieć swoje usprawiedliwienie, jest czemś nietyle „bardzo ludzkim,“ ile „niżej ludzkiego,“ ale, żeby to miało jaśnieć nieopisanem pięknem—na to trzeba mieć osobliwe wyobrażenie o tem, co jest pięknem dumnego życia ludzkiego.

Andrejew w typowo niewolniczem postępowaniu upatruje jednak — dumę i piękno, godne nieśmiertelności.

„Człowiek“ umiera wśród pijanic, siedząc wszakże „przy oddzielnym stoliku“ (po co to ostatnie „osamotnienie“ — można było śmiało nie robić tego wyróżnienia!) „Człowiek wstaje, prostuje się, odrzuca w tył siwą, piękną głowę i krzyczy niespodziewanie głośno, głośno, głosem rozkazującym, pełnym bólu i gniewu... Pada na krzesło i umiera, przechylając w tył głowę...“ Mrok przesłania w końcu wszystko, „tylko twarz umarłego *Człowieka* jaśniej...“

I to ma tak być, po tem ostatniem kabotyńskiem wystąpieniu. Nie chce się jakoś wierzyć! Czem że ma jaśnieć, jakim światłem nadziei, przyszłości — twarz „Człowieka“ kiedy w nim światła nie było, kiedy on żadnej wiary nie dochował, żadnej mocy nie stwierdził całym sobą, kiedy nie był przejawem piękna nieśmiertelnego? A może on *jaśniej* tem światłem, jakim w oczach własnych jaśniej Judasz — sprzedawca Chrystusa? Judasz po ukrzyżowaniu Chrystusa, którego oddał w ręce wrogów, wykrzykuje: eureka! „Nie Jego sprzedałem—powiada—ale was mądrych, was silnych oddałem śmierci haniebnej, która nie skończy się po wieki“ (p. utwór „Judasz Iskariota i inni.“ Przekład L. Belmonta. Warszawa, 1908 r.).

Ale sam Judasz niedługo się cieszy tego rodzaju światłem prawdy fałszywej, że tak powiem, prawdy mamiąco-błyszczącej na odwrotnej stronie medalu, nie może nią pokryć, przewyciężyć tej, która jest jedyną, nie może pogodzić w duszy swojej faktu, że zdradził Chrystusa, z omamieniem, że jakoby wrogów Jego oddał śmierci wiecznej — i wiesz się.

Takim światłem jedynie może chyba jaśnieć twarz zmarłego „Człowieka“ — ale to światło nie jest piękne, gdyż nie jest życiodawcze.

Sporo dowodów można przytoczyć na to, że sam Andrejew wątpi nieraz o pięknie i dumie postawy wielu swoich bohaterów, borykających się z losem, szturmujących do tego, co jest niedościgłe i wieczne. Pomimo to jednak nie może się on otrząsnąć z podziwu dla tych lub innych ich póż, bezwiednie ich „dumę“ otacza aureolą, przystosowuje się do pojęć i ideałów własnego środowiska. Tu lubiano zawsze i lubią bardzo dotychczas podobnie dumne pozy, lubią hałas, trzask, przewalanie się wszystkiego dokoła człowieka, jego tragedyi i wogóle tragedyi bytu. Tradycyjnych nałogów i upodobań nie może Andrejew wypruć z nerwów swoich, nie może wyrzucić z wyobraźni swojej odziedziczonych pojęć o tragizmie ludzkości, jak nie może uwolnić artystynu swego od bardzo zewnętrznych sposobów jego przedstawiania.

Bez hałasu zewnętrznego, gwałtu i miotania się, bez katastrof, klęsk elementarnych, bez ohydy i potworności panoptikowych nie zachodzi u Andrejewa—zwłaszcza od niejakiego czasu—nic tragicznego, nic, co w bycie wiecznym tchnie grozą, czemś przerażającym. Andrejew ma coraz mniejsze poczucie „tragizmu dnia powszedniego,“ *à la* Maeterlinck, tego tragizmu, który cicho, niepostrzeżenie niemal, sączy się wieczyście po przez dzieje człowieka i, jak cień dyskretny, pełźnie wciąż za nim. Bez smoły gorącej, bryzgającej na wszystkie strony złowrogo, nie ma dla Andrejewa—piekła, nie ma przerażenia duszy -- bez smoków potwornych, upiórów, wampirów. Nie poczuje człowiek tragedii bytu, dopóki mu ktoś krwi nie utoczy, nie rzuci z wieży na bruk i kości nie pogruchota, nie skopie i nie spolizkuje, chociażby to była sama wieczność w swojej osobie, nieprzenikniona zagadka kosmosu. Nie przerazi się—dopóki go nie nastraszą z za węgła, nagle, brutalnie. Jak odczuwa, tak też i wypowiada: krzykliwe, wyzywająco, okrutnie. Jak go straszą, tak też on odstrasza, jakim czarom podpada—takimi również odczynia. Większego hałasu i większego nagromadzenia okropności wszelkich—i to dokoła spraw najbardziej wewnętrznych, poufnych — jak widzimy w takich np. utworach Andrejewa, jak: „Ojciec Bazyli Fiwejski,“ „Sawwa,“ „Król-Głód,“ „Życie Człowieka“ i „Mrok“ (patrz wydawnictwo „Szypownik“), chyba nie dał nikt z wybitniejszych twórców rosyjskich ostatnich czasów.

Gorkij wprawdzie wrzeszczy o wiele potężniej, czyni wciąż gwałty wszelakie, ale ten niema znowuż większej pretensyi do ciągłego stawiania „ja“ ludzkiego wobec wieczności. Andrejew stale tem jest zaprzątnięty, dlatego więc jego sposoby twórcze, jego brutalność, dosadność i zamaszystość, gorzej mogą dać się we znaki. Ale to nie jego wina wyłącznie; wszak nie można wymagać od autora, by tracił związek ze środowiskiem, ze sferą przypuszczalnych wielbicieli i wyznawców. Nie jego również jest tylko wina, to, co mu już ci i owi niezadowoleni, zaczynają zarzucać. Z początku zachwycano się, upajano — aż do „białej gorączki;“ obecnie zaczynają go podejrzewać o brak ideałów społecznych, o szerzenie zarazy zniechęcenia i bezideowości.

Podobało się w nim dawniej, np. „marksistom“ (p. między innymi Andrejewicza „Zarys filozofii literatury rosyjskiej,“ rzecz doktrynerską, niemalej jednak wartości) jego „mądra myśl, pełna przerażenia wobec życia“ — idea tragicznego zetknięcia się „ja“ ludzkiego z żywiołem i z tym fałszem, który wniósł w życie jego człowiek; przebaczano mu nawet to, że wynikiem jego poglądu na świat są słowa: „biada, biada...“ biada człowiekowi na ziemi,

przekłętę są jego sny i wierzenia, zgniłym wewnątrz od początku owoc jego wysiłków. Przebaczano dlatego, że poza tem wszystkim, poza „mądrą myślą“ Andrejewa, widziano potępienie pewnych form życia bieżącego, znienawidzonego życia warunkowego kłamstwa, niekoniecznej niewoli, określonej nędzy bytu immanentnego. Gdzie jest potępienie, tam można upatrywać zachętę do walki z tem, co jest okrutnie bezmyślne, marne, uświęcone przez moralność tradycyjną i t. p.

Nietylko zachętę do walki, lecz i uznanie jej „orgiazmu“ (ukochane słowo) wszelkich szalów i rozpędów, mających na względzie rozkucie z kajdan wolnego ducha. Powiadano: lepiej iść *w ciemną dal* (nowela o takim tytule), niż pozostawać w państwie obłudy i obmierzłej powszedniości. I ta perspektywa „ciemnej dali“ — bardzo pociągała i rozgrzeszała autora za jego pesymizm beznadziejny. Ale, gdy się przeszło przez ową dal i nieco wyszło z niej, spotkano się znowu oko w oko z fałszem i nędzą doczesności — i już niejedyn, zbity z tropu, nie wiedział, co tu począć, jakich sposobów walki się chwycić. I wówczas niejedyn krzyknął z całej piersi, pod wpływem przerażenia, niejedyn zakonkludował, jak ów terrorysta z noweli ostatniej Andrejewa „Mrok,“ który mówi do jawnogrzesznicy: „Pij za naszą brać. Za łotrów, za szubrawców, za tchórzów, za rozgniecionych przez życie... za wszystkich ślepych od urodzenia. Ci co widzą, niech odbiorą sobie wzrok... Jeśli nasze latarki nie mogą rozwidnić całego mroku, pogasmy ogień i leżmy wszyscy w ciemność. Wypijmy za to, żeby wszystkie one pogasły. Pij, ciemnoto!...“

A gdy wezwania tego rodzaju rozlegały się z rozmaitych kątów, wówczas ci, co chociaż wyczuwali urok „ciemnej dali,“ latarek jednak swoich nie pragnęli gasić, zaczęli pesymizmem Andrejewa wzruszać się żywiej, zaczęli niebawem dowodzić, że życie całe i wszelkie ludzkie porywy ściąga on do absurdu, że w bycie widzi pustkę przerażającą — że i bohaterowie jego także świecą pustką bezdenną. Tak nie jest! Bohaterowie Andrejewa, jakeśmy widzieli, noszą w duszach swoich najbardziej syntetyczną treść życia, świadomość ich wznosi się na najwyższe stanowiska, umysł nie zna spoczynku od zagadnień dręczących bytu, przeżywa sprawy wieczne, uniwersalnością oddycha — wieczności pożąda.

W tej rzekomej „pustce“ pełno życia, przepływają przez nią prądy żywotne, nurtują idee nieśmiertelne. Tylko to wszystko właśnie — wylewa się w końcu, w środowisku rosyjskiem, w pustkę i przechodzi w sen i martwą ciszę. Ale to już nietylko wina Andrejewa!...

STATYSTYKA A ETYKA.

Etyka a statystyka! Nagłówek ten, przyznajemy, czyni wrażenie, jakgdyby chciano po raz jeszcze jeden przeprowadzać dość modną obecnie paralełę pomiędzy dwiema odrębnymi dziedzinami badań. Rozpowszechniony dziś kierunek, podnoszący statystykę do stanowiska samodzielnej nauki, mógłby łatwo skłonić do podobnego roztrząsania. Nie o to nam jednak chodzi. Dalecy od uznawania statystyki za naukę, nie mamy zamiaru porównywać jej pod jakimkolwiek względem z etyką. Przyznając wszakże ważność i płodność metody statystycznej, pragniemy rozpatrzyć zagadnienie jej zastosowalności w etyce. Chodzi nam więc, innymi słowy, o krytykę samego założenia tak zwanej statystyki moralności.

Krytykę tę pozostawiano dotychczas na uboczu. Nieliczne prace, poświęcone statystyce moralności, wychodziły z założenia, iż fakty moralne, jako zjawiska społeczne, dają się narówni z innymi liczyć i że przeto, zarówno jak inne, podlegać mają badaniom statystycznym. Zasadnicza w tej dziedzinie praca Quételet'a ¹⁾ przytacza rozmaite dane, dotyczące statystyki ślubów, przestępstw kryminalnych i samobójstw, nie wątpiąc ani na chwilę, że liczby te są w stanie dać obraz moralności społecznej pewnej części ludzkości w pewnym okresie. Założenia swojej statystyki nie poddaje Quételet krytyce poznawczej, pozwala sobie jednak z danych liczbowych, jakie otrzymał, wyciągać wnioski, np. taki, że sądząc z wielkiej ilości oskarżeń sądowych należy stwierdzić w człowieku skłonność do przestępstwa (*penchant au crime*).

¹⁾ „Sur la statistique morale et les principes, qui doivent en former la base,” umieszczone w „Mémoires de l'Académie R. de Belgique,” t. XXI.

W innych pracach zainteresowanie filozoficzne statystyką moralności sięga conajwyżej do rozpatrywania stosunku między jakoby stwierdzoną prawidłowością postępowania a wolną wolą jednostki. Poświęcone zagadnieniu tego stosunku rozprawy Wagnera ¹⁾ i Drobisch'a ²⁾ nie poruszają zgoła pytania o uprawnieniu statystyki moralności.

Rzucając pytanie zasadnicze: czy statystyka moralności jest uprawnioną, będziemy wymagali od niej wylegitymowania się z pochodzenia i zdatności w zastosowaniu do zjawisk moralnych; następnie zaś zobaczymy, czy jej wyniki przydać się mogą w rozwiązywaniu zagadnień etyki filozoficznej.

I.

Cechą charakterystyczną każdej nauki jest dążenie do pojęciowej ścisłości. Dopóki pewna dziedzina wiedzy ludzkiej przedstawia rozmaite z doświadczenia zaczerpnięte wiadomości o świecie, nie ujęte w ściśle rozumowe pojęcia i stosunki, dopóty niema jeszcze mowy o nauce. Z chwilą jednak, kiedy zakres pewnej wiedzy poczyną wywoływać zajęcia teoretyczne, budzi się jednocześnie dążenie do ujęcia posiadanych wiadomości w pewien system, to znaczy w szereg dokładnie określonych i wzajemnie ustosunkowanych pojęć, z których jedno, t. zw. niższe, czyli obejmujące mniejszą ilość doświadczenia, są podporządkowane innym, t. zw. wyższym, czyli obejmującym większą ilość doświadczenia. Zadaniem więc pierwszym nauki jest uporządkowanie (podporządkowanie i nadporządkowanie) odpowiadających jej przedmiotowi pojęć.

Każde jednak pojęcie naukowe przedstawia mniejsze lub większe oderwanie od rzeczywistego doświadczenia: im pojęcie jest wyższe, tem mniej odpowiada rzeczywistości. Wyraża się ten stosunek w zasadniczem prawie logicznem: treść pojęcia znajduje się w odwrotnym stosunku do jego zakresu. Od pierwotnego doświadczenia, któremu odpowiada szczegółowe pojęcie, kroczy umysł ludzki do coraz bardziej ogólnych, oderwanych pojęć, zawierają-

¹⁾ Adolph Wagner: „Statistisch-anthropologische Untersuchung der Gesetzmässigkeit der scheinbar willkürlichen menschlichen Handlungen vom Standpunkte der Statistik.“ Hamburg, 1864.

²⁾ Moritz Wilhelm Drobisch: „Die moralische Statistik und die menschliche Willensfreiheit.“ Lipsk, 1867.

cych jakgdyby skrót, oszczędny znak, algebraiczny symbol wielkiej ilości doświadczenia. Ten naturalny tok myśli ludzkiej, zastosowany świadomie w nauce, nazywa się metodą indukcyjną.

Nie zawsze jednak daje się zakres pewnego doświadczenia ująć w ścisłe formy pojęciowe. Przedmioty, należące do tego zakresu, są zbyt rozbieżne, dają się ująć tylko indywidualnie, to znaczy każdy z nich żąda dla siebie swoistego określenia, które na pierwszy rzut oka nie stoi w żadnym stosunku do innego, nie daje mu się ani podporządkować, ani nadporządkować, ani też z nim razem skoordynować, w celu wytworzenia wyższego pojęcia. A wszakże mogą te przedmioty należeć do jednego zakresu doświadczalnego, mogą być poznawane w jednej i tej samej dziedzinie życia.

Jest to pierwszy znak narodzin nowej nauki, albo nowej jakiejś dziedziny pewnej już istniejącej nauki, albo wreszcie zasadniczej jej reformy, kiedy takie doświadczenia, nie mogąc być ujęte w ścisłe stosunki, manifestują jednak swoje istnienie i swój wzajemny związek. W takim stanie wytwarza się sposób, nie będący jeszcze indukcyą, ale do niej zdążający. Stosunki pomiędzy nowymi doświadczeniami zostają wyrażane nie pojęciowo, lecz liczbowo. W ten sposób zapewnia im się ścisłość, coprawda nie logiczną, ale zato arytmetyczną. Ten, możnaby powiedzieć, wybieg metodyczny zowie się powszechnie statystyką, t. j. opisem stanu czyli faktów w sposób, w jaki są doświadczalnie odnajdywane. Najbliższym zatem *celem* statystyki jest ujęty w stosunki liczbowe opis pewnej grupy doświadczeń, które zdają się być pokrewne, lecz których pokrewieństwo pojęciowe nie daje się na razie wykryć.

Potrzebę statystyki wywołuje zawsze tego rodzaju „zdawanie się“ albo „podejrzenie.“ „Podejrzenie“ to jednak może sięgać jeszcze dalej, mianowicie do przypuszczania wprost już pewnego rodzaju pokrewieństwa, np. przyczynowego. Ale nie daje się stwierdzić, które z danych doświadczeń powoduje inne, ani czy wszystkie są w zależności od innej, jeszcze nieznannej przyczyny. W każdym razie faktem jest niezaprzeczonem, że przypuszczenie stosunku przyczynowego bywa częstokroć głównym, jeżeli nie jedynym, powodem przeprowadzania statystyki. Dowodzi tego, że w dziedzinach, w których prawa przyczynowe są dokładnie stwierdzone, potrzeba statystyki nie daje się odczuwać, a wszelka próba wydałaby się bezcelową i komiczną. Wykrycie związku przyczynowego pomiędzy faktami, bądź w formie praw stałych, bądź też mniej lub więcej sprawdzonych hipotez, usuwa potrzebę żmudnej, a nie zawsze do celu doprowadzającej statystyki.

Nie należy przypuszczać, że statystyka bezpośrednio przyczynia się do wykrycia praw. Te bowiem rodzą się z jednej strony z naturalnej potrzeby ujmowania większych zakresów wiadomości w skrócone formuły, z drugiej strony z naturalnego również kojarzenia pojęć, łączącego dwa jednocześnie zachodzące fakty w ścisły i stały związek. Dlatego też dla indukcji ilość poczynionych doświadczeń jest właściwie obojętna. Zakres bowiem przedmiotów, podpadających pod jakiegokolwiek mniej lub więcej oderwane pojęcie, nie da się nigdy wyczerpać całkowicie. *Indukcja nigdy nie bywa zupełną* faktycznie, i prawo, pochodzące z indukcji, rozciąga się całkowicie na *wszystkie* pojęciowo określone zjawiska nie na skutek poczynionych nad nimi wszystkimi doświadczeń, lecz na skutek licznego sprawdzenia się raz dokonanej, możnaby rzec, twórczej myśli, łączącej dwa odrębne z początku zjawiska. W świadomości bowiem wiążą się fakty zaszłe w jednym czasie lub w jednej części przestrzeni, i łączenie faktów, w ten sposób skojarzonych, ma zastosowanie bezgraniczne. Ale tylko takie powiązanie zwraca na siebie uwagę teoretyczną, które możliwie często się powtarza i przez to każe się uważać nie za przypadkowe, lecz stałe.

Ilość zatem zebranych doświadczeń, będąca dla statystyki koniecznym warunkiem jej wiarygodności, nie służy do ułatwienia jej wyników, a tem mniej do wykrywania praw warunkujących. Celem zbierania przez statystykę jaknajwiększej ilości faktów jest raczej co innego. Zrzeka się ona dobrowolnie wykrycia praw, któreby dawały liczby wciąż jednakowe, zrzeka się uogólniania swoich pojedynczych wyników na fakty dotąd niepoznane, któreby dawały liczby ciągle inne, i wyteża całą swą dążność do uzyskania liczby przeciętnej. Ta liczba przeciętna wyraża w skrócony sposób stan zjawisk poznanych i pozwala przypuszczać, że od niej niedaleko odbiegają zjawiska równoległe, do statystyki nie wciągnięte. Oczywiście przypuszczenie to może być mylne, o ile np. zjawiska nie uwzględnione, a zbyt odbiegające od liczby przeciętnej, znajdują się w wielkiej ilości (stąd płynie ważność, jaką posiadają dla statystyki zjawiska krańcowe). Powoduje to w następstwie albo przesunięcie liczby przeciętnej w jedną lub drugą stronę, albo nawet wyrzeczenie się jakiegokolwiek wygranej w ogólności i ograniczenie jej do mniejszego zakresu.

Konieczność poczynienia zmian w statystyce znamionuje zawsze jej błąd, polegający albo na małej ilości poczynionych doświadczeń czy spostrzeżeń, albo na fałszywym uogólnieniu. Skutkiem jednak takich błędów, a co zatem idzie, konieczności ogra-

niczeń i podziałów, zjawia się potrzeba statystyk równoległych, których porównanie prowadzi do ważnych wyników. Jak wszędzie bowiem, tak i w statystyce błędy mają tę wartość, że zwracając na siebie uwagę, pobudzają myśl krytyczną, sięgającą do źródeł błędów, a zatem i do przyczyn faktów. Dzięki statystykom równoległym uzyskuje się pogląd na możliwość lub niemożliwość sprowadzania faktów do jednakowych przyczyn. I na tem głównie polega wartość statystyki. Sama przez się statystyka nie daje nic więcej i nic więcej dać nie może, niż opis faktów przy pomocy arytmetycznych przeciętnych. Dopiero logiczne opracowanie wyników statystyki prowadzi do indukcyjnie wytworzonych praw przyczynowych. Przytem, jak powyżej, prawa te mogą być uzyskane zarówno z małej, jak i z wielkiej ilości poczynionych doświadczeń czy spostrzeżeń, zależnie od tego, gdzie myśl wpadnie na szczęśliwe powiązanie.

Z uświadomienia sobie tej ważnej roli statystyki wypływa często niebezpieczeństwo popełniania innych, prócz wyżej wymienionego, błędów—w pierwszym rzędzie błąd wciągania już do samej statystyki z góry powziętych celów, a co zatem idzie, spaczenie jej bezstronności. Statystyk, chcąc otrzymać prawdziwe, to znaczy jaknajbardziej odpowiadające rzeczywistości, dane, powinien przystępować do swej pracy bez wszelkich uprzedzeń. Jakakolwiek celowość w statystyce, prócz chęci wejrzenia w istotne stosunki, niszczy z góry wszystkie wyniki. Celowa (w ścisłym znaczeniu) statystyka nie wykazuje nic, prócz kąta widzenia autora. Dowodzenie „na cyfrach“ ma wartość tylko wówczas, kiedy się opiera na już stwierdzonych prawach, wynikłych z liczbowych porównań. Natomiast szukanie cyfr dla potwierdzenia z góry powziętych przypuszczeń prowadzi do subiektywnie zabarwionych nadużyć, polegających na dobieraniu swoistych doświadczeń, przy pomijaniu innych.

II.

Będąc sama nie tylko nie nauką, a nawet nie metodą (w ścisłym znaczeniu), lecz wyłącznie jednym ze środków pomocniczych metody indukcyjnej ¹⁾, statystyka przedstawia wartość przede-

¹⁾ Innemi są np. postrzeganie, doświadczenie, liczenie wogóle, porównanie i t. d.

wszystkiem dla tych nauk, których celem jest opisowe poznanie, a następnie—pośrednio i już w mniejszej mierze—dla tych, które stawiają sobie za cel przyczynowe objaśnienie.

W dążeniu etyki do przetworzenia się w naukę pozytywną, to znaczy wychodzącą z bezpośrednich doświadczeń, zaznaczyły się dwie drogi metodyczne: jedna, ograniczająca zadania etyki do szczegółowego opisu danych, druga—do psychologicznego albo antropo-socyologicznego objaśnienia zjawisk w dziedzinie moralności. Zdawałoby się, że statystyka w obu tych kierunkach przedstawiać może doskonały środek poznawczy. Tak jednakże nie jest.

Już Arystoteles¹⁾ pierwszy zwrócił uwagę na to, iż etyka, mając do czynienia z wartościowaniem, zwraca je nie na skutki, płynące z woli, to znaczy nie na wykonywane czyny, lecz na „stany“ (ἕξις), w jakich się wola znajduje, albo, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli: *motywy*. Jakkolwiek etyka Arystotelesa była w zasadzie eudemonistyczną, t. j. uwarunkowaną przez ideę szczęśliwości osobistej i powszechnej, to jednak przez wprowadzenie oceny motywów, jako moralnie decydującej, nie była konsekwentnie utylitarystyczną. Dlatego też późniejsze kierunki eudemonistyczne w etyce zarzuciły ocenę motywów, zwracając się z oceną moralną tylko na skutki postępowania. Jednakże wartościowanie moralne jako takie nie może się kierować podobną zasadą. Dla moralności albo niemoralności danego czynu jest właściwie obojętne, co z niego wypływa. Ten sam czyn może stać na dwóch przeciwległych krańcach moralności: może być moralnie wzniosłym albo nikietycznym, zależnie od tego, co go w duszy wykonawcy wywołało.

Rozróżnienie tych dwóch rodzajów oceny postępowania moralnego, datujące się w historii filozofii praktycznej od Arystotelesa i stoików, zostało gruntownie przeprowadzone przez Kanta²⁾, którego zdaniem skutki czynów decydują tylko o ich *legalności*, natomiast o ich *moralności* rozstrzygają warunkujące je motywy.

Stąd płyną konflikty pomiędzy prawem a etyką. Prawo w dążeniu (idealnem, nie realnem) do powszechnej szczęśliwości uzależnia swoje sądy nie od zamierzonych przez postępowanie celów, lecz od płynących zeń skutków, od jego większej lub mniejszej szkodliwości dla ogółu; etyka bez względu na to, co dane postępowanie za sobą prowadzi, ocenia zamiary wykonawcy.

1) „Ethica Nic.“ wyd. Akad. berl., str. 1106a.

2) „Kritik der praktischen Vernunft,“ wyd. Kehrbacha, str. 87 i n., 142, 181 i in.

Chcąc otrzymać opis faktów moralnych przy pomocy statystyki, należałoby przede wszystkim zliczać poszczególne osobiste zamiary postępowania; następnie liczby w ten sposób otrzymane porównywać i w końcu wyciągnąć środek arytmetyczny: przeciętne postępowanie moralne. Niewątpliwie takie przeciętne, albo jeżeli kto woli, „normalne“ postępowanie moralne, zdobyte przy pomocy statystyki i wyrażone liczbowo, dałoby doskonały opis moralnej rzeczywistości. Ale jestże to możliwe?

Pojedyncze czyny jednostki są zależne od ogólnego podkładu duchowego i swoistych chwilowych wpływów. Dwa te pierwiastki wchodzą w tak rozmaite stosunki, iż każdy osobny czyn ze względu na swoją wartość moralną musi być rozpatrywany i oceniany oddzielnie. Ma on swoją osobniczą (indywidualną) wartość moralną (taką albo inną, dodatnią albo ujemną), która może w stosunku do innych czynów być bliższą albo dalszą, ale nigdy nie jest taką samą, nigdy nie równa się innej. Względem motywów postępowania, jak wogóle względem całego życia duchowego, nie dadzą się w żaden sposób zastosować stosunki liczbowe. Jak nie można stwierdzić, o ile albo ile razy jedno uczucie jest większe czy mniejsze od drugiego, tak też w żaden sposób nie uda się dojść do równań, dotyczących motywów moralnych, nie uda się np. orzec czy postępowanie *A* jest półtora raza moralniejsze, niż postępowanie *B*, czy też jest mu moralnie równe. Jeżeli jednak w osobniku, przedstawiającym różnorodność i różnolitość motywów, z których bądź jedno, bądź inne przejawiają się decydująco w czynach, nie dadzą się wykryć dwa równowartościowe zamiary (albo conajmniej stwierdzić jako takie), jeżeli zatem sumowanie oddzielnych wartości w osobniku nie da się w żaden sposób przeprowadzić, to tembardziej jest wyłączona możliwość porównania liczbowego motywów w różnych osobnikach. Wyrażenia takie, jak „osobnik *X* jest dwa (albo, dajmy na to, „sto“) razy więcej wart, niż osobnik *Y*,“ nie mają żadnej ścisłej podstawy i służą tylko do wyrażenia subiektywnie odczuwanej różnicy.

Wszelka zatem „statystyka moralności“ nie opiera się na liczbach czynów istotnie niemoralnych — tem mniej zaś moralnych — lecz na liczbach przestępstw prawnych, albo conajwyżej obyczajowych. Wiadomo jednak, że przestępstwa prawne lub obyczajowe nie tylko nie muszą iść w parze z przestępstwami moralnymi, lecz częstokroć są z niemi w rażącej sprzeczności.

Dlatego też wyciąganie z liczbowych wyrazów przestępstw prawnych wniosków o stanie moralności w danym społeczeństwie (kraju, narodzie, państwie) jest nie tylko zgoła bezcelowe, ale z gó-

ry fałszywe i nieuprawnione. Ponieważ zaś z drugiej strony przestępstwa przeciw moralności są ze względu na ich źródła najróżnorodniejszej jakości, więc sumowanie ich stanowiłoby zasadniczy błąd arytmetyczny i dawałoby o rzeczywistym stanie moralności jaknajopaczniejsze pojęcie.

Przypuściwszy jednak słuszność utożsamiania przestępstw prawnych z moralnymi, albo jakąś inną możliwość otrzymania liczb, dotyczących przestępstw moralnych, przypuściwszy to nawet, nie mielibyśmy prawa wyciągać z tych liczb wniosków o stanie moralności. Liczby te bowiem wyrażałyby właściwie nie fakty moralne, lecz niemoralne. Moralność zaś w danym społeczeństwie nie może się wyrażać tylko liczbą popełnionych uchybień przeciw niej, gdyż polega ona w równej, jeżeli nie większej, mierze na liczbie popełnionych czynów moralnie dodatnich. Liczba przestępstw moralnych mogłaby *negatywnie* określać stan moralności, gdyby suma moralności w danym społeczeństwie była stałą, tak że ze wzrastaniem ilości czynów moralnych musiałaby zmniejszać się ilość czynów niemoralnych i odwrotnie. Tak jednakże nie jest. Jednocześnie z najdzikszymi wybrykami przeciw moralności zdarzać się mogą najwyższe przejawy moralności i to nie tylko w obrębie jednego społeczeństwa, lecz nawet u jednego osobnika. Ten sam człowiek, obok najskrajniejszych, najwyuzdańszych zbrodni wykonywać może czyny najszlachetniejsze. Niekoniecznie zaś przewaga liczbowa jednych nad drugimi wyrażałaby kwalifikację moralną osobnika. Któż zresztą potrafiłby policzyć czyny moralnie-dodatnie?

Jeżeli statystyka, pomijając jej zasadniczy brak podstaw w tej dziedzinie, nie może dać opisu stanu moralności osobnika albo społeczeństwa, to czy jest ona w stanie dać sposób do wykrycia praw, kierujących powstaniem i rozwojem moralności? Innymi słowy, czy mogłaby statystyka prowadzić do przyczynowego objaśnienia zjawisk w dziedzinie moralności?

Widzieliśmy powyżej, że wykrywanie praw nie należy do istotnych celów statystyki, lecz że się dokonywa po za nią przez logiczne opracowanie, albo przypadkowe skojarzenie jej równoległych wyników. Dzięki statystykom równoległym, wykazującym zjawiska w ich różnorodnej postaci, zjawia się potrzeba sprowadzenia owej różnorodności faktów do różnorodności przyczyn. Ponieważ jednak różnorodność faktów w dziedzinie moralności nie daje się sprowadzić do jednego mianownika, więc i przyczynowe objaśnienie idzie w najrozmaitszych kierunkach, zastosowując w dziedzinie moralności prawa, wykryte przez psychologię, biolo-

gię, antropologię, socyologię. Prawa te wzajemnie się krzyżują i stoją w różnych osobnikach i społeczeństwach w różnych do siebie stosunkach, których statystyka nie jest i nie może być w stanie wykryć. Jest bowiem nie do pomyślenia, w jaki sposób można by oznaczyć ilości różnych warunków, jakie złożyły się na dane zjawisko moralne (dodatnio albo ujemnie). Etyka wyjaśniająca może dążyć tylko do wykazania warunków ogólnych, ale nie do ścisłego określenia ich stosunków. Można wymagać przy wyjaśnieniu pewnego faktu moralnego wykazania przyczyn, z jakich on wypłynął, można nawet stwierdzić, że niektóre z nich, np. płynące z wychowania, silniej współdziałały, niż inne, np. płynące z odziedziczenia. Ale nikt nie zdoła wykazać np., że pierwsze były dwa (albo „sto“) razy silniejsze od drugich.

Widzimy więc, że statystyka jest niemożliwa zarówno dla opisu, jak dla wyjaśnienia zjawisk w dziedzinie moralności.

III.

Etyka nie idzie jednak w tych dwóch tylko kierunkach. Właściwym nawet jej zadaniem jest nie opis i nie wyjaśnienie zjawisk moralnych, lecz *postawienie nakazów, obowiązujących do tych form postępowania, z którymi logicznie połączone jest pojęcie moralności*. W tem więc dążeniu jest etyka nauką normatywną i formalną. Formalną o tyle, że nie określa tego, *co należy* w każdym pojedynczym przypadku czynić, lecz *jak należy* postępować, chcąc być w zgodzie z inoralnymi zadaniami człowieka i ludzkości. Określenie treści postępowania konkretnego nie należy do zadań etyki, lecz do praktycznej mądrości życiowej, przepisującej w najróżnorodniejszych stosunkach pomiędzy ludźmi najróżnorodniejsze co do treści działanie.

Różnice, jakie wystąpiły w różnych systematach moralnych, mają głównie swoje źródło w dążeniu do zapełnienia tych samych przez się pustych form, jakie etyka wykazać jest w stanie, przez pewną treść rzeczową. Między innymi przejawiał się także kierunek myśli, pragnący z faktycznych stosunków, jakie w danem społeczeństwie i czasie istnieją, wywnioskować sprawdziany moralne, etycznie obowiązujące.¹⁾ Innemi słowy, chciano z tego, co jest,

¹⁾ Arystoteles np. powiada dosłownie: „albowiem to, co wszyscy uważają za dobro, jest niem w istocie.“ *Ethica Nic.* X, 14.

wyciągnąć prawidła tego, co być powinno. Pomijając na razie, iż to, co istnieje, nie zawsze musi być miarodajne dla tego, co być powinno, pomijając tę *zachowawczość ideałów moralnych*, wątpliwem jest, czy udałoby się w zakresie moralności stwierdzić dokładnie to, co wszyscy uważają za dobro.

Ponieważ moralność, będąc skierowana nie *na czyny same*, lecz na wywołujące je motywy, określić się daje (w stosunku do treści postępowania) tylko subiektywnie i indywidualnie, musiano więc wyrzec się od razu nadziei stwierdzenia tych moralnych czynników, jakie byłyby miarodajne dla *wszystkich* ludzi. Różnorodność tych czynników, już nietylko u różnych ras, narodów, a także w różnych epokach życia historycznego, lecz w obrębie jednego historycznie i geograficznie ograniczonego społeczeństwa, a nawet w osobnej jego klasie, nie dozwala spodziewać się możności odnalezienia przedmiotu, zarówno pożądanego przez wszystkich. Nawet Arystoteles nie mógł przecież nie zauważyć, iż jedna — większa czy mniejsza — ilość osobników wyraża pod pewnemi względami poglądy moralne daleko odbiegające od moralności konwencyonalnej.

Dlatego też zawsze, gdy podawano przy określeniu treści postępowania moralnego formułę: „to, co *wszyscy* czynią,“ miano właściwie na myśli: „to, co czyni *większość*.“ W tem więc miejscu mogłaby statystyka oddać etyce niezmierzone usługi—gdyby, po pierwsze, była wogóle możliwa, i gdyby, po drugie, formuła ta miała jakąkolwiek istotną wartość.

Widzieliśmy już jednak, że sumowanie motywów moralnych nieda się przeprowadzić i że przeto nieuda się stwierdzić, co większość uważa za dobro, a co za zło. Ale przypuśćmy, że to jest możliwe. Policzyliśmy, dajmy na to, wszystkie sumienia i rozsegregowaliśmy wszystkie tkwiące w nich motywy; doszliśmy do liczb następujących:

90%	osobników uważa czyn <i>A</i> za dobry;
50%	„ „ „ <i>B</i> „ „
10%	„ „ „ <i>C</i> „ „

Czy moglibyśmy stąd wnioskować, że czyn *A* jest dobry (moralnie-dodatni) zawsze, czyn *B* tylko w połowie wypadków (moralnie-niepewny, moralnie-„krytyczny“), czyn zaś *C* zawsze zły (moralnie-ujemny)? Czy *ilość* ludzi, wykonywających pewien czyn (pewną czynność), decydować może o jego (jej) moralnej wartości? Czy tu nie powinniśmy raczej rozstrzygać *jakość* tych ludzi? Istotnie, czyn *C*, powszechnie zarzucony, wzgardzany i rzadko przez

nieliczne jednostki wykonywany, może przedstawiać wysoką wartość moralną, podczas gdy czyn A, wykonywany z prawidłowością obyczajowo-konwencyjonalną, może być nie tylko moralnie indyferentnym (amoralnym), ale zgoła moralnie-ujemnym (niemoralnym). Liczbowo wyrażona faktyczność pewnych czynów nie dawałaby zatem żadnej rękojmi ich moralnej wartości. I jak w dziedzinie politycznej żadna mniejszość nie będzie swej krzywdy uważała za słuszną dlatego, że większość tej krzywdy pożąda, tak też w dziedzinie moralności osobniki etycznie wybitne nie zgodzą się nigdy na podporządkowanie swych świętych obowiązków moralnych jarzmu zdawkowej obyczajowości. Można ich do tego jarzma (prawnie albo bezprawnie) zmusić, moralnie jednak oni zawsze będą zwycięzcami.

D-R. A. ZIELEŃCZYK.

Ruch literacki we Francyi.

(P O E Z Y A).

Chwila dzisiejsza należy niezaprzeczenie do epok bardzo dla rozwoju poezyi niekorzystnych. Gorączkowa działalność w kierunku wyłącznie utylitarnym, absorbująca wskutek nieodzownych wymagań istnienia, coraz więcej utrudnionego, nawet natury najmniej prozaiczne, nie pozostawia współczesnemu człowiekowi, przeciążonemu codziennymi troskami uciążliwej walki o byt, czasu ani ochoty do puszczenia wodzy marzeniu, które budzi lub budzić powinien wszelki, godny tej nazwy, utwór poetycki. Interes materialny i bezpośredni usuwa na drugi plan potrzebę ideału, zmysł estetyczny tępieje, a nerwy, nadwreżone już znacznie w czynnościach powszednich, znoszą z trudnością wrażenia natury więcej oderwanej, albo działania ich wprost nie przyjmują.

We Francyi przytem, jak mniej więcej i w innych krajach Europy, mała popularność poezyi czasów obecnych tłómaczy się także i tem, że uczuciowość mas znacznie się wyczerpała w okresie romantyzmu, tak nadzwyczajnie obfitującym w geniusze poetyckie, których postacie olbrzymie i świetlane olśniewają po dzień dzień z taką siłą, iż wobec ich potężnego blasku drobne i drzące światełka poetów dzisiejszych nikną, jak błędne ogniki. Zbyt abstrakcyjne w następstwie stanowisko parnasistów, wyłączność i wyniosła pogarda tłumu, wyrażona w zasadzie „sztuka dla sztuki“ symbolistów i dekadentów, ich zagadkowość i dziwactwa odstręczyły do reszty i zubożyły dla poezyi tak jej dawniej chciwy ogół. Wkrótce też poezya stała się udziałem garstki wtajemniczonych: poeci, zerwawszy z otaczającym ich życiem i przyodziewszy się w szaty magów, zaczęli śpiewać sami dla siebie i sobie tylko zrozumiałe pieśni, skutkiem czego publiczność nie-

bawem zupełnie o nich zapomniiała, nastąpił fenomen szczególny i wyjątkowy—rozdział pomiędzy narodem i poezją, fenomen, który, pomimo usiłowań przedstawicieli najnowszych kierunków nawiązania zerwanego węzła, trwa dotąd. A jednak bez względu na te warunki niekorzystne, nie było dotychczas w historii literatury francuskiej okresu, któryby wydał tak liczną rzeszę poetów, jeżeli nie genialnych, to zawsze obdarzonych przeważnie talentem prawdziwym:—nie było epoki, w której rozlegałoby się tyle hasła, w której ujawniłoby się jednocześnie tyle dążności pozornie sprzecznych i wzajemnie się zwalczających, jak to dzieje się w dobie obecnej.

O prądach, panujących w poezyi francuskiej od czasu ustąpienia z widowni parnasistów, mówiliśmy już poprzednio na tem miejscu; ¹⁾ teraz, przy zapoznawaniu się z poetami, którzy te prądy wytworzyli lub biorą w nich udział, przypomnimy jeszcze ich znaczenie. Pomimo nazw rozmaitych, a nawet antagonizmów, zaznaczonych dość ostentacyjnie w niektórych programach, różnice, dzielące poszczególne kierunki, zwłaszcza najnowsze, są bardzo drobne, często niedostrzegalne, tak, iż w większej części niema ścisłej podstawy do zaliczenia pewnego poety do tej lub innej grupy. Właściwie różnić dają się tu dwa przeciwne sobie obozy: z jednej strony symboliści ze swą odrębną estetyką i reformą prozody, silni wybitnemi i ustalonej sławy talentami, które je uświęciły — z drugiej wszystkie powstałe ostatnio kierunki, zrywające z zasadami tamtych, by się zbliżyć do życia współczesnego, którego pragną stać się wyrazem idealnym—oraz dążące mniej lub więcej do powrotu do form metryki tradycyjnej.

Symbolizm, przynajmniej w postaci, w jakiej dał się poznać w fazie swego najwyższego rozwoju, za pośrednictwem swych najwybitniejszych i najwięcej typowych przedstawicieli, jest obecnie na schyłku swego istnienia. Nie umarł on wprawdzie, jak chcą jego przeciwnicy, którzy za życia jeszcze odśpiewali mu „Requiem“ w swych programach i manifestach, ale ulega przetworzeniu, które nieminiej odmienić go może nie do poznania.

Niektórzy przywódcy symbolizmu, i to pierwszorzędni, odstąpili go wprost, jak np. *Jan Moréas*, który założył nową szkołę poetycką (*Ecole Romane*). *Henryk de Régnier*, najświetniejsza gwiazda symbolistycznego firmamentu, jeżeli nie przestał dotąd

¹⁾ Ruch literacki we Francyi, „Biblioteka Warszawska“ zeszyt styczniowy r. b.

zupełnie mu przyświecać, to w każdym razie, przynajmniej pod względem formy, zwraca się coraz bardziej do klasycyzmu.

Z pośród właściwości symbolizmu, tą, która najwięcej wzbudziła polemik i ściągnęła nań najcięższe zarzuty, jest jego reforma prozody.

Sztuka wierszowania w języku francuskim, jako akcentowanym jednostajnie, polega na równej i zawsze parzystej liczbie zgłosek, powtarzających się wierszów i wywołanym w ten sposób rytmem, oraz na rymie, który ten rytm uwydatnia. Od czasu Boileau (*L'art Poétique*) przyjął się we Francyi t. zw. „Aleksandryn“ (*Alexandrin*), czyli wiersz dwunasto-zgłoskowy z przystankiem (cezura) po środku, o rymach naprzemian męskich i żeńskich. Aleksandrynem posługiwali się wyłącznie wszyscy wielcy poeci epoki klasycznej, później romantycy, którzy wszakże pozwalali sobie drobnych odstępstw, głównie w nieprawidłowym umieszczeniu cezury. Też prozody (z odstępstwami romantyków) trzymali się bezwzględnie parnasiści. Dopiero dekadentom i symbolistom ta uświęcona forma wydała się zbyt ciasną, krepującą natchnienie poety, wreszcie śmiesznem żonglerstwem, odrzucili ją więc bez ceremonii.

Już przedtem *Paweł Verlaine*, stojący na przejściu od parnasu do symbolizmu, naruszył częściowo przepisy tradycyjne, posługując się np. w pewnych utworach swoim wierszem nieparzystym, ale takie nieprawidłowości stanowią u niego wyjątek, nie zasadę. Wśród samych symbolistów *Artur Rimbaud* i *Juliusz Lafargue* posługiwali się też wolnym wierszem jeszcze przed ogłoszeniem reformy, ale prawdziwym, świadomym siebie reformatorem i twórcą t. zw. „Verslibryzmu“ jest *Gustaw Kahn*. Według niego wszelkie z góry określone przepisy, do których poeta niewolniczo stosować się musi, nie pozwalają mu rozwinąć swobodnie myśli i uczucia, podporządkowując je stałej i niezmiennej formie, zadaniem tedy reformy prozody symbolizmu jest uwolnić poetę od tych arbitralnych więzów obowiązkowego naśladownictwa i dać mu możliwość przybrania treści oryginalnej w równie oryginalną, odpowiadającą rodzajowi jego natchnienia, szatę własną. Tak więc reforma ta metryki tradycyjnej właściwie nie odrzuca, lecz pozostawia poecie nieograniczoną wolność stosowania się do niej, jeśli się to zgadza z jego temperamentem i treścią, którą chce wyrazić, lub stworzenia zupełnie dowolnej, od nikogo nie zapożyczonej formy osobistej. Pomimo tej nieograniczonej wolności w wierszowaniu, którą vers-libryzm w zasadzie pozostawia, Gustaw Kahn stara się ująć go w pewne kształty wyraźniejsze, nadać mu pe-

wne reguły. W przekonaniu, ogólnie przez symbolistów podzielanem i zresztą nie bezzasadnem, że poezya, jako sztuka, zbliża się najwięcej do muzyki, działać bowiem powinna, podobnie jak muzyka, przede wszystkim na uczucie, reformator ów kładzie główny nacisk na rytm wiersza i dla tego dotychczasową metrykę, opartą na liczbie zgłosek, zastępuje toniczną, rym zaś, który zupełnie odrzuca—assonansem, t. j. podobieństwem dźwięków ostatnich sylab odpowiadających sobie wierszy. Po za tem nowa prozodya niczem nie krępuje swobody w szczegółach takich, jak długość wiersza, miejsce średniówki, użycie „hiatusa“ (zestawienie samogłosek w dwóch następujących po sobie wyrazach) i t. p., w których parnasiści trzymali się ściśle nieodmiennych przepisów.

W rzeczywistości prozodya ta nigdy prawdziwie się nie przyjęła, większość bowiem symbolistów oddaliła się stosunkowo nie wiele od form dawnych. Prócz Kahna, który zresztą także nie zawsze był jej bezwzględnie wiernym, reforma wiersza znalazła zwolenników przede wszystkim wśród poetów pochodzenia obcego, w których okres symbolizmu szczególnie obfitował. Pominąwszy Peruwiańczyka Della Rocca de Vergalo, który nie miał bynajmniej na poetykę symbolistów tego wpływu, jaki chcą mu przypisać niektórzy, sam Gustaw Kahn, urodzony w Metz, jest, jak wskazuje nazwisko, pochodzenia semickiego, Jan Moreas jest Grekiem, urodzonym w Atenach, Vielé-Griffin i Stuart-Merril są Amerykanie, Maeterlinck, Verhaeren, Rodenbach—Belgowie, należą do grupy poetów flamandzkich. W tem to pochodzeniu obcem promotorów symbolizmu ujrzeli też bardzo liczni jego przeciwnicy, dawniejsi i obecni, powód przyjęcia niezgodnego, jak twierdzą, z duchem języka francuskiego i jego tradycją poetycką wolnego wiersza. W rzeczy samej, prócz tej prozodyi niezależnej, wprowadzili owi poeci mnóstwo nieprawidłowości językowych, jak wyrazów niewłaściwie zastosowanych i t. p., które, wszedłszy następnie w użycie przez naśladownictwo, stały się jakoby atrybutami symbolizmu. Wszelako, jak to już poprzednio zaznaczyliśmy, reforma symbolistów nie tyczy się tylko sztuki wierszowania, ale przede wszystkim samego pojęcia poezyi, jej zadania, jej ducha, jej treści wewnętrznej i sposobu jej wyrażenia. Poeci wszelkich epok posługiwali się zawsze allegoryą, metaforą, zwrotami wyszukanemi, ale niemniej wypowiadali swą myśl, wyrażali uczucia, opisywali wrażenia, pomimo tych upiększeń i obłonek, wprost i ściśle, tak, jak się one bezpośrednio przedstawiają naszemu umysłowi i zmysłom.

U klasyków podstawą była logiczna ścisłość w wyrażeniu myśli; poezya ich polegała całkowicie na bogactwie ozdób retorycznych, miała charakter wyłącznie deklamacyjny i stała się w końcu pretensjonalną i górnolotną rymowaną prozą. Romantyzm, pomimo burzliwych wybuchów swego liryzmu, nie znalazł nowych kształtów dla swego natchnienia; parnasiści wreszcie, pod wpływem ducha pozytywizmu, starali się ścisłość myśli i formy klasyków posunąć do ostatnich granic skończoności. Poezya w tym okresie, z nadto subiektywnej, stała się obiektywną lub abstrakcyjną; z lirycznej—opisową; zbliżyła się do sztuki malarskiej w drobiazgowo-naśladowniczym charakterze ówczesnego realizmu.

Naprzekór swym poprzednikom, symboliści ujrzeli istotne zadanie poezyi w wyrażeniu tego wszystkiego, co jest niezbadane, zagadkowe, tajemnicze, czego naszym ograniczonym umysłem nie możemy pojąć, ale tylko przeczuwamy. W tym celu, zamiast nazywać rzeczy po imieniu i ukazywać świat zewnętrzny tak, jak go każdy widzieć może, szukali oni sposobu wywołania pożądanych nastrojów przez poruszenie tajnych strun uczucia, do czego im posłużyło użycie symbolów, t. j. obrazów, zdolnych za pomocą podsunięcia pewnych asocjacyj ideowych zbudzić niejasne, uśpio-
ne na dnie duszy nostalgiczne wspomnienia, przy jednoczesnem zastosowaniu harmonijnego rytmu, otrzymanego z zestawienia (orkiestracji) dźwięków użytych w wierszu wyrazów. Na tem opiera się całe „credo“ i zarazem technika symbolistów, a za główną zasługę będzie im poczytane to, iż do wysuszonej przez naturalistyczny racjonalizm i oziębionej w abstrakcji poezyi parnasistów wprowadzili, jak niegdyś romantycy, element tajemniczości, mistycyzmu i okultyzmu, i uczynili to w sposób zupełnie nowy, im tylko właściwy i przedtem nieznanym, na miejsce zaś snycerskiej skończoności myśli i formy, dali jej nieuchwytny wdzięk muzyki i nieskończoność marzenia. Te ich nabytki, bez względu na losy samego symbolizmu, nie przeminą bez śladu i znajdują odbicie w kierunkach późniejszych, w zasadzie najwięcej mu przeciwnych.

Jak wiadomo, z pośród symbolistów, jedni posunęli się do dziwactwa, symbole ich stały się niezrozumiałe, a ich wiersze przybrały charakter logogryfów; inni, ostrożniejsi lub mniej niezłomni, zaczęli z czasem dostrajać swą lirę do nowych tonów, tak iż obecnie trudno ściśle powiedzieć, kto jeszcze jest symbolistą, a kto już nim nie jest. Co do kierunków, które wytworzyły się później, to nie powstały one na gruzach symbolizmu, lecz zjawily się w chwili pełnego rozwoju tegoż, w roli współzawodników

i przeciwników, nie zaś tryumfatorów. Symbolizm nie został pokonanym, ale do pewnego stopnia sam się zużył i wyczerpał, ma on zaś tę wyższość nad nowemi prądami, iż chociaż przez krótką chwilę panował w poezyi francuskiej bezpodzielnie i odbił na niej bardzo silnie oryginalne swe piętno, gdy te, rozstrzelone na drobne grupy, powołujące się na hasła rozmaite, znaczyć będą tylko chaos bezkrólewia, dopóki nie wyłoni się nieznanym dotąd jeszcze geniusz, zdolny połączyć je w imię ideałów ogólniejszych i nadać nowożytniej poezyi charakter odrębny.

Z pośród poetów, którzy przewodniczyli symbolizmowi w stadyum jego największego rozkwitu i dotąd dają się słyszeć, wypadnie nam zaznaczyć tu wymienionych powyżej *Jana Moréas'a* i *Henryka de Régnier*, a także *Franciszka Vielé-Griffin*, *Adolfa Retté* i *Emila Verhaeren*.

Jan Moréas był pierwszym, który świadomie i otwarcie wyrzekł się swych poprzednich ideałów. Twórca pięknych poezyj— „*Les Syrtes*,” „*Les Cantilènes*,” „*Le Pèlerin passionné*,” odznaczających się równie szczerem natchnieniem, jak i wirtuozostwem wykonania, pociągnięty wdziękiem poetów francuskich z okresu, poprzedzającego rozkwit klasycyzmu, oraz jędrną wyrazistością ówczesnego języka, postanowił sięgnąć aż do tej oddalonej przeszłości, by u czystego, niezmaconego jeszcze, a tak bogatego źródła narodowej mowy zaczerpnąć form i wyrażeń zarzuconych i zapomnianych i przez to zapożyczenie wzmocnić życiodajne soki poezyi nowożytniej. W ten sposób powstała *Szkoła Romańska* (*Ecole Romane*), do której za przykładem *Moréas'a* przystąpili: *Ernest Raynaud*, *Karol Maurras*, *du Plessys*, *R. de La Thailède* i *Lionel des Rieux*. Szkoła romańska nie odpowiedziała wszakże oczekiwaniom i pokładanym w niej nadziejom; okazała się ona jedynie doskonałą naśladowczynią *Ronsarda* i poetów *Plejady*; dowiodła tylko wielkiej erudycyi lingwistycznej swych adeptów, ale kierunku współczesnego wytworzyć nie mogła. To też sam jej założyciel opuścił ją w końcu, by zwrócić się do form i ducha czystego klasycyzmu, który zapewne charakteryzować będzie najwyższą i ostatnią fazę jego poetyckiej twórczości. Po utworach takich, jak „*Enone au clair visage*,” „*Eryphile*,” „*Les Sylves*,” będących produktem studyów i poszukiwań archeologicznych szkoły romańskiej, *Moréas* wydał ostatni zbiór swych poezyj p. t. „*Stances*,” tchnących głębszem niż poprzednie uczuciem, owianem jakąś szczególną tęsknotą melancholii i posiadających formę doskonałą, a zarazem piękną, pełną i dźwięczną.

Henryk de Régnier uprawiał od początku obie formy poezji—tradycyjną i wyzwoloną i w obu tych rodzajach doszedł do mistrzostwa. Zresztą umiał on szczęśliwie połączyć charakter opisowy parnasistów z muzykalno-suggestywnym sposobem wyrażenia uczuć, zainicjowanym przez Stefana Mallarmé, który symboliści sobie przyswoili. Poezja jego ma w sobie coś z bogactwa dekoracyjnego, stylowego, przypomina swym przepychem ornamentacyi ozdobne festony tej architektury wieku XVIII, której wygięte linie, zarazem pretensjonalne i pełne wdzięku, wywołują w wyobraźni naszej w pół senne, urocze obrazy, rozbudzają tajne, ukryte w zakątkach duszy, jakoby pod popiołem lat minionych, ale nie wygasłe jeszcze wspomnienia tej stosunkowo niedalekiej, dziwnie czarującej przeszłości, tak odmiennej od szarzyzny naszego dzisiejszego bytu. Widoki, które budzą wrażliwość tego wykwintnego artysty, to strzyżone parki francuskich pałaców, zaludnione posągami bóstw, przeglądających marmurowe kształty w zwierciadle wód sztucznych basenów, przy szmerze improwizowanych kaskad i wodotrysków. Wszystko to razem, pomimo tonu nie pozbawionego pewnej emfazy i nadmiernej wytworności w doborze wyszukanych metafor, odznacza się wyrafinowanym, arystokratycznym artyzmem, nie przeznaczonym dla szerokich mas, lecz dla tych tylko wybranych, którzy podobnie subtelne wrażenia odczuwać są zdolni.

Autor „Lendemains“ i „Apaisement“, „Tel qu'en songe“, „Jeux rustiques et divins“, „Les Médailles d'argile“, „La Cité des Eaux“, „La Sandale ailée“, w ostatnich utworach swoich wyzbywa się w większej części tajemniczej mowy symbolizmu, dając przewagę wyrazowi bezpośredniemu i skończonej, zaokrąglonej formie ducha klasycznego.

Henryk de Régnier celuje również w romansie, w którym charakter jego talentu objawia się w sposób analogiczny. Ten ostatni rodzaj jego twórczości rozbieraliśmy już poprzednio.¹⁾

Prozodya niezależna zdaje się być formą wrodzoną naturze *Franciszka Viélé-Griffin*, to też posługuje się on wolnym wierszem z nieporównaną łatwością, wydobywa zeń czarowne rytmy, wtórujące uskrzydłonej lekkości jego piosenkom, które służą mu do wyrażenia niezbyt głębokich, ale niezmiernie delikatnych odcieni uczuć. Za przykładem innych on nie poszedł i nie bacząc na ich odstępstwa, zachował bez zmiany dawną lirę, przy której akompa-

1) „Biblioteka Warszawska“, zeszyt z kwietnia r. b.

niamencie śpiewa dalej na tę samą nutę. Ostatni też zbiór jego poezyj p. t. „Plus loin“ nie różni się charakterem od dawniejszych, jak „Les Joies,“ „Les Cygnes,“ „La Clarté de vie“ i innych, których jest odbiciem.

Naiwnie subiektywny liryzm swój czerpie Vielé-Griffin u nieskażonego źródła przyrody. Tchnące wiosenną świeżością gaje, w których cieniu mkną chyżonogie sarny; kwieciste łąki, obsiane dyamentami porannej rosy; brzęk pszczoły, uwijającej się około śnieżnej konwalii, nuta ludowej piosenki, którą lekki powiew niesie od pól dalekich—oto widoki i odgłosy, których powab niewypowiedziany znajduje wyraz naturalny w subtelnej wrażliwości tego poety. Franciszek Vielé-Griffin, prócz formy doskonale zastosowanej do rodzaju jego natchnienia, wnosi bądź co bądź do poezji francuskiej nowe pierwiastki uczuciowości.

Dobroczynne wpływy przyrody podziały również kojąco na przeciwne poprzedniemu temperamenty bardzo pomiędzy sobą różnych poetów *Adolfa Ketté* i *Emila Verhaeren*.

Pierwszy z nich *Adolf Ketté* rzucił się z początku w odmęty dekadentyzmu. Odurzony Baudelairyańskimi narkotykami, błędził on najpierw po okultystycznych wertepach demoniackiej mistyki, by dotrzeć następnie aż do rozpętanych koncepcyj anarchizmu, dopuszczając się przytem wszelkich ekscentryczności myśli i mowy, uważanych wówczas za konieczny atrybut poetyckiego natchnienia. Pierwsza ta faza intelektualnego, uczuciowego i artystycznego rozwoju poety, wyrażona w poezjach: „Les Cloches dans la nuit,“ „Une belle dame passa,“ „L'Archipel en fleurs“ i t. p. oraz w pismach krytycznych i innych prozą, kończy się z chwilą, gdy poznanie piękna i prawdy, które przyroda objawia miłującym ją w prostocie ducha, doprowadziło go, po nałożeniu wędzidła swej nieujeżdżonej wyobraźni, do skierowania jej na mniej fantastyczne drogi bezpośredniego natchnienia. Rezultatem medytacyj, do których przywiódł go nieznanym przedtem błogi spokój wewnętrzny i rojna życiem, wesola samotność na łonie natury, było nowe, prawdziwsze i głębsze jej odczucie, wypowiedziane zwłaszcza w ostatniem wydaniu poezyj jego—„Campagne Première,“ „Lumières tranquilles,“ „Les Rêves de la Forêt“ i w końcu nawrócenie do wiary katolickiej ojców, którego etapy opowiada w swej książce p. t. „Du Diable à Dieu.“

Emil Verhaeren jest wreszcie tym rzadkim pośród symbolistów wyjątkiem, który nie czekając nowych prądów, ale i nie wyrzekając się przyjętych form, oddał się całkowicie dążeniom chwili obecnej i poświęcił im całą swą twórczość.

Jeden z pierwszych dopatrzył się on pierwiastków poezyi w warsztatach, fabrykach, kopalniach, w życiu mas roboczego proletaryatu i znalazł odpowiedni sposób jej wyrażenia. Verhaeren posługuje się wolnym wierszem zupełnie osobistym, oryginalnym i mową symboliczną, której umie nadać zadziwiającą siłę wybuchów wulkanicznych. Jak nowy Savonarola, gromi niegodziwości ludzkie, które widzi wszędzie, dając słyszeć, po przez huk młotów i warczenie maszyn, podziemny grzmot burzących się tłumów, zwiastujący przyszłe kataklizmy społeczne; ukazuje łuny pożarów, które świat zamienia w zgliszcza, ale zarazem, jako mityk socyalny, zapowiada przyjście nowego Chrystusa i erę nieznaną dotąd szczęśliwości. Tymczasem na skrzętnie uprawnych polach flamandzkich lub nad ponurem morzem północnem spotyka on istoty dziwne i straszne — wiatr listopadowy, śmierć, strach, milczenie i t. p. (Campagnes hallucinées), widzi miasta potworne, żarłocznie pochłaniające obszary wiejskie z tysiącami ludzkich istnień, które wyniszcza („Les Villes tentaculaires“).

W powolnej ewolucyi ton i styl autora „Les Flambeaux noirs,“ „Les Forces tumultueuses“ etc. etc.—potężny w wyrazie, ale ciężki, niejednokrotnie brutalny, rażący kanciastą chropowatością — uspakaja się, staje się równiejszym, pełniejszym w panteistycznym zachwyceniu ostatnich poezyj: „La Multiple splendeur,“ w których z głębi gorejącego entuzjazmem serca tryskają strzeliste akty wiary i miłości, płyną wspaniałe hymny na cześć nieopisanych cudów przyrody, objawiających się czy to w olbrzymiości systemów kosmicznych, czy w efemerycznem istnieniu miriady drobnych, strojnych w tęczowe barwy owadów. I znowu natura swą mocą niepojętą przemieniła burzliwe serce poety, dając mu zaznać rozkoszy idealnych zachwyty w religijnem poczuciu zupełnej z nią łączności.

Prócz wymienionych mistrzów tego kierunku i w młodszym pokoleniu są poeci, którzy wywodząc się od tamtych, dają sobie miano symbolistów lub neo-symbolistów. Ci jednak od klasyków symbolizmu (jeśli wolno zestawić te dwa wyrazy) różnią się dość znacznie. Duchem raczej bliżsi są oni naturzystom, wyrażają się bowiem przeważnie, jak ci ostatni, bezpośrednio, szukają natchnienia w życiu powszedniem, w otaczającej przyrodzie, opowiadają wrażenia i uczucia własne, zwracają się chętnie do naiwnych form pieśni ludowej. Niektórzy zresztą z pośród nich zaliczają się jednocześnie do naturzystów albo do pokrewnych im grup prowincjonalnych. Jednem słowem symbolizm ich polega często na nazwie i sympatyach, które ich łączą z poprzednikami.

Wśród symbolistów tedy ostatniej doby, *Paweł Fort* odznacza się, jako twórca nowego stylu, pośredniego pomiędzy wierszem, a prozą rytmiczną. Styl ten Fort z powodzeniem zastosował do całego szeregu dość rozmaitych treści, ale jednakowych formą i skalą natchnienia utworów swoich, którym nadał ogólny tytuł „Ballades Françaises.“

„Ballades Françaises“ są to małe poematy, napisane częścią wolnym wierszem, częścią nieprawidłowemi aleksandrynami, których rytm stosuje się do dykcji prozy. Prócz rytmu, który ten styl podnosi i uszlachetnia, tylko od czasu do czasu trafiające się rymy lub assonanse znaczą wyraźniej jego różnicę od zwykłej prozy. W formie tej znać inspirację Juliusza Lafargue'a i Gustawa Kahna, co zaś do ducha, który ożywia te utwory, to poeta znalazł go w pieśniach i legendach ludowych, w które przelał własną uczuciowość, zachowawszy właściwy im wyraz, albo też zaczerpnął natchnienie wprost u przyrody, której widoki, zjawiska, a szczególnie harmonizujące z nią nastroje własnej duszy, umie wywołać z niezwykle poetycznym, a zarazem plastycznym i malowniczym artyzmem.

Wyraz naiwności i uczuć dziecinnie błahych posunął do nieznanych dotąd krańców *Franciszek Jammes*. Niektórzy ujrzeni w nim odnowiciela poezji francuskiej przez wprowadzenie do niej pierwiastku absolutnie pierwotnej prostoty. Rzeczywiście, pewne utwory jego, jak „Jean de Noarrieu“ („Les Triomphes de la vie“), mają w sobie coś z nieświadomego siebie, mimowolnego realizmu prymitywów. W innych („De l'Angéus de l'aube à l'Angéus du soir“) zużywa duży zasób sentymentu, by wypowiedzieć wrażenia zadziwiającej nicości. Wszystko to wyraża się u niego z jakąś przesadną dokładnością i drobiazgowością szczegółów, ma charakter szczerości sztucznej i z trudnością usprawiedliwia nadzieje entuzjastów talentu tego dziwnego poety.

Z innych utworów Franciszka Jammes zasługują jeszcze na uwagę: „Quatorze prières,“ „Le Poète et l'oiseau,“ „Le Deuil des primevères.“

Andrzej Gide, krytyk, filozof i moralista, jest poetą wyższego polotu. Oryginalność bardzo indywidualna, poszukiwanie wyrazu uczuć i myśli niepowszednich łączy się u niego z trzeźwością i harmonią bez zarzutu. Dzieła jego: „Les Cahiers d'André Walter,“ „Les Poésies d'André Walter,“ a bardziej jeszcze — „Le Voyage d'Urien“ i „Paludes,“ postawiły go w rzędzie najpierwszych poetów doby obecnej, na którym to stanowisku utwierdzają go ostatnie utwory — „Lettres à Angèle“ i „Amyntas.“ Ale najwyżej

w tej grupie wzniosł się siłą prawdziwego natchnienia *Karol Guérin*. Jak ogół poetów, którzy nastąpili po pierwszym okresie symbolizmu, porzucił on wolny wiersz, by powrócić do formy tradycyjnej, a przynajmniej do jej odmiany rozszerzonej, w której znaleziono ostoję po odwróceniu się od zbyt radykalnej i językowi francuskiemu mało odpowiedniej reformy wynalazców prozody niezależnej. Guérin jest poetą urodzonym, z Bożej łaski, obdarzonym wyjątkowo głęboką uczuciowością, która, jak wezbrany potok, sama szuka sobie ujścia na zewnątrz i ukazuje się w postaci dziwnie pięknej, otoczonej aureolą melancholii, składającą się z nikłych blasków wieczora lub z gwiazdzistych kręgów, błyszczących w dali, jak cel niedościgniony upragnionego szczęścia wśród mroków beznadziejnej nocy.

Jedną z właściwości, nader rzadkich, tego poety jest ścisła łączność uczucia i myśli, zawsze wzniosłej w swym pesymizmie, niekiedy gorzkim, ale szczytnym i szlachetnym.

Stąd poezya jego, choć przesiąknięta tęsknotą i marzeniem, jest jasną i zrozumiałą. Ból, smutek, niepokój w nieustannem poszukiwaniu przeczukanego, ale nieznanego ideału, męki okrutne, jakie przechodzi pozbawiona tego ideału dusza, jej wznoszenie się na Ikarowych skrzydłach nadziei i upadki w bezdnie rozpacz, wreszcie uludne szczęście miłości zmysłowej, która wypróżnia serce, by je omdlałe, bezsilne i samotne pogрузić w nicłość bez wyjścia—oto myśli i uczucia, które pod formą, rytmem i harmonią do nich zastosowaną, wypowiada autor w swych utworach, a szczególnie w „*L'Eros Funèbre*,” „*Le Semeur de cendres*,” „*Le Coeur solitaire*,” „*L'Homme intérieur*.”

Symbolistami w duchu i w formie są jeszcze (lub byli): *Karol-Henryk Hirsch*, autor poezyj: „*Légendes Naïves*,” „*Priscilla*,” „*Yvelaine*.” *Henryk Bataille* („*La Chambre blanche*,” „*Le Beau voyage*”), *Edmund Pilon* („*Le poème de mes soirs*,” „*La Maison d'exil*”), *Tristan Klingsor*, *Andrzej Lebey*, *Edmund Jaloux*, *John-Antoni Nau*, *Gabryel de Lautrec*, *Walenty Mandelstamm*, *Tankred de Visan*, *Henryk Ghéon*, *Olivier de La Fayette*, *Achilles Segard*, *Henryk Degran*, *Karol Chanvin*.

Przeszedłszy teraz do kierunków, które z symbolizmem zerwały zupełnie lub uważają się za jego przeciwników, napotykamy najpierw nazwisko *Saint-Georges de Bouhélièr*, ten bowiem poeta, założyciel czasopisma literackiego „*Revue Naturiste*” jest inicjatorem i organizatorem nowego kierunku. On to w głośnym swego czasu manifestie określił dążenia naturyzmu: „Święcić będziemy—brzmi ustęp tego manifestu — wielkie święto ludzkie, na

które sprosiny rośliny, gwiazdy i wiatr. Powstanie literatura, która słać będzie marynarzy, oraczów, zrodzonych z wnętrza ziemi i pasterzy, przebywających w pobliżu gniazd orlich. Poeci połączą się znowu z plemionami ludu.“ Z chmurnych wyżyn, naturyzm sprowadza poezję na równiny, gdzie roi się życie od splatania liliowych wieńców na skronie wymarzonych królewien, wiedzie ją do chłopskiej chaty, do polnych robót, do warzywnych ogrodów, do fabryk i warsztatów. Widzieliśmy już wyżej, że i wielu symbolistów potrafiło tego dokonać, ale bądź co bądź naturyzm z Saint-Georges de Bouhélier na czele pierwszy zatriąbił do odwrotu z wyprawy po chimeryczne złote runo, którego się wyrzekł dla wrażeń powszedniejszych, mniej wyszukanych, ale za to rzeczywistych i dla każdego dostępnych. Saint-Georges de Bouhélier przyjął formę tradycyjną wiersza i zaleca ją każdemu ze względu na jej rytm dzwięczny i pewny, a także z powodu, iż „stanowi ona metodę wewnętrzną, bez której nie ma doskonałości.“ Poezya jego, przy charakterze humanitarnym, ma siłę i jędrność uczucia, oraz trzeźwość i jasność myśli; te zalety uderzają przedewszystkiem w jego utworach poetyckich: „Eglé ou les Concerts champêtres,“ „Les chants de la vie ardente,“ „Chant d'apothéose pour Victor Hugo,“ oraz w powieściach i pismach krytycznych.

Saint-Georges de Bouhélier jest nadto autorem poematów dramatycznych: „La Victoire,“ „La Tragédie du nouveau Christ“ i „Le Roi sans couronne.“

Mniej więcej jednocześnie z powstaniem naturyzmu utworzyła się w Tuluzie, około czasopisma *L'Effort*, grupa poetów jednokowych z tym kierunkiem dążności. Ponieważ odrębność jej ma jedynie znaczenie pod względem geograficznym, przeto niema zasady przy rozpatrywaniu naturyzmu jej odłączać.

Założycielem „L'Effort“ i grupy Tuluzyańskiej jest *Maurycy Magre*, najwybitniejszy jej przedstawiciel. Utwory jego „La Chanson des Hommes“ i „Le Poème de la Jeunesse“ mają charakter poezyi i sztuki socyalnej, treścią ich jest życie zwyczajne z jego smutkiem, marzeniem i pożądaną radością—piękno wysiłku pracy, dobroć i prostota. Brzmi w nich skarga, ale i nadzieja.

Magre jest rodzajem lirycznego proroka, którego marzeniem—oczarować urokiem poezyi lud prosty i podnieść go do odczuwania potrzeby piękna i sztuki, co go uszlachetni i w dążeniu do dobra i udoskonalenia zastąpi (w przekonaniu poety) teoretyczne przepisy moralności i religii. Odczuwa on i stara się wzbudzić humanitarną litość dla nieszczęśliwych, wydziedziczonych, uposle-

dzonych, dla nędzy moralnej i materyjalnej, gromi egoizm i bezwzględność, skażenie i zepsucie, w którym pograża się współczesne społeczeństwo (Paris—Poème de la Jeunesse). Powoli gorycz, pesymizm, przechodzący niekiedy w sceptycyzm i cynizm, zastępują jego wiarę w humanitarne ideały. Niektóre ustępy w „Le Poème de la Jeunesse,” jak „La Prostitution,” „Le Poète et la Nature” prócz wymienionego wyżej „Paris” uwydatniają ten zwrot w kierunku uczuć i myśli poety. Nastrój ten przeważa też w następnych jego poezjach p. t. „Les Lèvres et le secret,” przedstawiających rodzaj autoanalizy moralnej, lub spowiedzi w rodzaju „La Confession d'un Enfant du siècle” Musseta, której szczerość posuwa się do takich granic, iż staje się nienaturalną, albo cyniczną. Ale pod temi pozorami szarpania własnych wnętrzności moralnych—skutek zawodów i zwątpień,—ukrywa się zawsze głębokie uczucie ludzkiej litości, pragnienie wyrwania siebie i bliźnich z upadku, do którego popycha nieuleczalna ułomność natury człowieka.

Pisane wierszem również dramaty Magre'a: *Le Tocsin*, *L'Or*, *Le Dernier Rêve*, *Le vieil Ami* i t. p. znalazły uznanie na scenach Tuluzy i Paryża.

Naturyzm, proklamowany przez tych dwu jego heroldów, jako kierunek panujący, odbił się zaraz głośnym echem w twórczości bardzo licznej rzeszy poetów dzisiejszych, wśród których odznaczają się nazwiska: *Marka Lafargue*, *Michała Abadie*, *Alberta Fleury*, *Piotra Camo* („Le Jardin de la sagesse“), *Jana Viollis* („La Guirlande des jours“), *Jana Vignaud*, *Jakóba i Maryi Nervat*, *Henryka Muchart* („Les Balcons sur la mer“), *Emanuela Delbousquet* („En les Landes“, „Eglogues“, „Le Chant de la race“), *Gustawa Fréjaville*, *Leona Lafage*, *Ferdynanda Pradel*, *Józefa Bosc* i wielu innych, których napotkamy jeszcze w grupach, wykwitłych pod różnemi nazwami z tegoż wspólnego pnia naturyzmu. Z tych najjnniej liczna nosi nazwę *humanizmu*, twórca jej bowiem, *Ferdynand Gregh* jest, jak się zdaje, jedynym jej przedstawicielem. Że humanizm, mimo obiecujących zapowiedzi, nie rozwinął się do znaczenia odrębnej szkoły, tłumaczy się z łatwością tem, iż żadnych dążeń, różniących go od naturyzmu, nie okazał, jeżeli zaś warto go brać pod uwagę, to tylko ze względu na osobę p. F. Gregh'a, który jest poetą utalentowanym, delikatnym i sympatycznym. Zobaczmy, co sam on mówi o humanizmie w swym głośnym artykule (w dzienniku Figaro, w grudniu 1902 r.), uznanym za manifest: „Czego najczęściej brakowało parnasistom i symbolistom, to poczucia ludzkości (humanité). Byli oni i chcieli być

tylko artystami, nie zastanawiając się nad tem, że jedyną rzeczą, która nas interesuje w artyście, jest człowiek, bo wspólnem łączącym nas z nim ogniwem jest ludzkość. My, którzyśmy po nich nastąpili, pragniemy sztuki zarazem więcej entuzyastycznej i serdeczniejszej, więcej wewnętrznej i szerszej; sztuki bezpośredniej, żywej i jednym słowem, streszczającym to wszystko — ludzkiej. Chcemy poezyi, któraby była odbiciem całkowitem człowieka, jego uczuć i jego myśli, a nietylko wrażeń, mniej lub więcej plastycznych, albo muzykalnych...“ „Po szkole piękna dla piękna, po szkole piękna dla marzenia, czas obecnie stworzyć szkołę piękna dla życia. Nie odrzucamy symbolu, pod warunkiem, aby był jasny, bo najpiękniejszy symbol, jeśli jest niezrozumiały, ma podobieństwo do pięknej szkatuły, do której nie ma się klucza...“ „Gromadźcie symbolów ile chcecie, byle po za nimi dało się odczuć bicie ludzkiego serca i myśl harmonijną. Dość mamy pewnej niewzruszoności i pewnego nieładu. Ponieważ poeci tegoż samego pokolenia potrzebują z natury rzeczy gromadzić się pod jakimś wspólnym znakiem, przeto sądzę, że dla oznaczenia dążeń dzisiejszych najodpowiedniejszym będzie odmłodzone i rozszerzone, piękne miano *humanizmu*. Znaczy ono, iż po ściśle artystycznej poezyi Parnasu lub zbyt zagadkowo abstrakcyjnej symbolizmu, pragniemy poezyi ludzkiej...“ „Nie jesteśmy ani mistykami, ani sceptykami, chcemy być artystami i ludźmi.“

Jak widzimy, F. Gregh innemi słowami wyraził mniej więcej to samo, co, w formie więcej pretensjonalnej, powiedział już Saint-Georges de Bouhélier. Jeżeli zaś da się tu zauważyć jaka bardzo drobna różnica w intencjach humanizmu i naturyzmu, to raczej znajduje się ona w odcieniach, niż w zasadach.

Pierwszy zdaje się więcej ograniczać do manifestacji życia wewnętrznego człowieka, gdy drugi w swym nowożytnym panteizmie chce objąć wszechświat cały, wyrazić tętno jego życia uniwersalnego, który objawia się w zjawiskach przyrody od olbrzymich i przerażających do najdrobniejszych procesów mikrokosmu, od wielkich ruchów fali ludzkiej do indywidualnych wrażeń i wzruszeń jednostki.

Jednem słowem humanizm zakreślił sobie granice o wiele skromniejsze, jest więcej ludzkim w znaczeniu powszedniem i ma się do naturyzmu, jak szczegół do ogółu.

Jeżeli jednak humanizm, jako szkoła poetycka, nie wprowadza nic nowego, to za to jego twórca, F. Gregh dziełem swem, które się do wyrażonego programu najzupełniej stosuje, przynosi mu prawdziwy zaszczyt. Całe w odcieniach uczuć zmiennych,

nieuchwytnych, ma ono wdzięk i lekkość rytmu tańca, w którym śmiech i płacz dają się słyszeć naprzemian, ale nigdy zgrzyt nie narusza jego delikatnej harmonii.

W formie poezyi Gregha, wzorowanej na tradycyjalnej, a nawet w jej duchu znać blizkie wpływy Verlaine'a. Utwory jego, zatytułowane „La Maison de l'Enfance,” „La Beauté de vivre,” „Les Clartés humaines,” „L'Or des minutes“ są to prawdziwe arcydzieła sztuki, perełki uczucia, pełne melancholijnego optymizmu.

Inne i o wiele szersze są ambicje *Integralizmu*, kierunku zaingerowanego przez *Adolfa Lacuzon* i opartego na systemie sformułowanych przezeń doktryn, które stawia nowoczesnej poezyi, jako wytyczną.

Pominąwszy wywody zbyt specjalne, któremi ów reformator stara się uzasadnić swe twierdzenia, myśl jego da się streścić mniej więcej w następujących słowach: „Dar poetycki jest wyższym przymiotem duchowym, jak heroizm. Ten to warunek poeta posiadać musi przedewszystkiem, ale po za tem musi on też mieć wiedzę jaknajobszerniejszą. Żadna ze zdobyczy, któremi została zubożoną myśl ludzka w ciągu wieków przez wynalazki umysłów genialnych lub doświadczenie kollektywne, nie może mu być obcą, jeśli chce dać poezyi wyraz nowy i odpowiedni pojęciom dzisiejszym, fałszem jest bowiem zalecać pocie, by starał się patrzeć na świat naiwnemi oczyma dziecka, lub, by się cofnął do pojęć prymitywnych człowieka z epoki kamiennej, gdyż w tych ciasnych granicach skazałby się na powtarzanie rzeczy, aż nadto w przeszłości wyzyskanych, które już obecnie wrażenia sprawiać nie mogą. Jeżeli poezya ma zawsze być potrzebą duszy, mistrzynią idealną, jaką być powinna; jeśli poeta chce mieć u współczesnych znaczenie i wpływ duchowego przewodnika, co jest jego zadaniem, to musi dać im odbicie tych różnorodnych wrażeń, jakich doznają pod wpływem zmiennych warunków, urabiających się wśród nieustannej materyjalnej i moralnej ewolucyi, czy rozwoju świata, dzięki spostrzeżeniom, odkryciom i udoskonaleniom we wszystkich dziedzinach myśli i działalności człowieka. Nie idzie zatem, by poezyę oddać na usługę wiedzy, by uczynić z niej nudne i bezduszne narzędzie dydaktyczne — przeciwnie, wiedza niech służy pocie, jako klucz do lepszego zrozumienia natury, u której zawsze szukać będzie natchnienia; wiedza, przez pomnożenie i pogłębienie jego pojęć niechaj stanie się dlań skarbcem, w którym znajdzie nowe i nieprzeliczone środki wyrażenia swych uczuć.

Poezya nie jest wyłącznym udziałem literatury, ani wiersza, ale, ponieważ mowa wierszowana jest formą, dążącą do najwyższego wyrazu rytmu, rytm zaś jest zasadniczym warunkiem poezyi, przeto rzeczoną formę uznać trzeba za najlepszy sposób jej urzeczywistnienia. Nie jesteśmy w zasadzie przeciwnikami prozody niezależnej, ale ta okazała się dotychczas tylko brakiem dyscypliny, prowadzącym do nieładu i bezkształtu. Wiersz tymczasem nie da się określić inaczej, jak tylko przez reguły swej budowy, reguły te zaś są empiryczne. Jak te, które rządzą składnią i gramatyką, powstały one z użytku, a więc z tradycyi. Że reguły te są ściśle związane z właściwościami fizyologicznymi rasy, wierzymy w to mocno.

Czy są one skończone i niezienne, czy w przyszłości nie ulegną przeobrażeniu? — nie możemy przesądzać.

Liczenie sylab w języku francuskim wydaje się prostem, w rzeczywistości jednak polega na dwóch metodach równoległych — pierwsza jest ilościową i da się stosować mechanicznie, druga — wartościowa i niezależna, stale pomijana przez podrzędnych wierszorbów, służy prawdziwemu artyście w połączeniu z pierwszą, do wyrażenia swej oryginalności i daje jego utworom cechę sztuki szlachetniejszej. Z takiego to połączenia tych dwóch metod, oraz z rymów i asonansów powstaje śpiewność i rytm, i to jest wiersz. Wszystko po za tem, co się tyczy formy wiersza, ma już tylko wartość dla oka i należy do sztuki drukarskiej.“

Myśli te wypowiedział Adolf Lacuzon najpierw w przedmowie do poematu swego „*Éternité*,” a następnie w specjalnym manifestie, który, prócz niego samego, podpisali: *Adolf Boschot*, *Cubelier de Beynac*, *Sebastyan-Karol Leconte* i *Leon Vannoz*.

I tu znowu zauważymy z łatwością, że Integralizm nie różni się w swych dążnościach i zasadach od naturyzmu, lecz ujmuje go tylko w pewne formuły, które w wywodach swych autor manifestu stara się oprzeć na podstawach naukowych i filozoficznych. Stosownie do tych teoryj, myśli i uczucia, wyrażone w jego utworach poetyckich („*Éternité*,” „*Le Silence éternel de la Divinité*,” „*Inspiration*“ i in.) i wypowiedziane w pięknej, majestatycznej formie, mają charakter głęboki i poważny filozoficznej religijności.

Adolf Boschot zabrał też ze swej strony głos w sprawie ewolucyi poezyi nowoczesnej w głośnej broszurze „*La Crise poétique*,” która wywołała polemikę pomiędzy nim i mistrzem Parnasu *Sully-Prudhomme*. W artykule zaś „*La Réforme de la prosodie*“ zwrócił uwagę Akademii na potrzebę usunięcia lub zmiany pewnych drugorzędnych przepisów prozodyi tradycyjnej, obecnie

przestarzałych i bezużytecznych, które tamują rozwój myśli poety i utrudniają użycie nowych i oryginalnych form artystycznych, zdolnych wzbogacić i urozmaicić mowę wierszowaną. Jako poeta, Adolf Boschot odznacza się szczerem wzruszeniem wobec natury, idealizmem szlachetnym; umie wznieść się ponad uczuciowość zbyt osobistą do trosk wewnętrznych, ogólniejszych, wiecznie niepokojących ducha ludzkiego, i ubiera to wszystko w formę logiczną i jasną, a przytem obrazową i bardzo artystyczną. Z pośród utworów jego poetyckich („*Matin d'Automne*,” „*Rêves blancs*,” „*Faunesses et Bacchantes*,” „*Pierre Rouvert*,” „*L'Aube de l'Amour*,” „*Dialogues avec les Muses*“)—„*Poèmes dialogués*“ znalazły może najwięcej uznania.

Zwolennikami integralizmu są także neo-parnasiści: *Sebastian-Karol Leconte*, u którego znacząco bardzo blizkie wpływy *Leconte'a de L'Isle* („*L'Esprit qui passe*,” „*Salamine*,” „*Le Bouclier d'Arès*,” „*Les bijoux de Marguerite*,” „*La Tentation de l'Homme*,” „*Le Sang de Méduse*“);—*Albert Lantoin*e, poeta o wyobraźni niepokojnej, ale tłumaczącej się dość jasno („*La Courtisane*,” „*Mérodac le Fou*,” „*La Lapidation*“);—*Jan Canora*, wyznawca „religii ludzkiej“ *Augusta Comte'a*, uprawia za przykładem *Sully-Prudhomme'a* poezję filozoficzną („*Poèmes*“). Według niego literatura i sztuka służyć powinny idei, poeta i artysta mają „pieczę nad duszami,” za którą odpowiedzialni są przed społeczeństwem.

Równie jak i poprzednie, na gruncie naturyzmu powstała grupa „*Odrodzenia Łacińskiego*“ (*Renaissance Latine*), złożona z pewnej liczby poetów, których łączy wspólne zamiłowanie ducha i form piękna kultury greko-rzymskiej, przeszczepionej niegdyś na ziemię francuską i zaginionej następnie pod długowiekowym działaniem obcych jej wpływów. Ruch obecny, wskrzeszający te odległe tradycje, wszczął się naturalnie w kraju, gdzie względnie najlepiej mogły się one przechować, t. j. w Prowancyi, której mieszkańcy mają w żyłach krew łacińską i gdzie leży starożytna kolonia grecka—*Marsylia*. W zbudzeniu się tych tradycji, współdziałały objawiające się od pewnego czasu dążenia federalistyczne prowincjonalnej decentralizacji. Dążenia te, szerszej natury, znalazły odbicie i częściowe urzeczywistnienie dotychczas tylko w świecie myśli i uczucia — w dziedzinie literatury i sztuki.

Narodowy poeta prowansalski *Mistral* sławił już zalety i wdzięki swej ojczyzny w pięknej mowie miejscowej, której przemoc północnego narzecza odebrała dawne pierwszeństwo. Wpływ autora „*Mireille*“ na ruch obecny z pewnością nie jest bez znaczenia, ale

dążenia poetów dzisiejszych, którzy obrali sobie hasło „Odrodzenia Łacińskiego,“ czyli neo-klasyków, nie mają na celu separatyzmu językowego lub jakiegokolwiek. Posługują się oni językiem ogółu Francuzów, a życzeniem ich jest jedynie przywrócenie poezyi francuskiej tradycyi rasowych, jędrnej trzeźwości i prostoty myśli i formy, pozbycie się takich naleciałości obcych, jak chorobliwy sentymentalizm i wybujający subiektywizm i powrót do zdrowego łacińskiego liryzmu, niepozbowionego pewnej dozy mistycyzmu pogańskiego, który, acz w nieco odmiennej szacie, przechował się w duchu katolickim. Z tem wszystkim łączą oni miłość ziemi rodzinnej, przodków, pamiątek narodowych i t. p., t. j. tego, co stanowi tradycyę.

Te rozmaite odcienia pojęć i uczuć potrafili dość szczęśliwie wyrazić w formie artystycznej poeci Odrodzenia Łacińskiego:

Paweł Souchon („Elévations Poétiques,“ „Hymne aux Muses,“ „Elégies Parisiennes,“ „La Beauté de Paris,“ „Le Soleil natal,“ „L'Homme et la vie“ etc., oraz tragedye — „Phyllis“ i „Le Dieu nouveau“). *Joachim Gasquet* ulegał z początku wpływowi romantyzmu (*L'Arbre et le Vent*), ale wyrzekł się takowych dla odpowiedniejszych jego naturze form i dążeń, które wyraził w „*Les Chants séculaires*,“ sławiących wysokie przymioty energii i siły mocarzów i zdobywców, którzy, zaszczepiwszy podwładnym sobie masom własny hart ducha, potrafili poprowadzić je do tryumfu.

Leon Largnier („*La Maison du Poète*,“ „*Les Isolements*,“ „*Jacques*“) i *Emil Despax* („*La Maison des Glycines*“) przy rytmie klasycznym mają coś z ukrytego bólu i tęsknoty Lamartine'a i Beaudelaire'a. *Ludwik Payen* („*A l'ombre du portique*,“ „*Les Voiles blanches*“). *Piotr Louijs* („*Astartè*,“ „*Les Poésies de Méléagre*,“ „*Scènes de la vie des courtisanes*“—tłómaczenie z Lucjana, „*Les Chansons de Bilitis*“ etc.). *Albert Erlande* („*Hélène*,“ „*Jasmin*,“ „*Hommages divins*“) — oddają się kultowi bogów olimpijskich: Afrodyty, Bacchusa, Priapa i t. p. *Ludwik Le Cardonnel* (ksiądz) jest poetą katolickim. Poezye jego („*Poèmes*“) natchnione miłością do Ukrzyżowanego i cierpiącej ludzkości, odznaczają się podniosłym spokojem ducha, ufnością niezachwianą, jaką dać może tylko wiara głęboka i prawdziwa.

Do tejże grupy zaliczyć należy jeszcze *Ernesta Gaubert* („*Les Roses Latines*“), *Eugeniusza Vaillé* („*La Gloire de la Luxure*“), *Karola Derennes* („*L'Enivrante Angoisse*,“ „*La Tempête*“), *Ludwika Mercier* i *Karola Velley*. Ale Odrodzenie Łacińskie, jako kierunek o szerszych dążnościach, chociaż powstało pod wpływem

rasowo-atawistycznych aspiracji południowych, nie stanowi właściwie grupy prowincjonalnej.

Grupą prowincjonalną w ściślejszem znaczeniu jest zaś ta, która zgromadziła poetów północnej Francyi około czasopisma literackiego „Le Beffroi,” wychodzącego w Lille, pod kierunkiem *Leona Bocquet*. Jeżeli w innych częściach Francyi wzięły górę w ostatnich czasach dążności klasyczne, to na północy przeważają dotąd wpływy symbolistyczne Verlaine'a, Emila Verhaeren, Alberta Samain, Rodenbacha i t. p. To też reminiscencye tego rodzaju znajdujemy w nader subtelnych, szarych i mglistych, jak atmosfera jego ojczyzny, harmoniach poezyi *Bocquet'a* („Les sensations,” „Flandre,” „Les Cygnes Noirs”), oraz w twórczości poetyckiej jego towarzyszy: *Henryka Delisle* („Heures,” „Pour la Cité”), *Rogera Allard*, *Leona Deubel*, *Edgara Malfère*, *Floris Delattre'a*, *Piotra Turpin*, *Juliusza Mouquet*, *Théo Varlet'a*.

Grupa lotaryńska (*Ecole de Nancy*) posiada, prócz nieżyjącego już *Karola Guérin*, poetów zasługujących na uwagę: *René d'Avril* („Promenades dans l'âme”), *Pawła Briquel* („Soirs d'automne,” „Joiés Humaines”).

Prócz tego, *Jerzy Normandy* i *Karol Poinso*t („Les Yeux s'ouvrent,” „Les Minutes profondes”) założyli wspólnie z *Adolfem Boschot* t. zw. „Szkołę Francuską” (*Ecole Française*), której celem jest „przywrócenie poezyi francuskiej jasności myśli i uczuć ludzkich i zwolnienie wiersza klasyko-romantycznego od pewnych zbyt krępujących go reguł.” Ciż przyczynili się do powstania „Francuskiej Federacji regionalistycznej” („Fédération Régionaliste Française”) pod prezydencją Ludwika Ksawerego de Ricard i założyli Towarzystwo poetów francuskich, oraz Towarzystwo poetów normandzkich.

Wielu poetów ostatniej doby, zwłaszcza wśród najmłodszych, uważając się za niezależnych, stoi po za temi, wymienionemi powyżej grupami, chociaż charakterem swej twórczości mniej lub więcej się do nich nawiązuje.

Z pośród tych zasługują na szczególną uwagę: *Gabryel Nigond*, poeta nawskroś wiejski, który z prawdziwą świeżością natchnienia, z zupełną prostotą wobec przyrody, daje w języku żywym i barwnym i w formie neo-klasycznej odczute z głęboką sympatją, przymglone lekką melancholią obrazy z życia wiejskiego, w których, obok człowieka, figurują na tle nastrojowych widoków natury, towarzyszące mu zwierzęta. W niektórych urywkach zbioru jego poezyj p. t. „Novembre” jak np. w „La Grand mère,” w „La Tête de Veau” umie on wyrazić nader subtelną

uczuciowość przy pomocy słów i obrazów na pozór zupełnie prozaicznych. Podobne odbicie sympatyczne i wzruszone, niekiedy nawet namiętne, głosów życia natury i jej widoków zawierają następne utwory tego poety „L'Ombre des pins“ i „Memor.“ Gabriel Nigond jest też autorem powiastki „Les Contes de la Limousine“ w narzeczu ludowem prowincyi Berry.

Do powyższego zbliża się bardzo wyborem tematu i rodzajem natchnienia *Abel Bonnard*, autor „Les Familiars“ i „Les Histoires.“ Ten ostatni utwór, zwłaszcza część jego zatytułowana: „La Sous-Préfète“ — obraz z życia małomiasteczkowego — ma bardzo blizki związek z „Les Humbles“ i „Les Intimités“ Franciszka Coppée, poety, który, uległszy wzgardzie symbolistów i zapomnieniu, odzyskuje niespodzianie szacunek i wpływy u najmłodszych. W „Royautés“ Bonnard stara się, może z mniejszem powodzeniem, podnieść do wyższego rodzaju liryzmu heroicznego, którym sławi Herkulesa. Też same wpływy Coppée'go dają się zauważyć w „Petites Ames“ *Pawła Géraldy*. *Andrzej Rivoire* („Les Vierges“, „Les Heures pensives“, „Le Songe d'Amour“, „Les Cendres des Heures“). *Andrzej Dumas* („Paysages“) i *Henryk Barbusse* („Les Pleureuses“) mają w swych utworach, pomimo różnic, które ich dzielą, wspólną cechę wrażliwości nadzwyczaj czulej w subtelnych odcieniach uczuć nikłych, nieokreślonych, ginących jakoby we mgle cichego smętku, płynącego z lekkim powiewem jesieni. Wzniosłe, czysto ideowe natchnienie duszy, która w ciszy i samotności nocnej skupia się, by bez przeszkody pograżyć się w zadumie, znajdujemy w „La Nuit meditative“ *Jana Picard*, zbiorze poezyi o rytmie poważnym i pięknym, poświęconych pamięci Alfreda de Vigny, z którym ma wspólność sentymentu. Odczuciem piękna natury, uczuciowością szczerą i głęboką i pewnym optymizmem życiowym wyróżnia się wreszcie *Jan Valmy-Baisse* („Le Temple“, „Stances à Léon Valade“, „La Vie enchantée“, „Impéria“ — dramat wierszem).

*

*

*

W szkicu niniejszym staraliśmy się dać obraz ogólny kierunków i dążeń, cechujących współczesną poezję francuską, oraz

jej ewolucye, w której zwrot do właściwej duchowi rasy równowagi, zaznacza się najdobitniej.

Co do listy poetów dzisiejszych, to nie jest ona tu wyczerpaną. Powrócimy do nich jeszcze nieraz, tembardziej, iż wypadnie nam mówić o niezmiernie w ostatnich latach rozwiniętej twórczości poetyckiej kobiet.

ORWID.

WYCHOWANIE ESTETYCZNE.

„To, że prawdziwe dzieło sztuki niema innych celów, jak tylko, ażeby ciało przedstawić jak ciało, a światło jak światło, jest zbyt proste, ażeby ogół mógł to odrazu zrozumieć.“

Tak mówi Maks Klinger w znanej rozprawie swojej o malarstwie ¹⁾ i stwierdza, że to, co się powszechnie nazywa „myślą“, „ideą“ obrazu, polega zazwyczaj na dowolnem, a najczęściej niezbyt pomysłowem połączeniu zdarzeń i rzeczy, nie związanych właściwie z przedmiotem obrazu, ale wywołujących szeregi skojarzeń wyobrazeniowych. „Zapewne — tłumaczy on — mogą one rzucić charakterystyczne światło na przedmiot, ale najczęściej są obrachowane na publiczność, która, nie umiejąc ocenić artystycznej wartości dzieła sztuki, chce mieć o niem bajkę.“

Do takiego zrozumienia tej prostej prawdy prowadzi umiejętność patrzenia, której większość, jakkolwiek nie zdaje sobie z tego sprawy, nie posiada.

Ażeby sądzić o dziele sztuki trzeba je przedewszystkiem widzieć dokładnie, co osiąga się przez odpowiednią tresurę zmysłu widzenia. Kształcenie oka jest tedy podstawą kultury artystycznej.

Widzenie jest niewątpliwie źródłem wszelkiego poznania estetycznego w zakresie sztuk plastycznych. Jest ono nietylko funkcją mechanicznego postrzegania wzrokiem, ale także skomplikowaną czynnością umysłową pojmowania rozumem i w tym sensie używa się w mowie potocznej. W nauce jednak specjalne gałęzie wiedzy, jak: optyka, anatomia, fizjologia i psychologia, zajmują się poszczególnymi stronami zjawiska, wyjaśniając istotę

¹⁾ Por. Maks Klinger: „Rysunek i malarstwo.“ Przełożył Ignacy Dreksler. Skład główny w księgarni Polanieckiego we Lwowie.

całego procesu widzenia. Może ono być nieświadome, półświadome i połączone z pewnym wysiłkiem uwagi czyli uświadomione.

„Uważne widzenie—jak powiada Teodor Frimmel—gdy z góry spodziewamy się coś zobaczyć a nawet czegoś określonego szukamy, nazywa się *patrzeniem*. Takim jest naogół widzenie dorosłych, rozumnych ludzi. Jest ono także podstawą wszelkiej obserwacji, to jest takiego widzenia, które rzecz spostrzeżoną umieszcza w pewnym stosunku do naszego dotychczasowego, albo cudzego doświadczenia już utrwalonego w mowie.“

Patrzenia takiego trzeba się uczyć, a zwłaszcza uczyć się trzeba obserwacji.

Wszystko to jest sprawą oka, które też odpowiednio ćwiczyć należy. Jak dalece błędem jest mniemanie, że wszyscy ludzie normalni, to jest nie dotknięci wyraźnym kalectwem wzroku, jak ślepotą lub daltonizmem, umieją prawdziwie patrzeć, uwierzą w to ci, którzy przynajmniej raz w życiu przestudyowali dokładnie jakiś przedmiot pod względami kształtu i barwy. Mówię tu o przestudyowaniu w znaczeniu malarskim, to znaczy o namalowaniu dobrego studyum z danego przedmiotu, gdyż nigdy najuważniejsze patrzenie, uzależnione zazwyczaj od najrozmaitszych wpływów ubocznych, nie odkryje tych stron zjawiska zewnętrznego, jakie poznaje malarz, przenosząc na płótno obraz jego ze wszystkimi szczegółami.

Zapewne i malarze ulegają pewnym sugestynom i z tego powodu różny bywa sposób ich widzenia, a co za tem idzie różny sposób interpretowania zjawisk widzianych. W tem leży właśnie pierwsza przyczyna zróżniczkowania się indywidualizmów artystycznych.

Właściwie czyste, wyodrębnione widzenie nie istnieje. Jest ono zawsze związane z innymi czynnikami psychologicznymi, które ściśle biorąc do procesu widzenia nie należą. Stąd pochodzi nieskończona różnorodność objawów patrzenia. Ale i w tej różnorodności można odnaleźć pewne cechy wspólne, dające podstawę do podziału ludzkości, względnie do sposobu patrzenia, na grupy odrębne. „Można wprawdzie powiedzieć z zupełną słusnością, że względu na optykę i psychologię—pisze Frimmel—że jeżeli tysiące ludzi patrzy na jedno i to samo, to każdy z nich widzi i zauważa co innego. Równie jednak słuszne jest spostrzeżenie, że wśród tysięcy ludzi znajduje się zawsze bardzo wielu takich, którzy pod względem sposobu widzenia bardziej są zbliżeni do siebie, niż do innych.“

Tak tedy grupując patrzących wedle wieku, płci, ras, temperamentów, zawodów, zdrowia fizycznego i poglądów etycznych, zupełnie odrębne miejsce należy wyznaczyć artystom plastykom, którzy zmysł wzroku specjalnie gimnastykowali, doszli zatem niezaprzeczenie do znacznej pod tym względem przewagi nad innymi; zwłaszcza, że system wychowania, najogólniej biorąc, odzwyczajają nas potrochu od samoistnego korzystania z tego zmysłu. Według praw znanych organy, niedostatecznie używane, ulegają zwyrodnieniu i zanikowi. Któryś z malarzy utrzymywał, że „dla przeciętnej inteligencji naszej oko stało się z biegiem czasu jedynie narzędziem pośrednictwa między słowem drukowanym a mózgiem, lub też aparatem, ochraniającym od potykania o latarnie.“

Prawdą jest niezaprzeczoną, że większość wiadomości o świecie i życiu bierzemy z książek, co odciąga nas od bezpośredniego patrzenia na przyrodę.

D-r Ludwik Volkmann ¹⁾, przytaczając słowa Vichera: „kto nie zdołał wykształcić swoich zmysłów, ten niema prawa twierdzić, że posiadał istotne wykształcenie,“ dowodzi konieczności ćwiczenia oka w celu wyrobienia w sobie umiejętności widzenia. „Czyż istotnie—pisze on—staramy się obserwować przyrodę i otaczające nas życie w celu otrzymania wrażeń formy i koloru, t. j. w sposób jak to czynią artyści? czy nie kroczymy jeszcze wśród swego otoczenia obojętni i niewrażliwi, albo tak zajęci myślami ubocznymi, że zapominamy przy nich najzupełniej o czystem postrzeganiu, a budzimy się dopiero pod wpływem niezwykłości zjawiska? Patrzymy zwykle na rzeczy nas otaczające—mówi dalej—z punktu widzenia ich użyteczności, ich ceny, czy jadalności, a dopiero w ostatecznym razie staramy się stwierdzić, czy podobają się nam lub nie; i w tym nawet zresztą wypadku zwraca naszą uwagę tylko to, co nas swą oryginalnością uderza lub szczególną szpetnością odraża. Znikło niemal w zupełności poczucie faktu, że już *strona zewnętrzna zjawiska lub przedmiotu stanowi niezmiernie ważną część składową jego istoty.*“

Odnalezienie w sobie tego poczucia stanie się kluczem do zrozumienia tej właśnie prostej prawdy, o której mówiłem na wstępie za Klingerem.

Najprostszą tedy drogą do uświadomienia estetycznego jest kształcenie oka, a kształcenie rozpocząć trzeba od początku, to

¹⁾ „Wykształcenie artystyczne.“

jest w najwcześniejszem dzieciństwie, kiedy jeszcze teoretyczne uprzedzenia nie spaczyły bezpowrotnie przyrodzonych właściwości organu. Dlatego to w ostatnich czasach tak baczna zwrócono uwagę na estetyczne kształcenie młodzieży. Wychowanie ludzkości — jak powiada Volkmann — „do sztuki“ stanęło na porządku dziennym zagadnień współczesnej pedagogii, a sprawa zainteresowała też artystów, estetyków i psychologów. Echa zainteresowania tego odbiły się u nas w formie wystawy, poświęconej sztuce w życiu dziecka, wystawy niezmiernie ciekawej i obfitej, jaką urządzono obecnie w pałacu sztuki staraniem komitetu Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych.

Wystawa ta, jako zjawisko bardzo znamienne w obecnym ruchu wychowawczym, zasługuje na szczególniejszą uwagę.

*

*

*

Ellen Key powiedziała, że wiek XX ma być wiekiem dziecka. Oczywiście, stulecie to będzie miało na głowie mnóstwo innych jeszcze kłopotów, tysiące spraw niezmiernie pilnych stanie na wokandzie najbliższych rozpraw społecznych, tysiące kwestyj palących roznamiętni ludzkość do żywego — propagatorka jednak reform wychowawczych widzi tylko takie jedno zagadnienie i to jest zasadniczo najzupełniej zgodne z psychologią widzenia w ogólności. Jeżeli przy oglądaniu przedmiotów rzeczywistych, realnych, różne osoby różnie i całkiem odmiennie ich strony dostrzegają, tak, że ułożyćby można szeregi wedle widzianych przedmiotów i patrzących podmiotów, to cóż dziwnego, że pewne uczucie zabarwia tendencyjnie pogląd na zjawiska tak nieuchwytne, jak to, co najmocniej zajmuje umysły współczesnych.

Zapewne nieco jednostronny był Ruskin, kiedy mówił o zbawieniu ludzkości przez sztukę, dość wyłączny Schiller, marzący o uszlachetnieniu jej jedynie przez podniesienie kultury estetycznej; nie jeden błąd logiczny odnaleźby też można w rozumowaniach dzisiejszych pewnego typu wychowawców, którzy również zbyt może wiele przywiązują wagi do tego na przykład czem się dziecko bawi i jak bawi.

Istotnie, jest w tym zakresie wiele szczegółów nie wyjaśnionych dostatecznie, niesprawdzonych praktycznie i w rezultacie,

jak wszystko na świecie, posiadających także, tak zwaną, odwrotną stronę medalu. Wiadomo, że metoda froebłowska, swego czasu powszechnie zalecana, spotyka się dziś z ostrą krytyką; że znaleźli się zdecydowani jej przeciwnicy, którzy wykazali niezbitą szkodliwość owej, jak nazywają, małej tresury. Musi także niewątpliwie być nieco przesady w patosie wielkich proroków estetycznego wychowania, jako też bezkrytycznej wiary wśród rzeszy prozelitów. Prawdą jest jednak niezaprzeczona, że wielu słynnych psychologów, pedagogów, literatów i artystów pracuje nad uestetycznieniem pierwotnego nauczania i że posiadamy już dziś bardzo poważne w dziedzinie tej traktaty naukowe, oraz wytworną literaturę i sztukę. Pani Janina Mortkowiczowa, która wydała w Warszawie ciekawą i zdaniem mojem niezmiernie pożyteczną książeczkę p. t. „Wychowanie estetyczne“, dowodząc konieczności takiego wychowania, powołuje się na dzieła pedagogów, od Kamenskigo i Pestalozzi'ego do panów Sully, Perez'a, Quicq'a, Queyrat'a, Compayré i innych. Urządzona obecnie w Towarzystwie Zachęty sztuk pięknych Wystawa wykazuje, jak wiele i jak piękne rzeczy zrobili dla dzieci najpierwszorzędnijsi artyści świata.

Ja osobiście, jakkolwiek pisuję artykuły o sztuce i pragnąlbym w społeczeństwie swoim wytworzyć jak najszersze uświadomienie estetyczne, nie mam jednak tej gorącej wiary agitatorów, ażebym uważał, iż jest to sprawa najpilniejsza i jedyna. Z góry przygotowany jestem na dyskusję, z góry też zgadzam się na uwagę, z jaką spotykam się najczęściej, ilekroć jest mowa o podniesieniu poziomu estetycznego, że pierwszą rzeczą jest zapewnienie chleba powszedniego dla rzesz zgłodniałych. Ależ niewątpliwie. Chleb powszedni jest dla wszystkich potrzebą najpierwszą. Społeczeństwo nasze ma nadto wiele innych potrzeb piekących, gwałtownych, nie cierpiących zwłoki. Przedewszystkiem wielkim głosem woła ono o oświatę dla wszystkich. Analfabetyzm, to kalectwo nierównie przykryjsze, niż niedokształcenie oka do celów artystycznych, a jednak kalectwem tem do dnia dzisiejszego dotknięte są setki tysięcy mieszkańców naszego kraju. Konieczność usunięcia tego bólu iśchy musiała niezaprzeczenie przed koniecznością sztuki dla wszystkich, gdyby można było kolejno usuwać niedomagania społeczne, poczynając od najdokuczliwszych, tudzież gdyby je można było usunąć radykalnie i raz na zawsze. Istotnie, gdybym wierzył, że możliwa jest zupełna naprawa tych stosunków w krótkim czasie, nawoływałbym wszystkich do skupienia się około tego celu, do nierozpraszania sił na cele inne, do cofnięcia narazie wszystkich innych spraw z porząd-

ku dziennego potrzeb chwili. Ale zgodzić się trzeba na odwieczne prawa, które narzucają inny porządek robót około podniesienia kulturalnego ludzkości. Musi się to odbywać współrzędnie i na wszystkich polach jednocześnie, a nie z wyboru, według jakichś wskazań teoretycznych. Na tem polega harmonia podziału pracy. Dla uprawy jednego łąnu niepodobna innych zostawić odłogiem; dlatego, że setki tysięcy nie umie czytać, niepodobna zapomnieć o dziesiątkach tysięcy innych, którzy łąkną wyższych podniet duchowych. Nawet w dziedzinie kultury artystycznej, przed pokazywaniem wytwornych dzieł mistrzów, należałoby nieraz zacząć od wyjaśnienia rzeczy tak elementarnych, jak znaczenie mydła w sprawie estetycznego wychowania dzieci.

Zapewne, mnóstwo tego nieszczęśliwego drobiazgu w ciemnych norach suteryn wyrasta bez najpierwszych, podstawowych zasad piękna w życiu codziennem, i jest to zjawiskiem nad wyraz smutnem. Nie należy zaniedbywać starań około naprawy podobnego stanu rzeczy, ale wolno zwrócić uwagę komu należy, że skoro istnieją dzieci szczęśliwe, którym rodzice dostarczyli odpowiednią ilość mydła i dbają o to, ażeby go właściwie używały, skoro sprawili im czyste i ładne sukienki, a pragną jeszcze kupić zabawkę, książkę ilustrowaną lub obrazek na ścianę do ich pokoju, to niech ta zabawka, książka, ilustracya, obrazek będą dobre. Niech będą piękne i artystyczne, ażeby nie paczyły w najwcześniejszej młodości wrodzonego smaku, ale, owszem, prostowały go i doskonaliły. Rodzicom tym właśnie, którzy kupowali dotąd dzieciom swoim bezsensowne i brzydkie zabawki, którzy zarzucali je „na gwiazdkę“ książkami, ilustrowanemi ordynarną, obrzydliwą tandetą litografij niemieckich, lub wyrobami swojskimi, ludzi najmniej w tym kierunku powołanych, radziłbym, ażeby poszli na wystawę do Zachęty i przekonali się, jak wygląda prawdziwa wytworna sztuka dla dzieci.

Sztuka taka istnieje niewątpliwie, choć samo określenie wywołało już protesty ze stron wielu, twierdzą stanowczo, że posiada owa sztuka właściwe, odpowiednie przeznaczeniu swemu, cechy i rysy znamienne.

Pewna przeciwniczka sztuki dla dzieci ironizuje w ten sposób w jednym z pism tygodniowych:

„Pogadaj z wychowawcami XX w., a oni ci wytłómaczą, że dzieci rozróżniają tylko pewną ilość barw i linii, możesz więc im się jedynie przejawić w wyznaczonych z góry liniach i barwach, aby się tak uproszczone mogły rozłożyć na części i każdą część w odpowiednim zwoju mózgu umieścić. Niepodoba ci się

taka rozbiórka, uważasz, że ogół wrażenia, jakie sprawiasz, zawiera w sobie właśnie pierwiastek piękna i że nie potrzeba rozumieć, aby czuć. Jakto zaraz znać, że jesteś stara; w XX w. to tylko uważa się za piękne, co można zanalizować, pojmij to, moja droga.“

Otóż z tego, co wyżej powiedziałem, wypadaloby, że nietylko o analizę chodzi, która należy właśnie do krytyki artystycznej; ale o umiejętność dokładnego widzenia, czego wielu, skądinąd inteligentnych nawet ludzi, nie posiada do stopnia kalectwa i bynajmniej kalectwa tego w sobie nie podejrzewa. Ażeby, jak chce autorka, czuć, trzeba przedewszystkiem widzieć. Będzie to jednocześnie rozumienie w najogólniejszem znaczeniu—apercepcya, konieczna, ażeby otrzymać wrażenie od danego zjawiska, nie zaś rozumowanie czy analiza, co wkracza już w inną dziedzinę pracy intelektualnej.

A właśnie „sztuka w życiu“ dziecka ma kształcić w niem oko czyli umiejętność widzenia, a trafiając przez wzrok do uczucia i rozumu, rozwijać smak, poczucie ruchu, kształtu, barwy, dekoracyjności i wszystkiego tego, co stanowi podstawy wyrobienia estetycznego.

Jakimi drogami trafia się do wyobraźni dziecka, jakich środków używa się w tym celu, postaram się wykazać, rozbierając krytycznie wystawione w Towarzystwie Zachęty utwory najwybitniejszych w tym zakresie artystów.

*

*

*

Jest rzeczą nader znamionną, że w sprawie sztuki dla dzieci szczególnie wyróżniają się słynni karykaturzyści. Dzieje się to nie tyle dlatego, że wprowadzają oni do utworów swoich pierwiastek humorystyczny, choć i ta strona twórczości w danym wypadku nie jest do pogardzenia, ale głównie z powodu nadzwyczajnej dosadności w charakterystyce, co właśnie jest cechą zasadniczą ich talentu. Dawno już obalono mniemanie, że z pojęciem karykatura musi się łączyć koniecznie jakieś potworne wykoszlawienie kształtu naturalnego. Znakomitsi artyści współcześni w tym zakresie, prócz nielicznych, jak np. głośny obecnie we Francyi Leandre, w rysunkach swych trzymają się ściśle proporcji rzeczywistych,

a jedyną odrębnością ich koncepcyj jest to tylko, że charakteryzują jaskrawo—charakteryzują *à outrance*. U nas jeszcze, co prawda dość pospolicie, błąka się przekonanie, że dyletanci, niedouki i niedołęgi, to jest wogóle ludzie, którzy nie zdobyli tyle umiejętności malarskich, ażeby tworzyć poważne kompozycje, mogą z powodzeniem występować jako rysownicy w pismach tak zwanych humorystycznych. Przekonanie to jest błędem zarówno, jak to, że ci, którzy nie nauczyli się jeszcze pracować owocnie dla starszych, tem samem mogą z pożytkiem uszczęśliwiać dziatwę swoją nieudolną produkcją. Błąd ten, niestety, zbyt głęboko zakorzeniony, wydał jak najgorsze rezultaty w tej mierze, to znaczy, że posiadamy najsmutniejsze pod słońcem pisma humorystyczne i bardzo lichą sztukę dla dzieci.

Istota talentu humorysty, czy ściślej, przyjmując określenie francuskie, karykaturzysty, jak mówiliśmy, polega na szczególniejszej zdolności charakteryzowania. Zdolność ta znakomicie z wielu względów wyzyskana być może na korzyść sztuki przeznaczanej dla najmłodszych. Cokolwiekbądź mówią przeciwnicy modnych metod pedagogicznych, jakkolwiek z całą pewnością utrzymują, że na dziecko równie silnie podziałać może wielka sztuka mistrzów, że dzieła Michała Anioła, Rafaela, Rembrandta, Matejki równie silnych dostarczą mu wzruszeń estetycznych, jak człowiekowi dorosłemu, że wogóle może je oglądać z przyjemnością i rozumieć dokładnie, nie potrzebna więc jakaś sztuka inna, specjalna, ja jednak zachowuję swoje *votum separatum* i twierdzę, że tak nie jest bynajmniej.

Pomijam już, że i owi starsi nie zawsze umieją widzieć te rzeczy, na co d-r Volkmann, autor cytowanej już kilkakrotnie rozprawy o kształceniu oka liczne przytacza przykłady. Opowiada on między innymi, że niegdyś w Rzymie, w galeryi Doria, pragnął obejrzeć dokładniej słynny „Młyn“ Claude'a Lorrain'a — wielki krajobraz, który dziwnym zbiegiem okoliczności nazwę swoją otrzymał od drobnego, znajdującego się na nim młyna. Zamiarowi przeszkadzał jegomość, który, stanąwszy tuż przed obrazem, postacią swoją arcydzieło francuskiego mistrza zasłaniał.

— Gdzież ten młyn?—zawołał wreszcie zniecierpliwiony jegomość.

Volkmann ukazał mu go palcem, a wtedy ciekawy pan, najzupełniej już zadowolony, natychmiast opuścił stanowisko.

Jest to jeden z najpospolitszych objawów braku kultury estetycznej, przy pewnych do niej pretensjach. W galeryach europejskich spotykamy tysiącami Anglików i nie Anglików, któ-

rzy z Baedekerem w rękę sprawdzają tylko, czy dzieło z pod takiego numeru jest na miejscu.

Ale Volkmann ma inne wymowniejsze przykłady niedokładności samego widzenia: „Byłem świadkiem—opowiada on—jak we Florencyi, w galerji Uffizi, młoda wykształcona dama zobaczyła w niepokalanej w swej kobiecości, Afrodycie, postać Apolina. Gdzie ci ludzie—kończy autor rozprawy—mają oczy?”

Ja sam z własnego doświadczenia przykłady równie nieprawdopodobnych nieporozumień mógłbym mnożyć do nieskończoności. Na wystawach rzeźb i obrazów słyszy się ciągle, nawet od ludzi inteligentnych, pytania pełne rozbrajającej naiwności, a świadczące o zupełnem nieukształceniu zmysłu widzenia. Jakże można wobec tego spodziewać się, że dziecko kilkuletnie zorientuje się, dajmy na to, wśród mas skłębionego ciała w nieśmiertelnym „Sądzie ostatecznym“ lub w gigantycznej „Bitwie Grünwaldzkiej.“

Jeżeli się mówi szumnie o ogólnem wrażeniu, przypomnę, że właśnie przed ową wspaniałą „Bitwą Grünwaldzką“ spotykać zawsze można ludzi biedzących się nad tem, do kogo należy ta ręka, ów szyszak lub tamta kapa wzorzysta.

Jest to wynikiem braku wprawy w orientowaniu się wśród mnóstwa szczegółów, jest to zatracenie się w bezmiarze materiału, którego wzrok niewyćwiczony odpowiednio odrazu objąć nie jest w możności. Jest to niby podróż po bezbrzeżnych wodach oceanu bez busoli. Tak też ludzie nieprzygotowani artystycznie patrzą na przyrodę. Wielość szczegółów drugorzędnych mąci im jasność widzenia i utrudnia pracę wyodrębnienia form zasadniczych—utrudnia sprawę poznania w ogólności.

Znakomitymi pośrednikami między naturą, a takimi mniej wyrobionymi widzami są właśnie karykaturzyści. Oni to poprostu genialną nieraz intuicyą odnajdują najbardziej znamienne, zasadnicze linie przedmiotu i przez umiejętne podkreślenie ich w rysunku uproszczonym, pozbawionym wszystkich ubocznych, drugorzędnych, przypadkowych i zbytecznych rysów dają wyraz rzeczy w jej formach czystych, przez co narzucają się z niesłychaną siłą naszej wyobraźni. Jeżeli taki artysta sporządzi dla dziecka zabawkę wyobrażającą, dajmy na to, pieska, znajdzie ono w niej te rysy, po których pieska najłatwiej poznaje.

Trzeba się przyjrzeć zabawkom, wykonanym według rysunków Caran'd'Ache'a. Od najdawniejszych czasów pamiętamy wśród dziecińczych zabawek piesków mniej lub lepiej wykonanych, a bywały między nimi bardzo kosztowne z włosami, imitującymi szersść i z oczkami z paciorków. Ale była to tylko zawsze figurka tro-

chę do psa podobna, do psa jakiegokolwiek, albo do żadnego wcale z gatunków psiego rodzaju. Zabawki Caran'd'Ache'a są to dość grubo wycięte, ogólnie kilku barwami pomalowane klocki drewniane a wyobrażają już nie tylko pieska jakiegokolwiek, ale przedstawicieli najściślej określonej rasy jamników, buldogów, ratlerów, pudłów, pinczerów, foksteryerów i innych, wyobrażają zaś je tymi niesłychanie uproszczonymi kształtami w sposób tak przekonujący, że niepodobna mieć żadnych wątpliwości. Dość je porównać ze stojącymi tuż obok figurkami zwierząt, figurkami zrobionymi również przez artystów, ale przez artystów mniejszego talentu, przez mniej pewnych swoich uogólnień karykaturzystów, ażeby uwierzyć, że tego rodzaju zabawki są lepsze i bardziej pedagogiczne, im większy je robi artysta.

Powiadam — pedagogiczne, utrzymuję to słowo. Wprawdzie świat się nie zawali z tego powodu, jeżeli Jaś, wyrósłszy na Jana, nie będzie umiał odróżniać rasy psów, ale lepiej, jeżeli to będzie umiał, nauczywszy się tego w dzieciństwie z ogromną łatwością, przy zabawie, przez jaskrawą charakterystycę Caran'd'Ache'a.

Karykaturzyści swojemi nadzwyczajnymi uogólnieniami otwierają oczy na cechy przedmiotu najgłówniejsze, cechy ukryte nie tylko dla dzieci, ale wogóle dla osób, nie nawykłych do samostannego postrzegania.

Są tam jeszcze rzeczy inne na tej wystawie, objętej ogólnym tytułem „sztuka w życiu dziecka.“ Są przepyszne, odpowiadające najwyższym wymaganiom artystycznym akwaforty, akwatinty, autolitografie — dzieła, które ze względu na technikę wytworną i subtelność wykończenia, stanowić muszą radość wszystkich znawców i miłośników.

Zapyta ktoś może, dlaczego zaciągnięto tę sztukę wyrafinowaną i niezależną w swych dążeniach czysto estetycznych do jakiejś prostej roboty wychowawczej? Co może mieć wspólnego wzniecone natchnienie artystyczne z celami pedagogicznymi?

Wymowna bardzo odpowiedź na pytania powyższe tkwi w tej niezbitnej prawdzie, że sztuka do wyobraźni naszej trafia przede wszystkim przez uczucie, że zatem artysta wtedy dopiero będzie doskonale rozumiany przez widza, jeżeli nawiąże między nim a sobą mocne nici sympatyj. Twórca w dziele wyraża swoje uczucia, to jest najogólniejsze określenie sztuki. Artysta, który dzieci kocha, zaznaczy to niewątpliwie w charakterze swoich utworów i tem je ku sobie pociągnie. To się udziela. Dowody tego znaleźć można w prześlicznych obrazkach Szweda Larssona. Niezrównane to w swoim rodzaju arcydzieła sztuki malarskiej,

powstałe z wielkiej miłości dla dzieci. Była mu ona zasadniczym motywem i podniecią w twórczości, była ona jego natchnieniem.

Między innymi autor przedstawił siebie przy pracy z dzieckiem na kolanach. W obrazku tym malują się skłonności i upodobania artysty, a zarazem ton utworu, jego sentyment i nastrój wyjaśniają genezę powstania tych wszystkich wewnątrz pokojów dzieciennych, tych scenek rodzajowych, pełnych tego samego sentymentu i nastroju—scenek, których tematem są miłe, kochane z jakimś dziwnym rozrzewnieniem dzieciaki.

Jeżeli zatem na wystawie „sztuka w życiu dziecka“ spotkamy doskonale akwaforty i autolitografie takich artystów pierwszorzędnych, jak Bonnard, Carrière, Dezannay, Maurin, Osterlind, Rivière, Villon, jak utwory naszych znanych malarzy: Dąbrowy, Kamockiego, Procajłowicza, Siedleckiego i Wyczółkowskiego, to nie trzeba sobie wyobrażać, że jest to sztuka dziecienna, ale sztuka dla dzieci—wytworna, dostojna produkcya artystyczna, którą należy otaczać młode pokolenia, ażeby wyrabiać w nich smak i upodobania uszlachetniać. Nie spełni zadania tego każde dzieło, choćby najwspanialsze, jeżeli młodociana wyobraźnia dziecka nie znajdzie w niem odpowiednich do wzruszeń bodźców. Przejdzie ono obok niego obojętnie. W pewnych utworach dziecko odczuwa sympatyę artysty dla siebie i to je szczególnie interesuje; takie też właśnie utwory rozumiem pod określeniem „sztuka w życiu dziecka“ i taka sztuka naprawdę stać się może podwaliną wychowania estetycznego.

T. JAROSZYŃSKI.

SILY I ŚRODKI

naszej sceny.

I.

W chwili, kiedy to piszę, na przestrzeni całego frontonu teatru Wielkiego wre gorączkowa robota: przystapiono do odrestaurowania z zewnątrz przybytku naszej sceny. Jestto jedno z pierwszych, rozleglejszych zarządzeń nowej dyrekcji.

W dzisiejszych czasach chronicznego sceptycyzmu trudno, co prawda, odeprzeć natarczywe zestawienia, mimowoli nastreczające się od dłuższego czasu w ciągu niniejszych przeglądów. *Toute proportion gardée*, ten świeży tynk, nakładany na stare szczyby, rysy, rozpadliny w gmachu rządowym, którego mury na głowy się już ludziom sypały, przypomina trochę obecne „odnowienie państwa,” z malowaniem fasady na konstytucyjny kolor i z pruchniejącym wewnątrz od fundamentów ustrojem. „Ale nie uprzedzajmy wypadków,” jak mawiali romantycy; oprzyjmy się pokusie upatrywania złowróźbnego dla sztuki symbolu w obchodzeniu się „odnowicieli” z fryzem i z płaskorzeźbami na murach frontonu, i przyjąwszy do wiadomości akcentowane w publicznych i prywatnych wynurzeniach dyrekcji dobre chęci, przyglądajmy się, w jaki to sposób dzisiejsza administracya napełniać będzie „stare miechy nowem winem.”

Bo że tak zdaje się ona pojmować swoje zadanie, to wyraźnie wypływa z ogłoszonego przed kilku tygodniami „rozkażu dziennego” dyrekcji teatrów rządowych warszawskich. Mowa jest wprawdzie w tym dokumencie o „prawach i obowiązkach”

prezesa; bliższe jednak rozczytanie się w tej instrukcyi „dla osób pracujących w warszawskich teatrach rządowych“ wykazuje, że wyraz „obowiązki“ znalazł się tam w znaczeniu eufemizmu, który ma łagodzić przewagę, nieledwie wyłączność praw nowego zwierzchnika.

Prawa te są szerokie, bardzo szerokie. Pomijam naturalne, gospodarcze atrybucye prezesa w rozległych granicach „dozoru nad wszystkiemi osobami, zaliczonymi do teatrów rządowych;“ pomijam władzę „uwalniania na urlopy i ze służby, oraz pociągania do kar urzędników etatowych i pracowników nieetatowych,“ ale nie mogę niezwrócić uwagi na dwa ustępy „rozkazu,“ usuwające wszelkie wątpliwości co do charakteru, w jakim występuje obecna dyrekcyja.

„Kierując się wyborem *osobistym*—czytamy w jednym z tych ustępów—lub na przedstawienie *osób właściwych*, t. j. zarządzających oddzielnemi wydziałami dyrekcyi teatralnej, prezes *mianuje na służbę* artystów i pozostały personel teatralny, oraz zawiera kontrakty, angażując artystów, tak tutejszych jak i zagranicznych, na występy gościnne lub na czas dłuższy.“

A drugi punkt brzmi: „W sprawach artystycznych i scenicznych prezes *kieruje* działalnością reżyserów, baletmistrza i kapelmistrza; *wybiera według poglądu osobistego* lub po przedstawieniu przez wyżej wspomniane osoby odpowiednie do wystawienia na scenie teatrów rządowych sztuki; zatwierdza projektowane przez reżyserów i baletmistrza rozdanie ról i *ustanawia* ułożony przez tychże na zebraniach tygodniowych *repertuar bieżący*.“

To jasne—aż nadto jasne. To ponowne ześrodkowanie w jednej osobie spraw administracyi i sztuki; to mechaniczny ruch, nadany instytucyi artystyczno-literackiej za pomocą motoru biurokratycznego; to znowu urzędniczy kierunek sceny, to—słowem—wyraźny powrót do „dawnych porządków.“ Właściwie, w dzisiejszej ogólnej sytuacji nic w tem niema dziwnego: teatr raz jeszcze — i prawdopodobnie nie ostatni — odbije w pomniejszającym zwierciadle gesty „wielkiej polityki.“ Żeby zaś niczego nie brakowało do tej zdrobnionej reprodukcji, znajdziemy przy końcu „rozkazu dziennego“ *uwagę* następującą: „Na sesye repertuarowe prezes może zapraszać z prawem głosu: wybitniejszych artystów warszawskich teatrów rządowych, tudzież *osoby inne*, znane ze znajomości *sztuki dramatycznej i choreograficznej* (!) oraz muzyki. Na tych samych sesyach może być również opracowywany i repertuar ogólny na sezon następny, którego zawczasu przygotowanie powierza się *specyalnej opiece prezesa*.“

Mamy więc i „dumę doradczą,“ z wyłączeniem — i to jest najcharakterystyczniejsze — literatury. Napróżnobyśmy szukali jej w dokumencie urzędowym i nic zuamienniejszego nad te w nim ostrożne, wymijające niedomówienia przy określaniu funkcji „osób właściwych,“ lub „osób innych,“ które mają współpracować z dyrekcją. Kogo zaliczono do „osób właściwych,“ łatwo odgadnąć z dodanego im określenia „zarządzających oddzielnymi wydziałami dyrekcji:“ wymieniono tu oczywiście reżyserów. Natomiast trudniej oryentować się w definicji „osób innych,“ zwłaszcza wobec dyskretnego, ale niemniej znaczącego milczenia o kierowniku artystyczno-literackim. Okoliczność, że to milczenie przerywają zrzadka lekliwe zakulisowe szeptki, zapewniające, iż się „kogoś takiego szuka,“ nic właściwie w wytworzonej dość stanowczo sytuacji nie zmienia, już choćby tylko z uwagi na nazwę, jaką ten „ktoś“ ma, według pogłosek, nosić. Mówi się mianowicie do ucha, z wielką oględnością, nie o „kierowniku,“ tylko o „lektorze.“ Tytuł brzmi niezwyczajnie, prawie egzotycznie; przetłumaczony zaś bez żadnej dyplomacji na pospolity język rzeczywistości, oznacza po prostu jednego więcej urzędnika, którego obowiązkiem będzie czytać sztuki. Rzecz naturalna, że to musi być tak zwana „osoba inna,“ bo przecież cała „inność“ takich, z zewnątrz warszawskiego teatru powołanych pracowników, polega właśnie na tem, że oni zwykli robić to, czego się u nas w teatrze nie robi — czytają. Jakież jednak wpływ na bieg spraw artystycznych, na dźwiganie się poziomu literackiego sceny może wyrzucić taki lektor, jeżeli wybór z pośród przeczytanych przezeń utworów zawisł od „poglądu osobistego“ prezesa; jeżeli najważniejszy warunek scenicznej realizacji — obsada ról — nie przez tego jest projektowana, kto się wtajemniczył w duszę dzieła i znalazł dla niej najodpowiedniejszych odtwórców; jeżeli nie on to właśnie czuwać ma nad wcieleniem tej duszy w plastyczne kształty; jeżeli synteza wszystkich pierwiastków literackich i artystycznych, czyli to, co przedstawienie teatralne podnosi do godności dzieła sztuki, odbywać się będzie bez jego udziału, zredukowane do zszywania na próbach strzępów pamięciowych kancelaryjnym sztychem na kasowy targ?

Nie chciałbym być pomawianym o jakieś uprzedzenia i daleką jest odemnie intencja przesądzania ujemnie przyszłości; chętnie więc przyznaję, że i w państwie biurokracji wydarzają się czasem osobliwe przypadki, stawiające u steru teatralnego ludzi, którzy oryentują się w powierzonych sobie sprawach i szczerze rad będą, jeżeli taki traf przypadnie teraz właśnie scenie war-

szawskiej. W tej chwili nie mamy jeszcze pod tym względem żadnych wskazówek; trzeba zatem czekać; a tymczasem należy zaznaczyć jeden jeszcze rys, nadający jutrzejшему kierownictwu prawie zdecydowaną i wyraźną fizyognomię. Chcę mówić o wyborze reżysera, któremu tytuł „główny“ rozszerza, jak się zdaje, atrybucye po za zwykłe na tem stanowisku granice.

Jest nim, jak już wiemy, p. Kazimierz Kamiński. Mieliśmy sposobność poznać w panu Kamińskim, kilkakrotnie goszczącym w teatrach rządowych i na scenie prywatnej Maryana Gawalewicza, wirtuoza sztuki aktorskiej, doprowadzonej przezeń w szczegółach technicznych do zdumiewającego mistrzostwa. Podziwialiśmy doskonałość, z jaką w grze, uplastycznionej fotograficznie, odtwarzał „człowieka zewnętrznego;“ jego maskę, jakby w gipsie zastygłą; jego gesty, urozmaicone wrażającemi się w pamięć odruchami; jego dykcję, bogatą w tony, rytmy i akcenty naturalistyczne. Stawał przed nami zwykle w tej popisowej reprodukcji ktoś, o kim przysięgliśmy, że *tak wyglądać musi*, lecz o kim rzadko z gry p. Kamińskiego dowiadaliśmy się, *dla czego* tak mianowicie, a nie inaczej, wygląda; skąd się wzięła ta maska; czemu właściwie odpowiadają jej rysy; gdzie źródło siły, zamykającej gestykulację w pewnych określonych liniach, lub wybuchającej takimi właśnie, a nie innemi, odruchami; jaki nakaz psychiczny wywołuje te pauzy, te odchrząkiwania i powtarzania wypowiedzianych już wyrazów w dykcji, dostrojonej wprawdzie wybornie do kamertonu przeciętnej naturalności, ale nie wydobywającej zgoła nut indywidualnych. Słowem, nie widzieliśmy duszy człowieka, którego ciało, znakomicie wymodelowane, pokazywał nam p. Kamiński; oczy nasze wchłaniały ludzającą powierzchowność, pod którą nie było głębi.

Grę aktorską pogłębia uczucie i myśl; otóż próby oparcia odtwórczego procesu na uczuciu i myśli zawodziły p. Kamińskiego. Byliśmy tego świadkami wobec bohaterów Schnitzlera i Przybyszewskiego w „Bajce“ i w „Śniegu;“ patrzyliśmy na to, śledząc Mefista we fragmencie z „Fausta“ Goethego. Dwie odmiany dekadencckich melancholików wypadły w grze p. Kamińskiego ośhle i zimno; pod autobiograficzną ironią wiedeńskiego Anatola nie odezwała się nuta łagodnie uśmiechniętego liryzmu; w skupionej, jak listki czułka, wrażliwości polskiego schyłkowca nie zadrgała struna idealnej tęsknoty; za pierwszym twardem dotknięciem aktora naturalisty pierzeła gdzieś poezya obu tych postaci. Nie lepiej stało się z myślą. Mefisto p. Kamińskiego wystąpił jak so-

lista operowy, z całym przyborem teatralnego demonizmu, wystylizowanego w postawie i ruchach w sposób, który ucieszył prawdopodobnie niejednego, rozkochanego w konturach i barwach malarza, ale zdziwić musiał każdego, kto pamiętał, że w tem zwłaszcza, pierwszym spotkaniu Mefista z Faustem, poeta odsunął na ostatni plan wszelki mistyczno-szatański aparat: że Mefisto, według pierwotnego młodzieńczego pomysłu jest nie prawowiernym dyabłem starego autoramentu, ale synem ośmnastego stulecia, gardzącym „szarą teorią,” a kuszącym filozofa złocistemi owocami z zielonego drzewa życia; że to do pewnego stopnia wcielenie wydatnej u Goethego skłonności wypoczywania na nizinach powszedniości po każdym wzbiciu się na wyżyny: słowem, że to przeciwległy biegom prometejskiej Fausta natury. Tego wszystkiego nie było ani śladu w interpretacji p. Kamińskiego, z której nie Goethe, ale Gounod lub Boito przemawiał dykcją, przypominającą intonacyami i ekspresją recitativa, ilustrowane sztucznie w rysunku pozami.

I znowu zastrzedz się muszę, że przypomnienie tej wątpliwej próby nie jest jakąś jałową szykaną w charakterystyce artysty, którego talent wysoko cenię; łączy się ono bowiem z najnowszą kreacją p. Kamińskiego, inaugurującą powrót aktora na naszą scenę dramatyczną i kierownicze zabiegi „reżysera głównego.” Początek działalności jednego i drugiego uwydatnił się przy wystawieniu komedii Molnara „Dyabeł,” w kierunku, dającym do myślenia.

Objąwszy tytułową rolę w tym utworze, p. Kamiński poruszał się w samych reminiscencyach, które uderzyć musiały widzów, pamiętających dawniejszy jego w dziedzinie demonizmu eksperyment. Te same niespokojne, falujące w ustawicznych przeganiach linie; ta sama dbałość o zaakcentowanie materyalnemi szczegółami charakterystyki „piekielnego” pochodzenia bohatera (osobliwe stawianie jednej nogi, jakby kopytkiem zakończonej; zaostrome szpiczasto na podobieństwo rogów klapy od fraka; błysk czerwonego światła na twarz przy odpowiedzi na zapytanie: kim jest); ta sama chwiejność w psychologicznym rysunku figury, potęgująca jeszcze błąd autora, który, wprowadziwszy w plastycznym symbolu pierwiastek nadzmysłowy do życia powszedniego nie przetopił artyzmem tych dwóch światów w jedną harmonijną całość. W obu razach inwencja ślizgająca się po wierzchu, nie sięgająca do ideowej treści. Gdy zaś jednocześnie gorliwa praca reżysera wyteżona jest również ku doskonałości technicznej przedstawienia; gdy zajmująco pod względem efektów

teatralnych obmyślona scenerya ożywia przedewszystkiem plastycznymi wrażeniami sytuacye i akcyę utworu; gdy umiejętnie zajmuje widza, zaspokajając przytem słuchacza częściej sprawnością pamięciowego zespołu, aniżeli urokiem artystycznego nastroju; wolno wyrazić obawę: czy reżyser, przystępując do realizacyi dzieł głębszych, nie zatrzyma się na powierzchni życia, jak aktor operuje tylko na naskórku człowieka; czy, nie zawsze dając sobie radę w grze z duszą ludzką, potrafi wyczuć i na jaw wydobyć duszę poety, którego twór do życia ma powołać?

Ta zaś obawa o tyle może być usprawiedliwioną, że p. Kamiński rozmyślnie, czy też mimowoli, zdaje się być blizkim w swej reżyseryi krążącego u nas coraz częściej pojęcia o tem, co się dziś nazywa „wystawieniem utworu.“ Pojęcie to z każdym dniem więcej się materyalizuje. Zanika w niem po trochu ideowy pierwiastek, który ze słowa wyprowadzał całe światy myśli i uczuć; natomiast występuje despotycznie i zagarnia wszystko pod swoją władzę „nastroj,” wywołany barwą, światłem, dźwiękiem, a nazwany niegdyś tak trafnie przez Świętochowskiego „uciechą ludzi pierwotnych.“ Zwracałem już dawniej na tem miejscu uwagę na jednostronny wpływ w tym kierunku sztuk plastycznych—zwłaszcza malarstwa. Musiał on w końcu pchnąć inscenizacyę po pochyłości, na której lubowanie się w dekoracyi i kostiumie zaczyna w tej chwili ustępować refleksyom nad mechaniczną precyzją w urządzaniu mieszczkańskich lokalów; wszakże kwestya sufitów w pokojach i drewnianych drzwi z „prawdziwymi kłami“ obudziła niedawno prawie równie żywe zajęcie, jak dyskusya nad tem, czy p. Kamiński potrafił nadać właściwy ton jednemu z wystawionych w ostatnich czasach utworów? A przecież prawdziwym kierownikiem będzie tylko ten, kto do takiej dyskusyi nigdy nie dopuści.

Pojmuję to doskonale, że wybór wytrawnego znawcy mechanizmu teatralnego leżał najzupełniej w widokach urzędowego kierownika instytucyi. Tradycya teatrów rządowych, u nas zwłaszcza, najchętniej zawsze szukała w aktorstwie pośrednika między kancelaryą, sceną, a widownią; ono to zwykle wcielało konkretnie i dotykalnie najdostępniejszą dla władzy, realną stroną teatru; ono też skutecznie, a dyskretnie łątało luki w oficjalnej kompetencyi szychem i świecidłami tak zwanej „wystawy,” wysuwanej w realizacyi dzieła na najpierwsze plany. Nie dziw zatem, że kwintesencya aktorstwa, uosobiona w p. Kamińskim, wydała się i nowej dyrekcyi cennym, pożądanym nabytkiem; nie dziw, że owa tradycya raz jeszcze zwyciężyła. I nicbylibyśmy nie mie-

li przeciw takiemu zwyczajstwu, które niewątpliwie przyczyni się do wydoskonalenia techniki w naszych produkcjach scenicznych, gdyby w niem nie zaakcentowała się na nowo zadawniona również niechęć administracyjno-aktorskiego kierunku do wszelkiej literackiej dyrektywy. Występowała ona stale przez całe dziesiątki lat w naszych stosunkach teatralnych, bądź utajona pod dyplomatycznymi formami, bądź jawna, niekiedy nawet bez żadnych form wyzywająca, stosownie do temperamentu, urzędowego zwierzchnika; występowała zaś, jako nieodłączny od biurokratycznej psychologii antagonizm między praktycznymi czynami, wytwarzanymi przez aktorów-urzędników, a postulatami znieawidzonej ideologii, której wyobrazicielką ma być literatura ze swemi nieokreślonymi, „rewolucyjnymi“ pragnieniami. Wiemy, dokąd ten antagonizm doprowadził naszą scenę; czyżby po tej drodze chciała dalej kroczyć obecna dyrekcyja?

Odpowiedź, gdyby ją chciano dać na takie pytanie, łatwo przewidzieć. „Mieścieście przecież—mogą nam, niestety, odeprzeć—polskiego literata, znanego komedyopisarza na czele polskiej sceny i w jakimże ją stanie po roku swego kierownictwa zostawił?“ Ale jeżeli kiedy i gdzie, to teraz i tutaj nowy prezes ma pole do wykazania dobrej woli, bez wielkiego jej nawet wysiłku, bo chodzi tylko o zrozumienie: że łatwiej znaleźć dobrego aktora z talentem reżyserskim, aniżeli poważnego literata, gotowego stanąć bez zastrzeżeń na stanowisko kierownika artystycznego; że szukając, nie trzeba odtrącać ludzi, którzy do gruntownej pracy żądają niezbędnych szerokich pełnomocnictw, i nie należy przyjmować takich, którzy, zamiast stawiać warunki, zabezpieczające powagę ich stanowiska, sami poddają się ograniczeniom, podkopującym odrazu wszelki autorytet kierownika.

Tak—ale cóż się wtedy stanie ze słynnym rozkazem dziennym dyrekcyi, z ową instrukcją, określającą „prawa i obowiązki prezesa?“ Sądzę, że znów przy dobrej woli możnaby jakoś pozostać w zgodzie z instrukcją; dość tylko poprowadzić taką mniej więcej rozmowę z mianowanym już „reżyserem głównym“ i ze znalezionym ewentualnie kandydatem na kierownika artystyczno-literackiego:

— Szczerze rad jestem, panie X., że nie odmawiasz nam Panu współdziałania w podźwignięciu sceny, której pomysłność leży Panu niewątpliwie na sercu. Jako pracujący na polu literackiem, masz Pan oczywiście wszelkie tytuły do zaopiekowania się reper tuarem tak, żeby teatr warszawski nie pozwalał się nigdzie wy-

przedzać w dążeniu do osiągnięcia możliwej artystyczno-literackiej doskonałości. Jakże Pan sobie to swoje zadanie wyobraża?

— Przedewszystkiem, jako zwolennik jasnych sytuacji, zastrzedz muszę, że pojmuję to zadanie nierównie szerzej, aniżeli ono zakreślone zostało w nazwie „lektor,“ streszczającej, jak słyszę, proponowane mi obowiązki. Nikt, traktujący te obowiązki na seryo, nie weźmie na siebie jałowej pracy czytania *bez prawa wyboru, bez rękojmi, że wybór jego stanie się dla reżyserji decydującym, bez gwarancyi, że wybranemu dziełu nadadzą plastyczne kształty wskazani przezeń wykonawcy.* Tym tylko sposobem tworzyć można repertuar bieżący i kombinować rozleglejsze na przyszłość plany repertuarowe.

— Słowem, żądasz Pan władzy początkowania i kierowania, chcesz być zawiadującym częścią literacką. A pan, panie K., jak się zapatruje na czynności przywiązane do swego stanowiska?

— Z tego, co przed chwilą od pana X. usłyszałem, wnoszę, że atrybucye moje byłyby zredukowane do martwej egzekutywy. Otóż zdaje mi się, że taką egzekutywę można jednak ożywić pomysłami, których źródłem jest zawodowa znajomość sceny, przychodząca często w pomoc literackiej kompetencyi. Pomysłów tego rodzaju lekceważyć nie należy; potęgują one plastykę, niezbędną w najpoetyczniejszych, najidealniejszych tworał. Nie mogę zatem wyrzec się współdziałania w pracy nad dźwiganiem dzieła na wyżyny artystyczne. Ja, aktor, mam przy tej pracy także coś do powiedzenia i uważam, że to, co powiem, powinno mieć wagę stanowczą.

— Widzę, że stoicie panowie na dwóch przeciwległych biegunach: idealizmu i realizmu, co może wam przeszkadzać do wspólnego działania. Mógłbym wprawdzie, zmiarkowawszy wasze autonomiczne aspiracye, zapytać: „a cóż zrobicie ze mną, z waszym prezesem?“, ale nie uczynię tego, bo mam najlepsze chęci i zdaje mi się, że potrafię zużytkować je dla dobra sceny, nie sprzecząc się z panami o własny zakres władzy i o kompetencyę każdego z was. Jestem tu po to, ażeby pana, panie X., poprzeć w jego usiłowaniach podniesienia poziomu artystyczno-literackiego teatrów warszawskich; żeby panu, panie K., zapewnić materialną możność urzeczywistnienia zamierzeń literacko-artystycznych, które będą zamierzeniami nie pana X., ani pana K., lecz dyrekcji, o czem jeżeli zechcemy pamiętać, nie będziemy, jak przypuszczam, stawali sobie wzajemnie na zawadzie. Wszak w ten sposób zorganizowany jest znany wam wszystkim i słusznie za przykład stawiany teatr krakowski z Solskim i z Siedleckim; wszak podo-

bnie się urządził słynny dziś na cały świat teatr w Moskwie ze Stanisławskim i Niemirowiczem-Danczenką...

— Tak, ale...

— Przepraszam, że przerwę. Wiem, panie X., co pan chce powiedzieć. Ani w Krakowie, ani w Moskwie, niema... prezesa. To prawda. Ale gdybym też odpowiedział na to, że przy dobrej woli można i w Warszawie tak prezydować, żeby ta funkcya miała jaknajmniej cech urzędowej działalności. Bo w gruncie rzeczy na czem właściwie polega owa „urzędowość“ w prowadzeniu tu-tejszego teatru? Na zapobieganiu „nielegalnym“ kierunkom? Ależ przecie posiadamy dotąd cenzurę! A po za tem jakie czyny oficjalne mogłyby krzyżować wasze usiłowania?

— Obce ingerencje, systemat protekcyjny...

— No tak. To się zdarzało, to się prawdopodobnie zdarzać będzie; bo to jest tak nieodłączne od natury teatru, że śmiem twierdzić iż zdarzałoby się wtedy nawet, gdyby żadnego prezesa nie było. Rzecz w tem, żeby zło konieczne uczynić nieszkodliwym, bezbronem, a od tego dyplomacya, zręczność obu panów no... i moja.. Konkluduję. Nie procesujemy się o granice władzy — i niech każdy z bogaca scenę tem, co najlepiej umie. Wszakże tu chodzi nie o osobistą ambicję, tylko o podniesienie tej sceny.

Czy kto kiedykolwiek usłyszy taką rozmowę — nie wiem. Jak dotąd nie zanosi się na to. Natomiast, według „dawnej dobrej tradycyi,“ czyta się w pismach nadzwyczajne „preliminarze repertuarowe.“ Czego tam w nich niema! Szekspir, Molier, Ben Jonson, Sheridan, Beaumarchais; Angliacy, Francuzi, Niemcy, Włochy, Hiszpanie, Rosyanie, Czechy, Skandynawi, a z polskich autorów: Wyspiański, Przybyszewski, Świętochowski, Nowaczyński, Żuławski, Zapolska, Perzyński, Krzywoszewski — materiał na całe lata. Nie przywiązuję też wagi do tych zapowiedzi — za często się przez szereg lat z nimi spotykałem. Ale nie mogę pominąć drobnego na pozór, nawiasowo w nich wtrąconego zastrzeżenia, iż „niektóre z zapowiedzianych sztuk, mogą być odłożone lub cofnięte, z powodu, że na razie może nie być odpowiedniego aktora lub aktorki do objęcia roli.“ To mnie skłania do rzucenia bodaj pobieżnie okiem na personel wykonawczy, rozporządzalny obecnie na naszej scenie dramatycznej. Rzadko kiedy i z możliwą oględnością zajmowałem czytelników „Biblioteki“ charakterystyką materiału aktorskiego, trzymając się zawsze zasady, że teatr — to przedewszystkiem literatura. Skoro jednak mowa jest znowu o „przełomowej dobie“ teatru polskiego, trzeba zdać sobie sprawę z roli, jaką w niej odegrać mają siły i środki naszej sceny.

II.

„Siły i środki naszej sceny!“ Nasunęło mi się pod pióro to wyrażenie, a z niem wiele, ach, jakże wiele, wspomnień z przeszłości teatrów warszawskich! A jaka przytem wielka pokusa cofnięcia się w tę przeszłość, ujętą przed trzydziestu blisko laty w książkę pod takim samym tytułem, choćby tylko dla stwierdzenia faktu, że życie przyznało słuszość napastowanemu podówczas autorowi książki, który wtedy już przewidywał, opierając się na psychologii aktora, to, czego dziś jesteśmy świadkami. Ale tej smutnej satysfakcyi nie myślę sobie wymierzać, zwłaszcza, że do porównawczej charakterystyki dzisiejszego personelu pod innym kątem należałoby przystąpić; nie o natężeniu bowiem współczesnych talentów i zdolności wypadnie mówić, zestawiając je z dawniejszemi, ale o kierunku, w jakim się rozwijają, lub rozwijać powinny. Za długą niewolę, w jakiej aktorzy trzymali literaturę, mści się dziś literatura, stawiając ich wobec zadań, którym, przyzwyczajeni do łatwych zwycięstw w przebrzmiałym już repertuarze, nie są dziś w stanie sprostać środkami i sposobami, nastrojącymi niegdyś widownię do temperatury entuzyastycznych uniesień. W porodowych bólach nowszej twórczości poetyckiej przyszedł na świat bliźniaczo z nią zespolony nowy typ aktora, który napotkać już można na wszystkich cenniejszych scenach europejskich. Pod pewnym względem przeznaczono mu odegrać w dziejach teatru dostojniejszą może, niż dawniej, rolę; bo pisarz, zstępujący do dna duszy ludzkiej, zajmujący się przede wszystkim psychą człowieka, a często bezsilny wobec sceny, odtrącającej z bezwzględną odpornością wszelkie zagłębiania się psychologiczne, powierza się więcej niż kiedykolwiek aktorowi i na jego pomysłowości polega, ilekroć chodzi o dopowiedzenie w grze wszystkiego, co w słowie zostało niedomówionem. Ale za ten zaszczyt prawdziwego tym razem współtworzenia wymaga od aktora kultury artystycznej; wymaga i, naogół biorąc, znajduje ją. W aktorze nowego typu przekształciło się wszystko do gruntu: technika zewnętrznej charakteryzacyi, tempa, rytmy i nastroje dykeyi, plastyczne efekty gestów, sposób znajdowania się na deskach, a przede wszystkim stosunek do publiczności, układający się tak, jak gdyby ją „czwarta ściana“ oddzielała od tego, co się na scenie dzieje. Ku temu dąży się wszędzie, tylko nie w naszym teatrze, gdzie, z małym wyjątkiem, operuje się dotąd wy-

cofanemi dawno z obiegu szablonami, gdzie aktor do dziś dnia jeszcze lubi widza poklepać po brzuszku i całą grę swoją do tego gestu dostrajać. Przy ocenie zatem materiału, który teatr nasz ma w tej chwili do dyspozycji, określenie, do jakiego pokolenia artystycznego należy dany aktor, będzie poniekąd próbą jego charakterystyki.

Zacząć trzeba naturalnie od weteranów, a na czele ich postawić oczywiście Bolesława Leszczyńskiego. Zawsze ten sam. W nim

„...wszystko tak jak było
Tylko się ku starości trochę pochyliło.“

Późny wiek, co prawda, niekoniecznie mu przeszkadza, tam zwłaszcza, gdzie można „po dawnemu“ stanąć w malowniczej pozycji, rzucić z pośród obojętnie przygaszonej dykcji jakąś niespodziewaną, płomienną tyradę i jednym ruchem rzeźbiarskiej intuicji naszkicować figurę z „dobrych, minionych czasów.“ Nie służy mu pamięć? Cóż stąd! Leszczyński nigdy sobie zbyt ciężkiej z pamięcią nie robił ceremonii. Improwizacja była duszą jego gry, improwizacja, czasem niefortunnie chybia, niekiedy genialna. Nie mówcie mu o „nowych prądach.“ To wszystko furda dla aktora, mającego przeświadczenie, że jest jednym z ostatnich, może ostatnim mohikanem romantycznego *panache*. A przecież repertuar w wielkim stylu musi mieć miejsce i na takie zwroty ku romantyzmowi — więc i on tam może być potrzebny.

Trochę więcej do wymagań czasu nagina się p. Wincenty Rapacki; nie w sensie jakiejś ewolucji w jego talencie, bo tej nie widać, ale w znaczeniu pewnych przeczuc, że jednak w sztuce aktorskiej coś się zmienić musi. Takie przeczucia wyrażają się w grze p. Rapackiego łagodzeniem realistycznych jaskrawości, w których się dawniej artysta lubował. W tym kierunku dochodzi p. Rapacki do rezultatów często bardzo artystycznych, o ile chce się nad tem pomozolić. Brak tego *chcenia*, skonsolidowanego w stan twórczej woli i związanej z nią pracy—brak, nawiasem mówiąc, cechujący całą działalność naszego teatru,—powstrzymał p. Rapackiego na progu nowej sztuki, który trudno mu już chyba przestąpić.

Na punkcie martwym stanął również p. Bolesław Ładnowski, artysta ze szlachetnymi aspiracjami, ale artysta wczorajszy, który, gdyby nawet odczuwał dążenia dnia jutrzejszego, nie jest już w możności wyswobodzić się z więzów starego stylu, walczącego zawsze rozedrganą po staroświecku dykcją i zastygłą na twarzy

fizyczną ekspresją romantycznego *Weltschmerzu* z wkraczającymi zwycięzko na scenę nowoczesnymi formami kunsztu aktorskiego.

Artystą, który wydaje się najsilniej stropionym niespodziankami, jakie ze sobą te nowe formy przynoszą, jest p. Edward Wolski. Wszystko to zaskoczyło go nieprzyjemnie i widocznie spokoju mu nie daje. Jakto? skończyło się z Sardou, z Augierem, z Dumasem synem? Jakto? więc już nie można śmiać się tak lekko, niefrasobliwie, jak śmieli się Jan Aleksander Fredro, Bałucki, Lubowski, Zalewski, Przybylski; więc śmiech ma mieć teraz kąsające zęby i drapiące pazury? Takie pytania znać dziś w grze Wolskiego. Coś w niej zawsze odzywa się jakimś nieporozumieniem, lub niby zagniewaniem na mus dopasowywania się do antypatycznych kształtów. W interpretacji współczesnego repertuaru widać często rysę, przepoławiającą postać na Wolskiego takiego, jaki jest, i na Wolskiego takiego, jakim usiłuje być; po jednej stronie uciecha ze swobody, po drugiej, mocowanie się z gwałtem. Jako wynik — twór o zwątląlej harmonii artystycznej.

Na pograniczu między odchodzącą i nadchodzącą generacją spotykamy się z Mieczysławem Frenklem. Talent dużej miary, w drodze ku modernistycznym zadaniom. Wędrownica odbywa się nie bez bagażu starej tradycji (Frenkiel był najzdolniejszym uczniem krótkotrwałej szkoły Emila Derynga); ale artysta, stawiając pierwsze kroki, wiedział już, że do tego tłumoczek trzeba zabrać z sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy: czystą dykcję, umiętność grania na głosie, jak na subtelnym instrumencie, sprawność w ruchach, wymowę gestykulacji. To mu wystarczyło do dalszych studyów — Frenkiel bowiem jest jednym z niewielu u nas artystów, studyujących duszę ludzi, w których wypadło mu wcielić się. Czyni to przy pomocy inteligencji, utrzymywanej zawsze na poziomie kultury artystycznej i sentymentu, nieledwie że wstydliwie chroniącego się od taniego sentymentalizmu (myślą i uczuciem, jak to już zauważyłem, pogłębia się gra aktorska); czyni zaś to z taką dyskrecją, z taką miarą, że z tej gry występuje człowiek bez żadnej etykiety teatralnej, a stwarzający go talent nie da się zamknąć w żadnej przegrodzie aktorskiego fachu. Codzienna nomenklatura określa artystę, bądź jako aktora charakterystycznego, bądź też jako komika, a Frenkiel, grając ojca w „Demonie ziemi,” lub pieczeniara w „Edukacji Bronki,” albo robotnika w „Skowronku,” czy też Foldala w „Gabryelu Borkmanie,” odpowiada Terencyuszowskiem *homo sum...* i stwierdza wierność tej dewizie taką kreacją, jak „Cyrano de Bergerac,” w której wszystkie struny

jego bogatego talentu w pięknym kojarzą się akordzie. Na ten talent liczyć też może każdy kierownik, myślący seryo o odrodzeniu polskiej sceny.

Nie zapomnijmy o jednym jeszcze pośrednim ogniwie — o p. Wojdałowiczu. Artysta ten bywał już na tem miejscu przedmiotem obszerniejszej oceny, z powodu różnych nieudanych prób. Godzi się więc teraz zaznaczyć, że przy krytyce „falszywych apetytów“ (Szekspir, Hauptman), właściwych zresztą większości aktorów, pamiętano zawsze o tej sferze, w której p. Wojdałowicz obraca się, jak u siebie w domu. Niesłusznie byłoby jednak, biorąc za podstawę talentu tego artysty humor bardzo szczerzy, nadzwyczaj swobodny, przechodzący niekiedy w szlafrokową bezceremonialność, zacieśniać tę sferę do komedyi Fredry, Blizińskiego, do dobroduszných tatusiów i krotochwilnych wujaszków. Kto w repertuarze p. Wojdałowicza spotkał się z zaprzepaszczonym skrzypkim z „Bagienka,“ ze szcwanym fabrykantem Burgessem z „Candidy,“ ten odniósł wrażenie, że p. Wojdałowicz umie coś więcej i umie dobrze.

Panów Józefa Śliwickiego, Nowickiego i Rolanda trudno zaliczyć do rzędu „najmłodszych“ artystów, nie z racji metryki, oczywiście, ale ze względu na fizyognomię artystyczną, na której nie uwydatniły się dostateczne rysy rozwojowe. Fizyognomia ta ma u p. Śliwickiego bardzo szlachetny i sympatyczny wyraz. Artysta sumienny, kochający swoją sztukę, miłujący scenę, kocha i miłuje z pewnem roztkliwieniem w głosie dźwięcznym, podatnym do wszelkich modulacyj; w dykcji plastycznej, najchętniej poruszającej się w minorowych nutach. Czy ta chroniczna czułość jest wytworem upartego specjalizowania artysty w kategorii „amantów,“ czy też ona to właśnie narzuciła mu tę specjalność; co tu jest przyczyną, co skutkiem — to zapewne zostanie tajemnicą zakulisową. Gdy jednak widzi się na scenie w interpretacji p. Śliwickiego takie postacie jak: dekadent w sztuce „Ochłań,“ lub Łącki w „Złotem runie,“ albo Baryczka w „Esterce,“ ma się pretensję do kierownictwa, które talent artysty z tak dziwną traktowało jednostronnością.

Pan Nowicki nie pozwoli się traktować w ten sposób. Aktor do szpiku kości, gra wszystko, bo wszystkiego na deskach próbował, począwszy od „Gasparona“ w operetce aż do Kirkora w „Balladynie.“ Że zaś na wszystko patrzył okiem aktorskim i ze wszystkiego zgromadził sobie zapas efektów teatralnych, więc równie pewną nogą staje na stopniach tronu Kazimierza Wielkiego i depce „Dla szczęścia“ serce porzuconej kobiety. Taka

pewność, bądź co bądź, imponuje i wyzyskać ją można jeżeli nie zawsze na korzyść wielkiej literatury i sztuki, to niewątpliwie na pożytek aktorskiego repertuaru.

Temperament sangwinika wcielony w nerwowca—to p. Roland. Na rozpalenie tego materiału wybuchowego ma artysta głos, jak piorun, i dykcję, jak płomień; nic więc dziwnego, że gra jego bywa szeregiem eksplozji, towarzyszących wielkim pożarom; a tak mu pilno wyładować tę dynamitową siłę, że w przyspieszonym gorączkowo nagromadzeniu słów, ginie niekiedy całe mnóstwo sylab. Rozgrzesza go wielka, prawie naiwna szczerłość, z jaką się spieszy; rozgrzesza tem łatwiej, że ją odnaleźć można i w dziwnie pogłębionem, spokojnem skupieniu, kiedy przemawia przez usta anarchisty Damiana w „Pochodni.“ Trzeba tylko umieć obejrzeć ten talent z różnych stron.

Z gry panów Brydzyńskiego i Lenczewskiego bije młodość, niejednakowem jednak tętnem. (Łącząc te dwa nazwiska, chociaż jedno z nich, pana Lenczewskiego, z powodu jakiegoś nieporozumienia ubyło z listy artystów sceny warszawskiej, sądziny, że nie na długo). Młodość p. Brydzyńskiego nurtuje w nim widać głęboko i silnie; ale jakiś bardzo stanowczy charakter zdaje się trzymać ją tam na wodzy i tłumić zbyt burzliwe jej objawy. Stąd gra pełna miary, taktu, dyskrety, zdumiewająco powściągliwa i zrównoważona, otwierająca jednak w modernistycznych czysto pauzach, domyslnikach, jakby niedomówieniach, wyłot na dalekie widnokreśli, do których wyrывa się widocznie młoda dusza artysty. Wprost przeciwnie dzieje się z p. Lenczewskim. Gra jego tryska i iskrzy się fantazją, kojarzącą młodzieńczą wesołość z dojrzałą prawie ironią, odnowione w modernizmie cygaństwo, z pozą wczesnej mądrości życiowej. Dwie komedye Bernarda Shawa „Nigdy nie można wiedzieć“ i „Candida,“ obok wielu drobnych, charakterystycznych ról, gdzie p. Lenczewski zawsze dorzucił indywidualną nutę, w ciekawych kształtach pokazały talent niewątpliwy, który nie powinien rozpraszać się w przygodach aktorskiej włóczędzy.

Wzmianką o p. Wilezyńskim, nie zasługującym, aby go traktowano jako *Mädchen für Alles*, bo zdolny ten aktor dowiódł już, że potrafi być oryginalnym, nawet twórczym; o p. Owerle, przyjemnym unanciku charakterystycznym; o p. Bednarczyku, wyróżniającym się w każdej najskromniejszej rolce wyborną dykcją i pomysłową charakterystyką; wreszcie o p. Palińskim, aktorze pracowitym i pożytecznym, zakończyć można ten przegląd, z któ-

regu wynika, że personel męski o wiele ilościowo i jakościowo przewyższa szczupły zastęp talentów i zdolności kobiecych.

Nie cofam wyrażenia szczupły, boć przecie wzięwszy za nawias aktorki, które stopniowo od sceny odsuwa nieubłagany nakaz wieku, jak panie Niewiarowska, Borkowska, Micińska, lub takie, których obecność na scenie należy do grzechów dawnych dyrekcji, jak panie... (*nomina sunt odiosa*), znajdujemy się wobec kilku zaledwie artystek, skazanych na dźwiganie całkowicie i niepodzielnie repertuaru, obliczonego, jak widzieliśmy, na nielada barki.

Przed przystąpieniem do nazwisk nie podobna oprzeć się zapytaniu, czemu to przypisać, że tak szybko a niepokojąco topnieje personel kobiecy w teatrach warszawskich? Na jeden z powodów, na zanik przywiązania do własnej sceny, zwracałem już niedawno uwagę; jako wtórne przyczyny tej tęsknoty do obcych horyzontów występuje zazwyczaj gonitwa za rublem (z zawodnym zwykle rezultatem), a przede wszystkim głód nowych oklasków, osiąganym łatwo przez sprytne organizowanie „nieszkodliwego“ otoczenia. Optymiści chcieli w tem widzieć jakiś atawistyczny zwrot do koczownictwa aktorskiego, od którego datuje się początek niejednego nowożytnego teatru (Niemcy — Karolina Neuber); ja patrzyłem na mniej idealne pobudki, które, poniewierając niepoślednie często talenty w tułaczce, ciągnącej za sobą mus przystosowywania się do grubych instynktów mas niekulturalnych, podcięły nie jednej artystce skrzydła do wyższych przeznaczone lotów (Wanda Siemaszkowa). Gdy do tej manii „gwiazd“ wirowania po coraz innych niebach, dołączyła się w ostatnich czasach czysto już kabotyńska *Wille zur Macht*, żądza władzy dyrektorskiej; gdy tak zwane modnie *tournées*, koniecznie „z własną trupą,“ były stale na porządku dziennym, jakże teatr mógł marzyć o własnym stałym personelu; jakże mógł liczyć na te nawet siły, które nominalnie figurowały jako rozporządzalne? Nie liczył też na nie teatr warszawski, czując się widocznie bezsilnym (absolutnie nie wiem dlaczego), wobec tej nienormalności. Ale też ta nienormalność musiała się mścić na repertuarze.

Bo zważywszy tylko, że po postawieniu na właściwym miejscu takich „użyteczności,“ jak pani Junosza, aktorka z dobrą, czystą dykeją i z rutyną w lepszym gatunku i pani Majchrzycka, korzystnie często dopełniająca zespół, możemy brać w rachubę przy szerszych jakichś kombinacjach repertuarowych: panie Marczello-Pulińską, Lüdową, Trapszo-Krywultową, Federowiczową, Przybyłko-Potocką, Siennicką, Barszczewską i Pichor, wszystkiego ośm osób,

z pośród których właściwie należałoby wykreślić jeszcze jedną, jako wartość nieobliczalną—panią Maryą Federowiczową. Pani Marya Federowiczowa nie należy w tej chwili do składu artystów naszych teatrów; nie jestem jednak pewny czy przed ukazaniem się w druku słów niniejszych nie zostanie do tego personelu wcieloną, jak również nie wiem, czy czytelnik „Biblioteki,” po przeczytaniu tych uwag, nie dowie się, że pani Marya Federowiczowa przestała właśnie należeć do składu artystów teatrów warszawskich. Bo pani Federowiczowa jest artystką... paroksyzmami. Dziś gra i gra świetnie, jutro znika i długo o niej nie słyhać. Potem zjawia się znowu, gra znów wybornie i niespodzianie gdzieś się podziewa; wreszcie pisze sztukę, wystawia ją... u M. Gawalewicza, występując sama w roli głównej bohaterki, co bynajmniej nie znaczy, żeby grawitowała do naszego dramatu. Powiedzmy otwarcie, pani Federowiczowa nie kocha sceny; scena jest jej tylko od czasu do czasu potrzebna do wyładowania szarpiącej jej nerwy elektryczności życiowej. A szkoda! Bo to jest talent niewątpliwy, który potrafi zaprotestować przeciw krążącym o nim ogólnikom. Mówi się zwykle o pani Federowiczowej: „umie tylko płakać,” albo „Przybyszewski jest jej bardzo ograniczoną specjalnością.” Nigdy nie podzielałem tego zdania; zawsze mi się wydawało, że Przybyszewskiego grać nie łatwo; że nerwy nie wystarczyłyby artystce, gdyby głębiej, bodaj intuicyjnie nie odczuwała psychiki Inki i Heleny; co zaś do tkliwości w ślicznym głosie, pokazało się, że w skojarzeniu z wdziękiem zniewalającej kobiecości, może ona dostroić się do uczucia Desdemony, a w „Dzwonie zatopionym” nadać fizyognomię uroczej kreacyi. Powtarzam — szkoda! Pani Federowiczowa mogłaby być siłą naszej sceny. Cóż, kiedy jej nie kocha; podobno nawet zaczyna kochać scenę... Stanisławskiego! Czy jej nie zawiedzie spodziewana wzajemność?

Chciałbym nareszcie dotrzeć do jakiegoś trwalszego gruntu i znaleźć dla repertuaru stalsze jakieś podpory, ale widzę, że jeszcze nie można skończyć z eliminacją; bo jakkolwiek pani Natalia Siennicka należy obecnie do składu artystów scen rządowych, to przekonaliśmy się już niejednokrotnie, że ta przynależność nie jest dla kierownika dramatu i komedyi żadną rękojmnią. Występuje tu również nieobliczalność, tylko w innej formie. Kaprysy pani Federowiczowej mają jakąś dobroduszną niefrasobliwość i swoją miną *bon enfant* rozbrajają wszelki gniew. Fantazje pani Siennickiej występują odrazu na stopie wojennej, źródło swoje mając w ambicyi zawodowej, wobec której kierownik sceny „nie wie ani dnia, ani godziny,” kiedy wszelkie jego plany będą udaremnione,

co tem dotkliwiej daje mu się we znaki, że w pewnym kierunku talent artystki może mu oddać niezaprzeczone, ważne usługi. Do ról, określonych przez teatr francuski definicyą *des grandes coquettes* posiada pani Siennicka wszelkie warunki, zapewniające jej, jeżeli nie berło, to w każdym razie repertuarową schedę po pani Lüdowej. Interesujące rysy, szykowna postać, swoboda salonu w ruchach; głos niewielki wprawdzie, ale ładnie brzmiący i giętki w cieniowaniu; poczucie artystycznej miary w wydobywaniu z dykcji plastyki, dostarczyły artystce materiału, w którym rzeźbi bardzo zajmujące postacie. Jest w nich zawsze coś nieokreślonego, co niepokoi i podtrzymuje zainteresowanie; gdy jednak próbowała artystka podnieść ten niepokój do potęgi demonizmu (Olga w „Dla szczęścia“), zawiodły ją siły, które wogóle nie wytrzymują wysokiej temperatury dramatycznej.

I tu dopiero zwrócić się wypadnie do dwóch artystek, jakby stworzonych do tej temperatury, choć obie z różnej zdają się być ulepione gliny. Pani Helena Marczello ze swoją postawą rasowej kobiety, z surowem obliczem Junony, z głosem dźwięczącym przepysznym metalem, z ruchami, w których naprzemian falują wężowe sploty i pręży się gotowość do skoku zaczajonej lwicy — to wcielenie tragizmu. Pani Tekla Trapszo, drobna, wątła, nosząca na fizyognomii mało scenicznej cechy jakiegoś trwożliwie tajonego *Ewig-Weiblichen*, wypowiadająca prawie spokojnie, głosem kruchym, łatwo łamliwym, rzeczy, które słuchacza do głębi duszy wstrząsają, wygląda jak uosobienie bezbronnego liryzmu. A jednak, spojrzymy na obie artystki w „Lilli Wenedzie.“ Pani Marczello ma wspaniałą fizygnomię, majestatyczny gest i wysoki ton krwawej Rozy Wenedy; ale tragiczną jest pani Trapszo, jako Lilla Weneda. Różni je: patos u jednej, prostota i szczerość u drugiej. Patos pani Marczello jest sztucznie zaszczerpiony na bujnie rozrośniętym a dziczejącym już dramacie mieszczańskim; jeżeli wykwita dziwnym, niekiedy odurzającym kwiatem, to na gruncie takiego zwyrodniałego w filisterstwie tragizmu, jak „Demon ziemi;“ prostota i szczerość pani Trapszo, wypiełgnowana w Krakowie, w atmosferze artystycznej i z wyjątkowem szczęściem ustrzeżona w Warszawie, popchnęła lekliwą a wzruszającą bohaterkę „Karykatur“ ze studenckiej izdebki do pałacu werońskiego magnatów, na balkon Julii, w objęcia Romea. Gdybym się nie lękał zdradliwości wyrazu, który czasem mówi zamalo, ale częściej mówi za wiele, powiedziałbym, że pani Trapszo jest produktem szkoły krakowskiej, panią Marczello wychowała szkoła warszawska. Wynikły stąd odrębności, nie wyczerpujące oczywiście cał-

kowej charakterystyki dwóch wybitnych talentów, ale określające niewątpliwie obecny i przyszły stosunek obu artystek do bieżącego i zamierzonego repertuaru.

Nie tak łatwo ocenić ten stosunek wobec talentu pani Przybyłko-Potockiej. Znamy go niedokładnie; nie pozwoliła nam go wielostronnie poznać sama artystka, traktując prawie jako gošcinę obecność swoją na scenie warszawskiej, którą odwiedzała kilkoma nawrotami. Nie dziw, że wrażliwość widza i przedmiotowa pamięć krytyki najtrwalej zatrzymała doskonałe wizerunki bohaterek z „Ahaswerusa,“ z „Odkupienia,“ z „Bagienka,“ że kąś patrzenia na kreacje pani Przybyłko-Potockiej objął przeważnie jedną warstwę, a w niej prawie jeden typ społeczny; do rozleglejszego bowiem wejrzenia nie mogły dać pola figury w rodzaju „Pani Walewskiej“ lub starościny Kaniowskiej z „Odbijanego,“ w których szablon autorski z góry obezwładnił inicjatywę aktorską. Pani Przybyłko-Potocka zawitała na stałe do warszawskich teatrów, miejmy więc nadzieję, że bliższe zetknięcie z obiecywaną repertuarową uniwersalnością odsłoni nam niejeden jeszcze rys talentu, który zdaje się zdążyć ku rozleglejszym widnokręgom.

Horyzonty dla wytwornego artyzmu pani Lüdowej zmieniają się raczej, niż ścieśniają, na nieuniknionym punkcie zwrotnym, gdzie przyrodzoną rzeczy koleją, czas obojętny wskazuje kobiecie artystce etapy dalszej drogi. Nie wąpimy też, że szereg dojrzalszych dam, które pani Lüdowa z rzadkiem naprawdę taktem i z niezwykłym zrozumieniem swej sytuacji, rozpoczęła już wprowadzać na scenę—czy to będą pełne sceptycznej finezyi obserwatorki „wielkiego świata,“ czy doświadczone w życiu salonowem matki, ciotki, czy, jak w „Łodzi kwiatowej,“ zakonserwowane w drapieżnym estetyzmie „nadkobiety“ rozwydrzonego mieszczaństwa—nie przestanie zachwycać elegancją tonu konwersacyjnego, delikatnem ostrzem dowcipu i zawsze niepokalaną czystością dykcji, mogącą służyć za mistrzowski przykład wielu nieopierzonym dziełatkom, którym już w gnieździe szkolnem zaciasno.

Grę panny Wandy Barszczewskiej określa najtreściwiej wyrażenie: inteligencya artystyczna. Obejmuje ona wszystko: i poważne eksperymenty z tragizmem, i rozumne kompromisy z dramatem, i rozsądne wycieczki w stronę komedyi, i solidnie obmyślane twory charakterystyczne. Wszędzie ta inteligencya, wsparta wykształceniem, towarzyszy artystce sumiennej, pracowitej, świadomej zawsze czego chce i jakimi środkami aktorskimi da się osiągnąć cel zamierzony. Skończony typ aktorki potrzebnej.

Panią Bogusławską losy nie tam w teatrze popchnęły, dokąd podążała widocznie w marzeniach swoich, których ślad znaleźliśmy dawniej w poważnej wcale próbie stworzenia Ofelii. Na drodze jednak, gdzie się z konieczności znalazła, umie pracować gorliwie i z pożytkiem dla sceny.

Dopełnia tej grupy sprytna, ożywiona szczerym humorem fizyognomia aktorki, od niedawna dopiero zwracającej na siebie baczniejszą uwagę publiczności i krytyki, choć ją w ciągu sporej już ilości lat spotykano na afiszu i na scenie. Byłże w tem jakiś reżyserski grzech, ukrywający w cieniu „przez intrygę“ niezaprzeczoną zdolność? Bynajmniej. Był zgoła inny, dość powszedni przy rządach aktorskich grzech, pozwalający młodej aspirantce wspinać się wyżej, aniżeli sięgała jej zdolność. Nastąpiło zba wiennie pouczające rozczarowanie, a po niem zwrot ku właściwej sferze, w której panna Helena Pichor odnalazła się sama, i gdzie dojrzewająca w niej artystka ma już do zanotowania, wśród wielu innych, taki świetny twór, jak Mańka w „Ich czworo.“

Dobiegliśmy do końca, wypada teraz, podsumowawszy wartości artystyczne, ująć w zwężłem określeniu bilans sił aktorskich, którymi komedya i dramat będzie mógł rozporządzać w nadchodzącym wielkim sezonie. Bilans ten przedstawia bardzo pokaźnie personel męski i bardzo niewystarczająco skład kobiecy; stosunek zaś między jednym a drugim jest taki, że wymownie tłómaczy zastrzeżenie, z jakim ogłoszone zostały plany przyszłej kampanii repertuarowej. Zastrzeżenie trzeba jeszcze zaakcentować z innej strony. Nietylko bowiem o brak liczbowy chodzi, ale o brak jakościowy, przewidywany nawet przy tym dobrym materiale, który się ma pod ręką. Istotnie, spójrzmy naprzód na strzelisty rozpęd w górę zapowiadanego repertuaru, a potem na poziom artystyczny, ponad który nie umiano, czy nie chciano dźwignąć kultury aktorów; gdzie tu szukać na tym poziomie lotnej twórczości, któraby wzbijała się naprzykład na wyżyny wielkiej poezyi, szczytnego tragizmu? Czyż zdoła temu podołać dopiero co zaliczony w poczet stałych artystów sceny warszawskiej p. Józef Kotarbiński, ukształcony w literackim stylu artysta i zasłużony kierownik teatru krakowskiego, wstępujący już w okres życia, kiedy coraz trudniej donioślejsze podejmować zadania; lub nowo przyjęty p. Kna ke-Zawadzki, któremu doświadczenie aktorskie również sporą nawiązkę lat na barki rzuciło? A z pośród artystek, któraż śmiało potrafi spojrzeć w oblicze Melpomeny i na pioruny, utajone w jej źrenicy, błyskawicami własnych oczów odpowiedzieć? A komedya w wielkim stylu, ze szczytów życia ogarniająca filozoficzmem wej-

rzeniem śmiechu warte ułomności natury ludzkiej, czy znajdzie przygotowanych odtwórców, którzyby z niej w plastyce mądrość życiową wydobyć potrafili?

Takie pytania musiał już niewątpliwie stawiać sobie nowy kierownik i prawdopodobnie wysyłał po odpowiedź skłopotaną myśl aż za kordon, ku innym scenom polskim. Wątpię jednak, aby odpowiedź stamtąd mogła go pocieszyć. Artystów na miarę takich wizyj repertuarowych jest dziś w Polsce tak mało, że na palcach chyba policzyćby ich można, a tych, którzy są, strzeże wszędzie zazdrośnie czujne oko dyrektora. Jak więc poczynać sobie ma kierownik, choćby tylko na tyle przewidujący, że słynną „szkołę aplikacyjną“ za wierutny humbug uważa? Ma jedną tylko przed sobą drogę, mozolną, stromą, ciernistą, ale na pewno do celu prowadzącą: drogę przekształcania pracowicie, stopniowo delikatnymi dotknięciami artysty, posiadanego w tej chwili, wdzięcznego materiału. Czy się do tego czuje powołanym pan Kamiński; czy pójdzie tą drogą sam i czy trafi do świątyni sztuki? Zobaczymy. Że zaś w każdym razie jest to sprawa przyszłości, więc rzućmy tymczasem okiem na skąpe owoce terażniejszości.

III.

Mało zostało mi na to miejsca i niewiele go też potrzebować będą. Dwie sztuki oryginalne (nie widzę potrzeby zatrzymywać się na jednoaktówce, podpisanej ku wielkiemu zdziwieniu mojemu nazwiskiem autora „Nocy Lipcowej“) i trzy tłómaczone komedye, oto cały plon trzymiesięcznej działalności nowego kierownictwa, na którego korzyść godzi się zaznaczyć, że „komedia historyczna“ Wincentego Rapackiego „Odbijanego!“ dostała mu się w inwentarzu. Ma zresztą ten utwór wogóle inwentarskie znaczenie, bo przetrwał w spoczynku na półkach bibliotek teatralnych cały szereg reżyserów. Spoczynek był zasłużony i przerwano go niepotrzebnie. Zapewne, że awantura między starościcem Gozdżkim a starostą Kaniowskim o Bogu ducha winną kobiecie, którą rozhajdamaczony magnat wywlókł w przystępie pańskiej fanaberyi z pod ekonomskiego dachu i przez ołtarz wprowadził do pałacowych komnat, mogła nęcić dramatopisarza. Ale innego trzeba było temperamentu, żeby śmiało i głębokimi rysami rzucić na barwne tło XVIII wieku złowrogą sylwetę ukraińskiego oligarchy; inną też fantazyą musiał być ożywiony ów rozgłośny

swego czasu „rotmistrz chorągwi,“ który nie uląkł się walki z królewiałkiem w obronie uniżowanej niewiasty. Pan Rapacki sporządził to wszystko po aktorsku. Anegdotę, odpowiednio ubraną, pokrajał na sceny; powtarzające się sytuacje porywania żony i odwetów męża urozmaicał, jak się dało, dekoracyami; nie żałował strzelania, rąbaniny i zrobiła się z tego tak zwana „sztuka spektaklowa.“ Najgorzej na tym tańcu z „odbijanym“ wyszła nieszczęsna starościna, nie wiedząca co ma począć ze swoją figurą; ale ponieważ gwałtownik starszy i mało ponętny oddał ją w końcu dobrowolnie gwałtownikowi młodszemu i ładnemu jak malowanie, zapomniano przeto odrazu na widok sentymentalnej łezki starosty, że nie dla wszystkich kobiet bywał równie miękkim ów pan na Kaniowie, który, jak głosi legenda, babom kazał wlażyć na drzewa, kukać i niby kukułki celnemi strącał strzałami. Artyści grali sztukę po koleżeńsku i temu koleżeństwu pani Przybyłko-Potockiej, panów Leszczyńskiego, Kotarbińskiego i Śliwickiego zawdzięcza autor, że utwór jego korzystał z gościnności w repertuarze tutejszej sceny przez czas ściśle przyzwoitością określony.

Temat do „Hrabiny Cosel“ zaczerpnął Stanisław Kozłowski ze znanej pod tymże samym tytułem powieści Kraszewskiego; nie może tu być zatem mowy o jakimś tworze oryginalnym, do którego wypadłoby stosować wysoką skalę wymagań krytycznych. Jest się wobec przeróbki gotowego materiału, ze wszystkimi właściwościami takiej niezdecydowanej w formach produkcji i trzeba chyba poraz nie wiem już który rozpoczynać zasadniczą dyskusję nad tem: czy wogóle z powieści, gwałconej przez dramatisarza (bo powieść nigdy się dobrowolnie nie oddaje), może urodzić się zdrowe, zdolne do życia dziecko? Dyskusya taka (nawiasem mówiąc dość zwykle jałowa) wydaje mi się w danym wypadku tem zbyteczniejszą, że zapewne sam autor traktuje swoją przeróbkę, jako sztukę przeznaczoną dla „letniej publiczności;“ ponieważ zaś aforyzm, jakoby widzom trzeba było dawać co innego w lecie, co innego w zimie, tak dalece się rozpowszechnił, że stał się nareszcie pewnikiem i dla publiczności, święcie przekonanej o zależności swoich gustów od następujących po sobie pór roku, zostawmy ją więc tym sezonowym upodobaniom i zatrzymajmy się z krytyką aż do czasu, kiedy autor „Esterki,“ „Dyany“ i „Pochodni“ z siebie coś wysnuje. Na obecną chwilę wystarczy zaznaczenie, że osiłą przeróbki z Kraszewskiego jest sytuacya wytworzona przez zręczną faworytę Augusta Mocnego, która, wyłudziwszy od króla piśmienną obietnicę małżeństwa, nie chce tego do-

kumentu zwrócić modłacemu się już do innej bogini monarsze i niezwyciężonym swoim oporem zamyka za sobą wrota dożywnego w twierdzy więzienia. Dla pani Siennickiej było to wdzięczne pole do bogatych w grze modulacyj na zasadniczym tonie przebiegłości kobiecej.

Wspomniałem już, że właściwą inauguracją nowego kierownictwa było wystawienie komedii młodego węgierskiego pisarza, Franciszka Molnara p. t. „Dyabeł;“ spróbowałem również scharakteryzować pokrótce rolę aktora i reżysera, jaką w tej inauguracji odegrał p. Kazimierz Kamiński. Właściwie możnaby na tem poprzestać, bo zresztą koło postaci „dyabła,“ wiarołomstwo kreśli zwykły swój trójkąt, który przy współdziałaniu narzeczonej kochanka zamienia się na zaklęty *pentagram*. A chociaż wbrew średniowiecznemu podaniu, szatan nie tylko nie czuje się uwięzionym w tej kabalistycznej figurze, ale, przeciwnie, on to nie wypuszcza ofiar swoich poza czarnoksiężskie linie, dopóki nie spełni się tajemnica grzechu — to jednak, grzech sam niema nic nowego do powiedzenia. Że zameżna kobieta i zakochany w niej malarz walczą sami z sobą, nim ulegną pokusie, to się zdarza, może nawet częściej, niż głosi literatura; że ich pokonywa namiętność, mająca na swoje usługi własną, zawsze gotową sofistykę—to również widzieliśmy nieraz, słyszeliśmy niejednokrotnie. Nowością w sztuce Molnara jest wcielenie tej sofistyki w istotę, plastycznie z ich duszy wydzieloną i odrębnem od nich żyjącą życiem. Podobnych inkarnacyj próbowano już w ostatnich czasach, ze znacznem jednak praktycznem ułatwieniem. Chodził sobie po salinach wprowadzony przez Oskara Wilda lub Bernarda Shawa taki pan ustrojony we frak jutrzejszej mody i ciskał paradoksy, które, opisawszy w górze fajerwerkową krzywizną, padały „z tamtej strony Zła i Dobra“ i rozpałały w duszach ukryte gdzieś na nizinach ognie. Ale między tymi neo-rezonerami a otaczającym ich światem nie było właściwie żadnego przedziału; paradoks mówił tylko głośno to, co sobie naokoło po cichu szeptano. Molnar tymczasem mierzy się odważnie, chwilami zuchwale z dobrowolnie utrudnionem zadaniem, stwarza bowiem obok siebie dwa światy i zmaganie się zasad etycznych z instynktami uprzytomnia widomie, dotykalnie. Mamy niby przed oczami samych siebie i dyabła, który w nas siedzi. Sami wyglądamy dość marnie; dyabeł za to, nowożytny Mefisto we fraku i cylindrze, taki jest mądry i wszystko-wiedzący, tak dużo filozofuje o kobietach, o małżeństwie, o ludziach i o porządku świata w ogólności, że o zwycięstwie jego nikt nie wątpi. I zwycięża, popychając z okrzykiem *voilà!* arty-

stę w objęcia mężatki. Ale co właściwie w tym symbolu tryumfuje? Takiego pytania nie możnaby postawić lordowi Paradosowi, zespolonemu ze swoim środowiskiem w syntezie *amoralnej* natury ludzkiej; tu następuje się ono koniecznie wobec wyraźnej antytezy dwóch w duszy pierwiastków, zwłaszcza, że ta przeciwstawność, słabo zaakcentowana po stronie bezbronnych prawie kochanków, występuje z całą wyrazistością po stronie przeciwnej, choćby tylko w wymownej plastyce ciemnych mocy natury człowieka. Więc po prostu walka w danej sytuacji życiowej Dobra ze Złem? Molnar robi wszystko, żeby *ideowo* odjąć jej takie znaczenie, ale *formalnie* na tym właśnie postawił ją gruncie. Dyabeł jego wysila cały dowcip, żeby ofiary swoje olśnić aforyzmami o względności wszelkich nakazów etycznych i jednocześnie nie zaniedbuje purpurą ognistych na obliczu odbłasków przypominać tym, z których zrobił sobie igraszkę, że jednak on jest „z piekła rodem.“ I to rozszczepienie zamiast jedni psychologicznej i artystycznej, tembardziej dezoryentuje widza, że autor, jakby rozmyślnie, uchyla się od określania swego stosunku do podjętego tematu. Chyba, że węgierski pisarz chciał swej publiczności powiedzieć: Patrzcie, to co wam się grzechem wydaje, jest tylko przesądem, ustrojonym w szaty średniowiecznego dyabła; posłuchajcie lepiej tego, co ten dyabeł mówi: to mądrość życiowa.

Jeżeli taka była intencja, to ją autor niezgrabnie wykombinował a artyści nie wszędzie rozdzwięki złagodzili. W komedyi wiarołomstwa p. Śliwicki za mało był lekkoduchem; pani Pawińska, która już poprzednio, jako księżna Lubomirska w „Hrabinie Cosel,“ wykazała, że pracuje nad sobą, tu w roli Jolanty stwierdziła dalsze tej pracy postępy. Z wymowną prostotą modelkę gra panna Pichor.

Kiedy, przeglądając niedawno książkę J. Ernesta Charles'a o najnowszej literaturze francuskiej,¹⁾ spotkałem się z sylwetką p. E. Brioux, cięty felietonista wydał mi się złośliwym. „Dobra firma!—woła Charles.—Kupił ją Sardou od Scribego, zasilił własnym funduszem Dumas syn, a teraz eksploatuje ją Brioux, mimo opozycji Hervieu'go, który pracuje dla tej samej klienteli. Materjał wygląda dobrze, a solidny jest, gruby, trwały w użyciu, można go prac, przerabiać, nie kurczy się nigdy i zawsze jest w modzie. Po taniej cenie, która jest dewizą firmy, dostanie się tam wszystkiego: psychologii do codziennego użytku, przeciętniej

¹⁾ La littérature Française d'aujourd'hui.

moralności, bardzo przez filistrów poszukiwanej, krytyki obyczajów, dobroczynności, sądownictwa, polityki, rozwodów, oświaty i satyry społecznej. Proste to, bez smaku lub w śmiesznym guście, ale uczciwe, mocne, prawdziwe i doskonale dopasowane do tej zdrowej pospolitości francuskiej, która zabezpiecza wielkość naszego kraju.“ Na książce jest motto: *Par la liberté à la vérité, par la vérité à la liberté*; zamykając ją, odniosłem jednak wrażenie, że felietonista, nadużywszy swobody, nie dotarł do prawdy i w tem usposobieniu pozostawałem aż do przedstawienia „Chrześciszczów.“ Wraz z zapadnięciem kurtyny po trzecim, ostatnim akcie komedyi p. Brioux, zwróciłem honor p. Charles. Taki gatunek towaru zupełnie odpowiada cennikowi felietonisty. Taniósć niewątpliwa, może bez elegancyi, bez stylu; ale na cóż styl tam, gdzie chodzi o wyrób, w którym byłoby potrosze i tezy i ukrytej niby pod spodem filozofii praktycznej, dużo, dużo bulwarowego dowcipu, no i ździebełko zadowolonej z siebie melancholii, która mieszcuchowi paryskiemu daje sposobność wydeklamować z założonemi na okrągłym brzuszku rękami: *oh, la tristesse de tout cela!* Słowem historia stosunku, nieładnie przez Francuza nazwanego *collage*. Jakiś profesor botaniki, Piotr, żyje sobie z jakąś Karoliną i ma jej dosyć, bo dziewczyna, naśladowując w miłości chrześciszczę, odznaczające się podobno w tej dobie swego życia okrucieństwem, zatruwa mu każdą chwilę wypełnioną scenami egzystencyi. Traf szczęśliwy, stwierdzona niewierność, nastęrcza wprawdzie biedakowi jedyną sposobność rozplątania objęć, mocniejszych niż kajdany, ale wtedy inscenizowane sprytnie samobójstwo Karoliny, zakończone naturalnie wyratowaniem, powraca ją do gniazda chrząszczów, gdzie dalej kąsać się i ścisnąć będą. W jakim tonie grać mieli tę komedię artyści? Są tam krotoczwilne sytuacye, podniecające niby tempo gry ku farsie; ale techniczna precyzya roboty reguluje ją do prawidłowego aż do oschłości ruchu mechanizmu; jest coś jak tendencya, kryjąca niby mądrość życiową; ale chłoną ją prawie bez śladu sceny wodewilowe, snujące się na zimno. Artyści wybrali farsę i nie powstrzymali „Chrześciszczów“ od odlotu, nie dlatego, żeby koniecznie w zły ton uderzyli, tylko, że wogóle nie było w sztuce takich tonów, któreby do publiczności przemówiły, bądź wesołością, jak chcieli jedni, bądź smutkiem, jak żądali inni. Należy przecież w każdym razie ocenić pracę panów Wolskiego, Wilczyńskiego i Owerły i grę pełną życia panny Pichorówny.

Wiele wrzawy narobiono około komedyi pp. Alfreda Savoir'a i Noziere'a, p. t. „Chrzest“—doprawdy nie wiem dlaczego. Uzna-

no temat: przejście rodziny żydowskiej na łono kościoła katolickiego, za „drażliwy“ dla obu stron; mnie on się wydał poprostu nudnym, bo zamiast przyoblec się w kształty sceniczne, ilustrujące sytuacjami pewne wytyczne całej kwestyi momenty, snuje się rozwlekłe w dyskusyi, która na scenie wtedy tylko zając, nawet porwaćby mogła, gdyby autorskiem piórem kierowało ostrze głębokiej satyry lub natchnienie poety. Tak nie jest. Pod pseudonimem Savoir'a kryje się podobno Żyd z Łodzi, a paryską szminką ucharakteryzowane są warszawsko-łódzkie stosunki. I tu tkwi tajemnica słabego powodzenia sztuki w Paryżu i w Warszawie. Dla najobojętniejszego na spory religijne miasta, wypełnił p. Savoir swój utwór rozprawami wyznaniowemi; dla nas, zainteresowanych sprawą żydowską przedewszystkiem ze stanowiska społecznego, usunął zupełnie z komedyi motyw społeczny. Pozostaje jeden potężny zawsze czynnik—śmieszność, i tej nikomu nie żałował p. Savoir; tylko, że działać ona musiała inaczej w Paryżu a inaczej wygląda w Warszawie. Tam zapewne figury komedyi przedstawiały się tylko egzotycznie; tu uderza odrazu cała maskarada tych Żydów polskich, przebranych za Francuzów i wytwarza niewyraźną, więc niekorzystną dla utworu atmosferę. Komizm wprawdzie, tak lub owak ustrojony, jest zawsze komizmem, ale i temu stawiano zarzuty; gorszono się prawie oświetleniem śmieszności, padającym z wywodów żydowskich na obrzędy chrześcijańskie, zapominając, że w tem świetle nabierały właśnie plastyki takie figury Żydów, jak patrzący na wszystko pod giełdziarskim kątem bankier Blech; jak rwący się do katolicko-arystokratycznych klubów sportsman Andrzej; jak biedny, pokraczny wyrostek Lucyan, odczuwający sercem roztkliwionego chłopięcia całe brzemie swej żydowskiej brzydoty; jak próżna, żadna „wyższej“ sosyety Blechowa; wreszcie jak babcia Blech, wyatłasowana, wybrylantowana i dziękująca Bogu Izraela, że jej dał syna, za którego sprawą ona, biedna Żydówka z Frankfurtu, może teraz nosić te kosztowne atłasy i brylanty. Wszak te właśnie figury uosabiają wszystkie pobudki, ciągnące Żyda ku chrześcijaństwu lub utrzymujące go w judaizmie; wszak dla nas zwłaszcza niechyba nie może być bardziej pouczającego nad spojrzenie oko w oko takim bodźcom, wcielonym w żywych ludzi, przemawiających między sobą bez żadnej ogródki, własnym, żywym językiem. Inkryminowana autorowi postać monsignora, nie przekonywa mnie również. Być może, iż wyglądał on inaczej w tekście francuskim *ad usum* rzeczypospolitej, wojującej z Watykanem; u nas, zwłaszcza w dyskretnej, pełnej taktu grze Leszczyńskiego, arcybiskup jest

tylko wytwornym i po francusku sceptycznym wobec neofitów dostojnikiem kościoła, którego lekkie charakterowe niedomagania znajdują całkowitą przeciwwagę w podniosłości zapałów religijnych przyszłej zakonnicy, Natalii Blechówny. Nie przewidywany zatem i z góry jakby z intencją dyskredytujący sztukę jeszcze przed *premierą* skandal walczył przeciw komedii pp. Savoir'a i Noziere'a, ale szkodziły jej, jak to już wspomniałem, nudy, rzadko kiedy rozproszone błyskami trafnej obserwacji, w której zresztą dopomagał sobie często autor humorystyką „Kuryera Świątecznego“ lub „Muchy.“ A jeżeli mimo to „Chrzest“ nie zeszedł dotąd z afisza i utrzymuje do pewnego stopnia prowizoryum repertuarowe, zawdzięcza to świetnej grze artystów, wśród których na pierwszy plan wystąpili pp.: Frenkiel jako wyborny typowy giełdziejz Blech, p. Brydziński, z przedziwnym artyzmem kojarzący w postaci szkaradnego Żydką dyskretny komizm i tragiczny niemal całej rasy pierwiastek; p. Leszczyński, imponujący biskup, wreszcie młody aktor, p. Janusz, który już jako Zygmunt August w „Barbarze Radziwiłłównie“ zwrócił na siebie uwagę rzetelną i obiecującą zdolnością. W rolach kobiecych naczelne miejsce należy się paniom: Marczello-Palińskiej, trafnie utrzymującej postać Blechowej w tonie komedyowym i pani Bogusławskiej, która subtelną charakterystyką pogłębiła artystycznie postać babci.

Czy mimo to komedia liczyć może na długi żywot? Wcale się na to nie zanosi, wobec czego następuje się bardzo naturalne pytanie: co zdecydowało o zakwalifikowaniu do wystawienia słabej w rezultacie sztuki pp. Savoir'a i Noziere'a. Podobno było to pierwsze zastosowanie przez prezesa zasady „osobistego wyboru,“ postawionej w przytoczonym na początku rozkazie dziennym. Być może. I nie to mnie dziwi, ale zastanawia raczej neutralna względem tego wyboru postawa „reżysera głównego.“ Gdyby w tym fakcie miał się typowo zarysowywać przyszły stosunek przedstawiciela sztuki do zwierzchnika administracji, trzebaby seryo zadumać się nad losami dramatu i komedii na scenie warszawskiej i z mniejszą już pewnością powtórzyć: „nie uprzedzamy wypadków,“ zwłaszcza, że to zastrzeżenie jest obosiecznym, bo doświadczenie każe je z równą oględnością stosować do wszelkich na długą metę zapowiedzi repertuarowych.

IV.

Opera znalazła się dość niespodzianie w fazie przesilenia administracyjnego. Faktyczny jej kierownik, p. Aleksander Rajchman, ustąpił ze stanowiska dyrektora dramatu lirycznego i Filharmonii warszawskiej. Na rozwikłanie całego splotu stosunków gospodarczo-artystycznych w obu tych dziedzinach działalności p. Rajchmana trzeba jeszcze poczekać; czas tylko może dopomódz do przedmiotowego jej ocenienia. W tej chwili ogólnikowa charakterystyka tego kryzysu przedstawia się w dwóch bardzo wymownych faktach: przestał przewodniczyć muzyce kierownik, który nigdy z muzyką nie miał nic wspólnego; a z chwilą odejścia jego prysnęła moc legendy o niezbędności „niezastąpionego,“ „opatrnościowego“ człowieka. Następcy p. Rajchmana pod jednym względem trudne będą mieli zadanie: przyjdzie im dźwigać z upadku finansowego instytucję, którą administracja jej kierownika wprowadziła na krawędź ruiny. Miejmy nadzieję, że mniej „genialny“ zarząd sprostą temu zadaniu.

*

*

*

Tytuł obowiązuje, obowiązuje pozytywnie, ale i negatywnie. Właściwie zatem, mówiąc o „siłach i środkach naszej sceny“ wypadaloby, zamknąwszy w wyrażeniu „nasza scena“ dwa teatry, gdzie błąka się jeszcze historyczna tradycja polskiej sceny, nie rozszerzać granic tego wyrażenia i zatrzymać się u progu Teatru Małego. Ale tej tradycji coraz już ciasniej w starych murach na placu Teatralnym, wśród których zresztą coraz mniej się z nią liczą. Przyjść więc musi taka chwila, kiedy zaszczytne miano polskiej sceny ogarnie wszystkie szczerze usiłowania służenia w teatrze literaturze i sztuce, wszędzie, gdzie literatura i sztuka znajdzie sobie jakąś ostoję. I kto wie, czy taka chwila nie nadeszła już dla teatru Małego. To też, jeżeli ograniczam się teraz na stwierdzeniu takiego momentu; jeżeli poprzestaję na wyliczeniu w pobieżnej wzmiance tytułów i autorów („Piekielnica“ Tovati'a, „Simona“ Brieux'a, „Hrabianka Mizzi“ Schnitzlera), czynię to

tylko dlatego, że pragnąłbym kiedyś obszerniej ocenić, jak na to zasługuje, materyał, którym Maryan Gawalewicz operuje, zastanowić się nad różnaitością kryteryów, stosowanych do jego repertuaru zagranicą i w Warszawie, przyjrzeć się bliżej jego aktorom, traktowanym obojętnie, dopóki uwijają się pracowicie w teatrze Małym a cenionym na prawdę dopiero, gdy zaczną grać gdzieindziej. Nie wiem, kiedy mi się to uda spełnić; mam jednak dziś już wrażenie, że zawiązuje się jakaś łączność między historią a przyszłością teatru polskiego i że śledząc tę łączność w pracy M. Gawalewicza, rozpatruję w dalszym ciągu „siły i środki naszej sceny.“

W. BOGUSŁAWSKI.

PIŚMIENICTWO.

KS. JÓZEF WALKOWSKI. *Pamiętniki pisane w niewoli kołobrzeszkiej.* (Ważne źródło do historii arcybiskupa Dunina). Wydał i wstępem poprzedził ks. Tadeusz Trzcziński. Poznań, czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha, 1908. 8-o, str. XVI + 88.

Sprawy kościelne w Wielkiem Księstwie Poznańskiem już od r. 1815 zwracały szczególną uwagę rządu pruskiego. Stosunek władz państwowych do duchowieństwa katolickiego w krótkim bardzo okresie przechodził rozmaite fazy; za czasów arcybiskupa gnieźnieńskiego Ignacego Raczyńskiego opierał się na zgodzie z rządem; źródłem takiej polityki była osobista powolność i uległość Raczyńskiego oraz źle przezeń rozumiany interes Kościoła. Głośną między innymi była sprawa o przyznanie arcybiskupowi warszawskiemu godności prymasa, sprawowanej dotąd, od czasów Koncylium Konstancyeńskiego, przez arcybiskupa gnieźnieńskiego. Raczyński długo opierał się zmianom w swej hierarchicznej godności, idąc ręką w rękę z rządem pruskim, działającym w tym wypadku wyłącznie z pobudek politycznych; gdy wreszcie, po długich rokowaniach ze stolicą apostolską, prymasostwo przeniesione zostało w r. 1818 do Warszawy, Raczyński, ku powszechnemu zadwoleniu społeczeństwa poznańskiego, zrezygnował. Po nim kolejno następowali: niedołączny ks. Tymoteusz Gorzeński, zacny i wielkiej energii ks. Teofil Wolicki, wreszcie, po jego zgonie w r. 1829, ks. Marcin Dunin Sulgostowski.

Ks. Dunin, obejmując tron arcybiskupi, miał lat pięćdziesiąt sześć. Wychowaniec O. O. Jezuitów i rzymskiego Collegium Germanicum, młodo przyjął święcenia kapłańskie; wyróżniał się zdolnościami, szybko też dochodził do wyższych stopni hierarchicznych. Był najpierw kanonikiem wiślickim w diecezji krakow-

skiej, skąd po dwóch latach przeszedł na kanonię wrocławską, a niebawem gnieźnieńską; w 1815 został prałatem-kanclerzem w Gnieźnie, oprócz tego od 1824 r. kanonikiem poznańskim i prowincjonalnym radcą szkolnym regencyi poznańskiej. Na tych stanowiskach zapoznał się wszechstronnie z pruską gospodarką administracyjną oraz z brakami w ówczesnej organizacyi kościelnej w Księstwie. Już arcybiskup Wolicki zwrócił był uwagę na ks. Dunina i, upatrując w nim zdolnego administratora, pragnął jego nominacyi na sufragana, zmarł jednak nie doczekawszy konsekracyi swego protegowanego. Po śmierci Wolickiego, Dunin dn. 15 marca 1830 r. obrany został przez kapitułę arcybiskupem poznańskim. ¹⁾

Stosunki duchowieństwa z rządem w ciągu ostatnich lat piętnastu znacznie się zaostrzyły. Zabranie wielu dóbr poklasztornych na rzecz szkół protestanckich i wprowadzenie od r. 1825 specjalnego podatku kościelnego doprowadzało do częstych zatargów z władzą państwową. Arcybiskup Dunin, aby nie narażać na dotkliwszy szwank zagrożonych interesów Kościoła, ulegał początkowo wpływom berlińskim i nawet, po wybuchu powstania listopadowego w Królestwie, dał się skłonić do ogłoszenia listu pasterskiego (z d. 9 grudnia 1830 r.), w którym najostrzej potępiał „źle myślących“ burzycieli porządku państwowego i groził im karami niebieskimi i ziemskimi. Uległość metropolity poznańskiego wywołała zrozumiałe oburzenie polskiego społeczeństwa, nie zapobiegła przytem mającej za lat parę wybuchnąć poważnej scysyi z rządem z powodu sprawy małżeństw katolików z różnowiercami.

W r. 1837 arcybiskup Dunin wystosował prośbę do rządu o pozwolenie ogłoszenia w metropolii poznańskiej breve Piusa VIII z 1830 r. do biskupów nadreńskich, zabraniającego udzielania ślubów małżeńskich różnowiercom, o ile poprzednio strona niekatolicka nie zobowiąże się do wychowywania dzieci w religii katolickiej. Odpowiedź władz zredagowana była w tonie odmownym i nadzwyczaj ostrym. Wówczas arcybiskup, powołując się na orzeczenia papieskie przeciwne małżeństwom mieszanym, wydał w styczniu 1838 r. okólnik do dziekanów swej metropolii, w którym

¹⁾ Na mocy bulli Piusa VII z 14 sierpnia 1821 r. stolica arcybiskupia gnieźnieńska przeniesioną została do Poznania, z poddaniem tej metropolii biskupstwa chełmińskiego, lecz z wyłączeniem biskupstw warmińskiego i wrocławskiego.

przedstawił przebieg swych pertraktacyj z władzami i jednocześnie surowo zakazywał kapłanom udzielania małżeństw mieszanych. Rząd groźbą wytoczenia procesu usiłował zmusić arcybiskupa do cofnięcia wydanych listów pasterskich, gdy jednak Dunin postanowień swych nie odwołał, ogłoszono reskrypt ministerjalny, unieważniający okólniki zwierzchnika dyecezyi, i zarazem wszczęto przeciw Duninowi proces zaoczny. W lutym 1839 r. zapadł wyrok, skazujący arcybiskupa na złożenie urzędu i sześciomiesięczne zamknięcie w twierdzy. Przed ogłoszeniem wyroku wezwano Dunina do Berlina, rzekomo dla polubownego załatwienia zatargu, w istocie zaś dlatego, aby mieć go bliżej na oku i w razie dalszego oporu bez trudności usunąć z archidyecezyi. Nie mogąc się doczekać załatwienia sprawy w Berlinie, arcybiskup, nie zważając na rozkaz królewski, zabraniający wyjazdu, pośpieszył dn. 3 października 1819 r. do Poznania, gdzie owacyjnie został przyjęty przez ludność miejscową; atoli już nazajutrz nadszedł rozkaz uprowadzenia arcybiskupa siłą i deportowania do Kołobrzegu. O swym wywiezieniu w następujący sposób opowiadał ks. Dunin swemu kapelanowi ks. Walkowskiemu, towarzyszącemu arcybiskupowi na wygnaniu:

„... w nocy z 5-go na 6-ty października, około 3 godziny po północy, wojsko otoczyło mój pałac, a policya, wyłamawszy drzwi do pałacu z dziedzińca czyli ogrodu, naszła dom mój. Służący Lange, śpiący w przedpokoju, obudzony kołataniem policyi do drzwi górnych i pomiarkowawszy o co rzecz idzie, nie otworzył im, ale przyszedł mię obudzić i pytać się, czy ma otworzyć. Ja kazałem się wprzód ubrać po biskupiemu, to jest w rewerendę, krzyż biskupi na piersi i pierścionek i szubę kościelną, i potem dopiero wpuszczona została policya. Na jej czele był dyrektor policyi v. Minutoli, który mi powiedział i pokazał rozkaz wzięcia mię... prosił, abym się zabrał i czempredzej wyjeżdżał. Lecz ja oświadczyłem, że nie pojedę, bo tu jest moja biskupia rezydencya i moja owczarnia, której pilnować powinienem. Wówczas użyto gwałtu i wyprowadzono mię z pałacu, z jednej strony p. Minutoli, a z drugiej komisarz policyi Valentini czyli też żandarm... Wsadzono mię do powozu przed drzwiami stojącego. Do powozu wsiadł ze mną v. Minutoli, a na kozieł policyant, a w tyle za powozem dwóch żandarmów. Nadto przed i za powozem konwój z kilkudziesiąt konnych żołnierzy. Wywieziono mię około 4 godziny rano, nie przez miasto, ale przez fortecę na trakt berliński...”

Uwięzienie arcybiskupa sprawiło olbrzymie wrażenie w kraju; ¹⁾ duchowieństwo stanęło po stronie swego pasterza, konsystorz generalny poznański nakazał powszechną żałobę kościelną. „Obie dyecezye—pisze ks. Walkowski—gnieźnieńska i poznańska, okryły się żałobą. W kościołach ustała muzyka, organy, a nawet i dzwonienie, chociaż zabronione nie były, a natomiast wprowadzono tylko ciche nabożeństwo przy śpiewach żałosnym głosem ponuro odbywane i klekoty. Wielu kapłanów ołtarze, ambony i świece na ołtarzach stroili w czarne sukno lub krepe, a wszyscy odbywali wyraźne modlitwy za arcybiskupa uwięzionego. Żałoba ta nawet rozciągnęła się do osób świeckich, między któremi najznakomitsze damy w żałobne tylko przybierały się suknie, listy czarnym pieczętowano lakiem i żadnych publicznych zabaw ani balów nie odwiedzano i nie dawano.“

Rząd niechętnem okiem patrzył na tę cichą demonstrację społeczeństwa. Prezes naczelny Księstwa, głośny ze swych działań germanizacyjnych, Edward Flottwell, w odezwie do dziekanów obu dyecezyj rozkazał znieść żałobę; duchowieństwo odpowiedziało odmownie, piętnując jednocześnie postępowanie władz berliń-

1) „Gazeta powszechna augsburska“ w N-rze z d. 12 kwietnia 1838 r. podaje następującą korespondencję z Poznańskiego:

„Z Poznania zatrważające nadchodzą wiadomości. Mówią, że szlachta chce płacić arcybiskupowi Duninowi zatrzymaną teraz pensję; w Poznaniu, Gnieźnie, Inowrocławiu, Gąsawie powstałe zaburzenia często się powtarzają; w Szubinie lud chciał gwałtem zmusić proboszcza do ogłoszenia listu pasterskiego arch. Dunina. Nic pewnego o tem dotąd nie doszło; tyle tylko wiadomo, że władze miejscowe są w trwodze, rząd nabawił się ciężkiego z prowincyą kłopotu, a wojsko stoi w pogotowiu. Jeśli Nadreńcy i Westfalczycy nie sprzyjają pruskim urzędnikom, to Polacy mają jeszcze więcej wstrętu do Niemców i zniemczalych. Ponieważ zaś lud polski pojęcie religii, języka, narodowości poczytuje za jedno i w Poznaniu nawet Niemiec-katolik ma się za Polaka—przeto ograniczone głowy i ludzie źle myślący mogą łatwo użyć powszechnego uniesienia sprawą religijną do celów politycznych...“ W dalszym ciągu korespondent oblicza ilość Polaków w pułkach poznańskich i dochodzi do wniosku, iż obawy wybuchu zbrojnej ruclawki w wojsku, są płonne, ponieważ za pięću żołnierzy Niemców jest zaledwie jeden Polak; akcyja germanizacyjna w armii rozwija się pomyślnie, aczkolwiek, konkluduje korespondent, „nigdy Polaka nie przerobi się na Niemca, najwyżej na Kaszuba“ (!).

„Gazeta powszechna augsburska“ i „Gazeta powszechna lipska“ z lat 1838 — 39 podają interesujące wiadomości o przebiegu zatargu kościelnego w Poznańskim; nadto znany jest nam jeszcze rękopis, dotyczący tejże sprawy, przechowywany w Bibliotece im. Ossolińskich we Lwowie.

skich. „... Wzięcie arcybiskupa — czytamy w piśmie dziekanów poznańskich z dn. 14 listopada 1839 r., wystosowanem do Flottwella — jest pogwałceniem zasad katolickich; z ustanowienia boskiego przez stolicę apostolską wszelka władza duchowna do zbawienia wiernych jest tylko w biskupie i przez niego tylko w kapłanach; Jego usunięcie pozbawia wszystkich katolików tego, co mocą Boga nadane do zbawienia. Przeto nawet i za czasów pogańskich w czasie prześladowania, kiedy katolicy nie byli tolerowani, nie brano im pasterzy, jak dziś nam wzięto.“

Zabiegi Flottwella, mające na celu zmuszenie duchowieństwa do obioru administratora dyecezyi, spełzły na niczem wobec solidarnej opozycyi kapłanów; próby skłonienia arcybiskupa do uległości również nie doprowadziły do żadnych rezultatów. Dopiero po śmierci króla Fryderyka Wilhelma III i wstąpieniu na tron Fryderyka Wilhelma IV uwolniono Dunina i pozwolono mu objąć ponownie rządu metropolitalne (29 lipca 1840 r.). Ogłoszony niebawem list pasterski postanawiał, iż odtąd śluby małżeńskie z różnowiercami nie mogą być dawane. Tak więc sprawa małżeństw mieszanych została rozstrzygnięta narazie w duchu zasad kościoła katolickiego.

Arcybiskup Dunin w dwa lata po powrocie do Poznania zakończył tamże życie (26 grudnia 1842 r.), otoczony powszechną czcią i wdzięcznością.

Zatarg arcybiskupa Dunina, zbliżony do wielu spraw podobnych w sąsiedniej dzielnicy polskiej, dla Księstwa Poznańskiego miał doniosłe znaczenie polityczne. Pod naciskiem wzrastającej odtąd stale akcji germanizacyjnej nastąpiło zbliżenie duchowieństwa ze społeczeństwem i z obu stron zrozumiano całą doniosłość wspólnego przeciwdziałania eksterminacyjnym dążnościom rządu pruskiego.

Sprawa arcybiskupa Dunina, znana dotychczas z kilku publikacyj przeważnie niemieckich, pozyskuje w pamiętniku ks. Walkowskiego nowe nader cenne oświetlenie. Interesujące opowiadanie ks. Walkowskiego uzupełniają liczne dokumenty przytoczone w oryginale niemieckim.

W treściwej przedmowie podaje wydawca, ks. Tadeusz Trzeciński, krótki życiorys arcybiskupa, szczegóły biograficzne o autorze pamiętników, wreszcie wiadomość o rękopisach, dotyczących ks. Dunina, a przechowywanych wraz z oryginałem omówionych wyżej pamiętników w archiwum kapituły gnieźnieńskiej.

H. MOŚCICKI.

R. CENTNERSZWEROWA. *O języku Żydów w Polsce, na Litwie i Rusi*. Szkic dziejowy. Warszawa, 1907, str. 43. Księgarnia powszechna.

W treściwej, lecz nader starannie opracowanej broszurze rozpatruje autorka interesującą kwestyę języka narodowego Żydów polskich ze stanowiska dziejowego. Jest to sprawa ważna nie tylko z punktu widzenia historyi. Dzisiejszy żargon żydowski, będący właściwie spaczoną niemczyzną, znajduje wielu obrońców, którzy widzą w nim nowy jakiś język i pragną podnieść go do godności mowy narodowej. Niedorzeczność powyższych usiłowań wykazywano niejednokrotnie, podkreślano całą bezzasadność, a co najważniejsze szkodliwość fantastycznych dążeń, wrogich Żydom, a pośrednio i społeczeństwu polskiemu. Poważny argument przeciw zwolennikom żargonu wypowiada obecnie p. Centnerszwerowa, wykazując, na podstawie ścisłych dowodów źródłowych, jakim był język Żydów polskich do wieku XVII-go. Akty i dokumenty, niewątpliwiej autentyczności, stwierdzają, iż imiona, przydomki i przezwiska słowiańskie w powszechnem były użyciu wśród wyznawców Izraela, zamieszkałych w Polsce, na Litwie i Rusi. Zapiski sądowe, komentarze ksiąg rytualnych (t. zw. glossy) i t. p. niejednokrotnie zawierają cenne wskazówki, świadczące, że dla szerokiego ogółu Żydów polskich najbliższym był, poza językiem rytuału: hebrajskim—język krajowy; nawet kobiety żydowskie posługiwały się polszczyzną w stosunkach prywatnych. Dopiero później, od wieku XVII-go, z chwilą podniesienia przeciw Żydom jawnych prześladowań religijnych oraz przy wzmożeniu wpływów niemieckiego osadnictwa w Polsce, szerzyć się poczyna wzajemna nieufność ludności chrześcijańskiej i żydowskiej, powstaje niezdrowy i szkodliwy separatyzm, wyrażający się zarówno w stosunkach społeczno-ekonomicznych, jak i w sprawach codziennego obcowania. Mowa potoczna polska i białoruska Żydów polskich i ruskolitevskich stała się im już w stosunkach zewnętrznych niemal zbyt czerwoną wobec zerwania dawnej, blizkiej łączności z ogółem ludności krajowej. Żargon, sklecony z pomieszania pierwiastków niemieckich, słowiańskich i hebrajskich, wypiera coraz bardziej szeroko rozpowszechniony wśród Żydów język polski.

Wielce nauczające wywody swoje, oparte na żmudnych poszukiwaniach archiwalnych, kończy autorka stanowczem potępieniem fałszywego sentymentu nacjonalistów żydowskich, usiłują-

cych podnieść żargon do godności języka narodowego, wyraża wreszcie przekonanie, iż „nie tylko względy praktyczne i uczuciowe, brane zazwyczaj pod uwagę, ale i tradycje przeszłości dziejowej jasno wskazują Żydom polskim drogę, po której jedynie iść mogą, powinni, a tem samem pójść.“ Pozostaje wyrazić życzenie, aby te szlachetne i rozumne słowa trafiły do przekonania wszystkich naszych współobywateli wyznania mojżeszowego.

H. M.

Kronika miesięczna.

Zniesienie stanu wojennego. — Zbiory Erazma Majewskiego i sprawa Muzeum. — Dziesięciolecie Towarzystwa higienicznego.

Dnia 14 b. m. w półurzędowym *Dzienniku Warszawskim* ukazał się komunikat następujący:

„Na mocy Ukazu Najwyższego z dnia 28 września (11 października) gubernie: suwalska, łomżyńska, płocka, siedlecka, lubelska, kaliska, z wyjątkiem powiatów sieradzkiego i łęczyckiego, oraz kielecka, z wyjątkiem powiatu olkuskiego, ogłoszone są zamiast stanu wojennego w stanie ochrony wzmocnionej na 1 rok, zaś gub. radomska i warszawska — w stanie ochrony nadzwyczajnej na 6 miesięcy, przyczem generał gubernator warszawski otrzymuje co do tych dwóch gubernij prawa Głównego Naczelnika.“

Rzecz znamienita i dla chwili obecnej wielce charakterystyczna: wiadomość o zniesieniu stanu wojennego przyjęta została przez społeczeństwo z zupełną obojętnością.

Kiedy przed trzema laty (w r. 1905) przeżywaliśmy chwilę podobną, wieść o odwołaniu stanu wojennego w Królestwie Polskiem sprawiła w kraju wrażenie o wiele większe. Obudziły się wówczas nadzieje, wprawdzie krótkotrwałe i zawodne, ale bądź co bądź świadczące o tem, że społeczeństwo liczy na polepszenie warunków swego istnienia i polepszenie to wiąże ze zmianą zarządzeń administracyjnych, krępujących jego życie we wszystkich niemal dziedzinach.

Dzisiaj ani śladu takich nadziei niema. Doświadczenia ubiegłych trzech lat sprawiły, że nietylko rozwiały się wszelkie złudzenia, ale nadto zrodził się zbyt ni pesymizm w ocenie sytuacji obecnej, pesymizm, zabijający w nas całkowicie wiarę w możliwość czynienia czegokolwiek, zmierzającego ku poprawie warunków

naszego życia zbiorowego. Oczywiście, decyduje tu nastrój ogółu. Ten ostatni doszedł mianowicie najwyraźniej do wniosku, że nic się nie zmieniło, że wszystko wróciło do stanu pierwotnego, niemal do stanu z przed manifestu październikowego i że wobec tego tak samo przy stanie wojennym, jak i bez tego stanu, niemożliwa jest działalność owocna w dziedzinach najbardziej nas, jako naród, obchodzących. To przekonanie szerzy się w naszym społeczeństwie mniej więcej od roku, w ostatnich zaś miesiącach niezwykle szybko postąpiło naprzód. Ludziom, do niedawna nawet bardzo chętnym do pracy, najliteralniej opadły ręce. Takiego przygnębienia, takiej apatii, takiego odrętwienia myśli i uczuć, z jakim spotykamy się obecnie bardzo często, na każdym niemal kroku, pokolenie obecne nie znało jeszcze. Da się to porównać tylko z usposobieniem, jakie zapanowało w Polsce po upadku powstania styczniowego. Wówczas jednak było to usprawiedliwione, gdy dziś zdaje się wypływać więcej z goryczy rozczarowania, niż z istotnie doznanej klęski.

Nie chcemy twierdzić przez to bynajmniej, aby sytuacja obecna należała do pomyślnych, przeciwnie, narówni ze wszystkimi uważamy, że jest ona niepomyślna — czy jednak uprawnia to do rezygnacji i do szkodliwej zawsze dla życia społecznego bierności?

Otóż sądzimy, że nie, że każdy naród, dopóki w nim są jakiegokolwiek siły, powinien w najtrudniejszych nawet sytuacjach bronić się przed upadkiem ducha, nie dopuszczać do siebie zwątpienia i nie przeoczać drobnych nawet i nikłych, ale umożliwiających mu posuwanie się naprzód, zdobyczy, jakie w trudnej walce swojej osiągnął.

Tymczasem niewątpliwym grzechem naszym wobec chwili przeżywanej jest to właśnie, że owych drobnych zdobyczy nie widzimy i nie chcemy widzieć wcale. Nasze nadzieje, budowane zbyt nieopatrnie i nieogłędnie w chwilach ogólnego podniecenia i rozgorączkowania, rozwiały się i rozprysły, a z ich upadkiem ujrzeliśmy się ponownie jakby nad przepaścią. Pochopni do entuzjazmu, okazaliśmy się równie pochopnymi do zbyt szybkiego i zbyt daleko idącego rozczarowania.

Zapewne, zyski, jakie osiągnęliśmy z całego przewrotu rosyjskiego, są bardzo niewielkie, bądź co bądź jednak zyski te istnieją i najkrańcowszy nawet pesymista, po głębszej rozwadze, nie będzie obstawał przy tem, że wszystko jest tak, jak było, ale musi przyznać, że zmieniło się niejedno.

Wprawdzie nie zdobyliśmy rzeczy, o które chodziło nam przedewszystkiem, t. j. ani autonomii, ani na razie choćby szkol-

nictwa polskiego w całym zakresie, to jednak przyglądając się całokształtowi naszego życia, nie możemy odrzucać faktów, które wpłynęły na zmianę naszych stosunków, i to w kierunku dodatnim.

Już choćby to jedno, że prasa polska uzyskała jaką taką możliwość swobodnego omawiania kwestyj, przedtem wyjętych zupełnie z pod dyskusji publicznej, stanowi niewątpliwy krok naprzód. I takich kroków jest więcej, trzeba tylko baczniej patrzeć dokoła siebie i umiejętnie korzystać ze wszystkiego.

Czy jednak to czynimy? Oczywiście, nie brak nam jednostek, które pragnęły i umiały pracować w warunkach bez porównania gorszych, niż obecne i te jednostki pracują również dzisiaj, spełniając gorliwie swoje obowiązki na każdym polu. Szerzy atoli ogół, który chwilowo, w pierwszym okresie t. zw. ruchu wolnościowego garnał się dość chętnie do wszelkich prac kulturalnych i popierał je życzliwie, od chwili zamknięcia *Macierzy Szkolnej*, zaczął poddawać się rozgoryczeniu i tracić wiarę w możliwość i w celowość podejmowanych wysiłków. Z rozgoryczenia tego zrodził się pesymizm, stopniowo ogarniający coraz szersze koła obywatelskie i odstręczający je od czynu, a pogrążający w apatyę i gnuśność.

W takiej chwili ogólnej depresji i ogólnego wyczerpania przyszło odwołanie stanu wojennego. Nie można się wobec tego dziwić, że przyjęte ono zostało obojętnie i żadnego zgoła nie wywarło wrażenia w społeczeństwie, zmęczonem wypadkami i posiadającym już tylko chwiejne orientacje polityczne.

Stan jednak, jaki się wytworzył obecnie, nie może trwać długo. To, co jest w narodzie żywotne i twórcze, musi otrząsnąć się corychlej ze zwątpienia i, oceniając należycie sytuację, stanąć do tej pracy, jaka okaże się możliwą, a po zniesieniu stanu wojennego okaże się niewątpliwie na niejednym polu większa niż dotąd możliwość posuwania się naprzód, ku jaśniejszym dniom przyszłości.

*

*

*

Przed trzema mniej więcej laty p. Erazm Majewski, znany przyrodnik i archeolog, oświadczył gotowość złożenia znacznej sumy pieniężnej na wybudowanie w Warszawie gmachu, przeznaczono-

nego na Muzeum archeologiczne. Ofiara była uwarunkowana poparciem tej myśli przez innych. Ale czas biegł i nikt inny się nie zgłaszał. Oczywiście, suma p. Majewskiego, acz znaczna, nie mogła żadną miarą pokryć kosztów nabycia placu i wzniesienia na nim odpowiedniego budynku. Projekt więc pozostał w sferze pobożnych życzeń ludzi miłujących naukę. Powoli nawet zapomniano o nim. Jeden tylko p. Majewski pamiętał o obietnicy, danej Warszawie, a nie mogąc dopełnić jej w formie, obranej początkowo, znalazł dla niej inną, łatwiejszą do wykonania.

Przejęty pragnieniem udostępnienia szerszemu ogółowi swoich cennych i bogatych zbiorów przedhistorycznych, a korzystając z dobrej woli Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, wszedł pan Majewski w porozumienie z tą instytucją i uczynił ją opiekunką swoich zbiorów do czasu... powstania w Warszawie muzeum archeologicznego. W ten sposób Warszawa otrzymała dar hojny i ze wszech miar interesujący. Zbiory mieszczą się w jednej z dolnych sal Zachęty i stanowią jedyny w naszym kraju, dostępny dla wszystkich, materiał naukowy w dziedzinie archeologii.

Ułożone systematycznie i starannie, z całą znajomością rzeczy i z rzadkim pietyzmem, mogą one dać każdemu jeżeli nie zupełnie wystarczający, to w każdym razie dostatecznie jasny pogląd na najważniejsze epoki przedhistorycznego życia człowieka na ziemi.

Przedewszystkiem widzimy tam ciekawy zbiór eolitów, t. j. najstarszych narzędzi ludzkich. Dalej idą paleolityczne narzędzia krzemienne i odlewy zabytków rzeźby z tego okresu. Najobfitsze są zbiory, dotyczące epoki neolitycznej. Wyróżnia się tu bardzo piękny zbiór strzałek oraz ceramiki z pow. stopnickiego, gub. kieleckiej. Nadto spotykamy okazy neolityczne z porzecza Bugu, z Litwy i Rusi. Podole reprezentowane jest przez rzadkie dłutka oraz siekierki różnych typów, pochodzące ze zbiorów p. Fr. Pułaskiego. Po za okazami, wydobytymi z ziem polskich, wymienić należy okazy neolityczne, pochodzące z Francji, Anglii, Szwajcarii, Europy środkowej i Skandynawii. Wreszcie idą okazy, pochodzące z epoki brązu, oraz ciekawe wykopaliska z Nowosiółki i Jackowicy w pow. lipowieckim.

Uzupełnienie zbiorów stanowią wzory ceramiki z Hissarliku, wykopaliska pompejańskie, oraz okazy kultury etruskiej.

Wszystko to, razem wzięte, posiada wartość niepowszednią i mogłoby stanowić wcale ponętny dział w pierwszorzędnym nawet muzeum.

Niestety jednak, Warszawa nieprędko zapewne na takie muzeum się zdobędzie.

Bardzo pouczającym w tej mierze jest przebieg sprawy zapisu ś. p. Lachnickiego. Termin, wyznaczony przez zapisodawcę, dobiega końca, a magistrat strawiwszy wiele czasu na rozpatrywanie więcej i mniej niefortunnych projektów, wśród których wyróżnił się projekt uszczuplenia ogrodu Saskiego, nie zdecydował dotychczas, w jaki sposób ostatecznie może być załatwiona tak pilna i doniosła dla miasta sprawa.

Tymczasem budowa wielkiego gmachu, przeznaczonego nie tylko na muzeum sztuki, ale na pomieszczenie innych zbiorów, które w połączeniu mogłyby dać podwalinę przyszłemu muzeum krajowemu czy miejskiemu, staje się rzeczą wprost nieodzowną.

Pominąwszy zbiory p. Majewskiego, które łącznie z muzeum Choynowskiego, prędzej czy później muszą być z Zachęty usunięte, gdyż właściwe przeznaczenie tej instytucji jest zupełnie inne, kwalifikują się również do przypomnienia zbiory etnograficzne, dla których muzeum przemysłu i rolnictwa także nie jest siedzibą odpowiednią. Słusznie też zwrócono niedawno w prasie uwagę na to, że ponieważ istniejąca przy tem muzeum pracownia antropologiczna posiada własną kolekcję okazów antropologicznych, więc należałoby corychlej wszystkie te zbiory połączyć i utworzyć jedno muzeum archeologiczno-etnograficzno-antropologiczne.

Jeżeli teraz nadmienimy, że założone niedawno Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości, już gromadzi i z każdym rokiem gromadzić będzie coraz obficiejsze rozmaite cenne i rzadkie pamiątki, to łatwo dojdziemy do wniosku, że muzeum miejskie, o ileby pragnęło wszystkie te zbiory połączyć i odpowiednio pomieścić, musiałoby posiadać gmach bardzo obszerny i specjalnie na ten cel wybudowany i urządzony.

Magistrat obecny, który dotychczas jeszcze dla podniesienia kultury duchowej miasta nic nie uczynił i żadnych w tym kierunku aspiracji nie okazuje, zapewne nie zdobędzie się już na krok stanowczy w tej mierze.

Mając to na względzie i widoku, kto wie, czy nie należałoby się oświadczyć raczej za odroczeniem sprawy, pomimo jej pilności, aż do czasu wprowadzenia samorządu miejskiego, gdyż nie ulega wątpliwości, że przyszła Rada miejska różnić się będzie wielce z dzisiejszym magistratem w swoich zapatrywaniach na potrzeby miasta.

To pewna wszakże, że i dzisiaj przy dobrej woli i chęci można znaleźć w Warszawie plac odpowiedni pod muzeum, a jeżeli go mimo tylokrotnych narad nie znaleziono, to przede wszystkim dlatego, że tej dobrej woli i chęci było mało. Poszły one w zupełnie innym kierunku i uszczęśliwiły Warszawę kupnem przeznaczanego na park podmiejski lasku Młocińskiego.

*

*

*

Z powodu wystawy w Lublinie, gdzie uroczysto obchodzono dziesięciolecie Warszawskiego Towarzystwa higienicznego, w społeczeństwie naszym oceniono dokładniej może po raz pierwszy dopiero szeroką i pożyteczną działalność tej instytucji, która, nie bacząc na trudne warunki, w jakich się znajduje, (narówni zresztą z wielu innymi instytucjami u nas), wytrwale kroczy naprzód i nie ustaje w pracy, podjętej dla dobra ogólnego.

Dość powiedzieć, że po 10 latach istnienia, Towarzystwo posiada już 13 oddziałów prowincjonalnych, około 1,100 członków czynnych i tyluż zwyczajnych, opiekuje się znanymi powszechnie ogrodami dla dzieci im. E. Raua, w których to ogrodach około 400,000 dzieci rocznie oddaje się ćwiczeniom fizycznym na świeżem powietrzu, że zarządza Instytutem higieny dziecięcej bar. Lenwała, gdzie około 20,000 dzieci rocznie otrzymuje różnorodną pomoc w zakresie higieny, że wreszcie trzecia instytucja związana z Towarzystwem—*Sanatorium dla chorych piersiowych*—posiada już 200,000 rb. kapitału.

Nie wyczerpuje to jednak bynajmniej działalności Towarzystwa. Jest ona o wiele szersza, a pouczają o niej najwymowniej zdobycze, jakie osiągnęło Towarzystwo w rozmaitych dziedzinach naszego życia, wszędzie, gdzie tylko jego wpływy zdołały dotrzeć.

Zapoznał nas z tem wyczerpująco dr. Polak w artykule, zamieszczonym niedawno w *Kuryerze Warszawskim*, a całkowicie przedmiotowi temu poświęconym.

Z artykułu tego dowiadujemy się między innymi, że jedną z wybitnych, a mało znanych zasług Towarzystwa jest uruchomienie przeważnie na cele higieniczne kapitałów zapasowych miast. Gdy poprzednio uważano za podstawową zasadę gospodarki miejskiej wykazywanie oszczędności i odkładanie kapitału zapasowego

przy najzupełniejszym ignorowaniu wydatków na inwestycje, obecnie kapitałom tym zawdzięcza swoje powstanie niemało bruków, rzeźni, studni artezyjskich i plantacyj, mających pierwszorzędne znaczenie dla zdrowia mieszkańców.

Wprawdzie stwierdza dr. Polak, że w wielu przypadkach wydatkowanie funduszów tych, nie ulegające kontroli publicznej, bywa nie dość produkcyjne, to jednak uważa, że, ogólnie biorąc, postęp zaprzeczyc się nie da, a w kilku miastach sprawy posuwały się naprzód nawet o tyle, że nie zawahano się zaciągnąć pożyczki na cele higieny. Za przykład mogą tu służyć Radom i Lublin.

Pozatem kraj zawdzięcza Towarzystwu higienicznemu niejedną inicjatywę pożyteczną w zakresie budowania łaźni wzorowych dla ludu wiejskiego i miejskiego, zakładania szkółek i szpitalików, że wymienimy szkołę gminną w Klimontowie; łaźnie ludowe w Pszczelinie, Nałęczowie, Cieleśnicy, Drobinie. Po wskazówki w tym kierunku zgłaszają się obecnie do Towarzystwa nawet obywatele z dalszych stron, jak z Litwy i Rusi.

Jedną z większych zasług Towarzystwa higienicznego jest niewątpliwie zorganizowanie biura zdrojowisk i uzdrowisk krajowych. Celem tego biura jest zcentralizowanie w Towarzystwie wszystkich zabiegów, zmierzających do podniesienia i rozwoju krajowych miejscowości leczniczych, aby tem skuteczniej mogły współzawodniczyć z zagranicznymi. Wszystko to razem wzięte przyczyniło się już w niemałym stopniu do obudzenia w naszym społeczeństwie zainteresowania higieną, jako nauką zdrowia.

Jest to jednak zaledwie początek działalności, która postawiła sobie za cel zdrowotność demokratyczną, zdrowotność mas. Należy uczynić znacznie więcej, a warunki bynajmniej rozszerzeniu pracy nie sprzyjają.

„Znajdujemy się w okresie bardzo smutnym, w okresie rozczarowań i wzmożonego pesymizmu—mówi d-r Polak.—Jesteśmy nieszczęśliwsi poniekąd od dzikich, barbarzyńskich narodów, bo sfera ich pragnień i ideałów jest znacznie węższa. My tymczasem, skazani biegiem dziejów na kulturalne dążności, znajdujący piękne urządzenia narodów ościennych, bezsilnie wyciągamy ręce do tej kultury, naprężamy wszelkie struny patriotyzmu, aby poprzez własne uzdrowiska, unikając obcych, lepszych i często tańszych, bijemy głową o mur i słabe wciąż osiągamy wyniki.“

Nie poddając się jednak pesymizmowi chwili, a wybiegając myślą w przyszłość, kreśli d-r Polak w śmiałych rysach plan dal-

szej działalności Towarzystwa, która powinna się, jego zdaniem, skupić dokoła dwóch punktów zasadniczych.

Naprzód za rzecz niezbędną uważa d-r Polak powołanie do bytu Centralnego instytutu higienicznego, na którego budowę rada T-wa posiada już plac.

Gdyby społeczeństwo zdobyć się mogło na dopomożenie Towarzystwu do uskutecznienia tego zamiaru, kraj zyskałby instytucję samopomocy, obejmującą Muzeum, w którym znalazłyby się wszystkie najpotrzebniejsze urządzenia higieniczne, najnowsze wynalazki w dziedzinie zabiegów zdrowotnych, wreszcie obrazowe zestawienie higieny kraju i jego postępów, nie mniej pracownia higieniczna do rozporządzenia kraju całego, sale wykładowe i biuro higieniczne. Zyskawszy taki instytut, Towarzystwo wkroczyłoby odrazu w nową, o wiele intensywniejszą, epokę swego rozwoju.

Drugą instytucją niezbędną jest ześrodkowanie już podjętych przez T-wo usiłowań w kierunku propagandy zdrowia za pośrednictwem kółek rolniczych, a mianowicie utworzenia odpowiednich organów, przenoszących higienę pod strzechy włościańskie. Jako przykład, lub przypuszczalnie wzór, uważać tu należy zaprojektowane przez prof. Miklaszewskiego Towarzystwo „Zdrowie,“ jeszcze nie założone, ale łatwo mogące powstać w tysiącu miejscowości na całym obszarze kraju. Towarzystwo to nie żąda żadnych składek członkowskich, lecz poprzestaje na wzajemnem zobowiązaniu się członków do przestrzegania w życiu zasad higieny.

Przechodząc z kolei do działalności praktycznej członków Towarzystwa higienicznego w gminach, omawia d-r Polak projekt odnośny d-ra Weissla, który dochodzi do wniosku, że członkowie T-wa mogliby już dzisiaj wywierać wpływ korzystny, o ileby starali się o zajmowanie stanowisk pełnomocników gminnych, ławników w miasteczkach i członków dozoru szkolnego.

Wpływ ławników zwłaszcza mógłby być wistocie olbrzymi i czas wielki pomyśleć o tem, aby tą drogą, nie wymagającą nawet żadnych wysiłków znaczniejszych, poprawić coprędzej zdrowie i kulturę kraju.

W stosunkach swoich ze wsią Towarzystwo zrobiło szczęśliwie wielki krok naprzód, biorąc udział w pierwszej wystawie włościańskiej, urządzonej przed kilku laty w Miechowie. Przekonano się wówczas, że we włościanach można mieć pilnych i uważnych słuchaczy. I od tej pory, gdziekolwiek urządzano wystawy powiatowe, jak to było w Ciechanowie, Lipnie, Łowiczu, zarządy wystaw nie mogły się już nigdy obejść bez higieny, a w projektowanej wystawie rolniczo-przemysłowej w Częstochowie dział

hygieniczny podobno zajmie wyjątkowo doniosłe stanowisko i może przyczynić się do założenia wielkiego, stałego Muzeum, które w tym centralnym punkcie pielgrzymek ludu polskiego, może mieć niepospolite znaczenie kulturalne.

Jeżeli teraz, rozglądając się w działalności Towarzystwa i oceniając ją, jak na to zasługuje, uprzytomnimy sobie, że instytucja ta pozostawiona jest wyłącznie samej sobie, że władze rządowe, gdzieindziej powołane do opiekowania się inicjatywą prywatną w tym kierunku i do wspomagania jej we właściwy sposób, u nas są najzupełniej obojętne na sprawy Towarzystwa i nie tylko obojętne, ale częstokroć wykazywały wyraźną skłonność do krępowania jego swobody i zapoczątkowań śmielszych — łatwo dojdziemy do wniosku, że owoce dziesięcioletniej pracy T-wa są bezwarunkowo godne bliższej uwagi i mogą natchnąć nas nadzieją, że wytrwała propaganda zasad zdrowia wśród szerokich warstw ludności naszego kraju z roku na rok będzie wzrastała, że to, do czego dziś potrzeba jeszcze wyjątkowej ofiarności jednostek, powoli zacznie się dokonywać i wykonywać siłami zbiorowemi, że nasze gminy wiejskie i małomiejskie same będą się starały o polepszenie miejscowych warunków higienicznych, rozpoczną budowanie wzorowych szkół, łaźni ludowych, dopilnują szczepień ochronnych i od czasu do czasu sprowadzą do siebie lekarza, który w popularnym wykładzie wskaże i wyjaśni ludności zasady, których należy się trzymać, chcąc sobie zapewnić zdrowie, a tem samem możność pracy.

Nie potrzeba dowodzić, że dla kraju wszystko to posiada znaczenie doniosłe, zdrowie bowiem ludności jest podstawą dobrobytu materyalnego i kultury narodu.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Karol Estreicher.

Dnia 30 września r. b. zmarł w Krakowie ś. p. Karol Estreicher, długoletni dyrektor biblioteki Jagiellońskiej i znakomity bibliograf polski.

Zmarły pochodził ze znanej i zasłużonej rodziny. Dziad jego, Dominik, był malarzem na dworze króla Stanisława Augusta, ojciec, Alojzy, profesor uniwersytetu krakowskiego, pozostawił po sobie pamięć wybitnego przyrodnika.

Urodzony dn. 24 listopada 1827 r. w Krakowie, Karol Estreicher ukończył tam gimnazyum i odbył studia prawne, które otworzyły przed nim perspektywę kariery sędowniczej. Zamiłowanie do pracy naukowej pchnęło go jednak niedługo w kierunku innym. Kiedy w r. 1862 powołano go do Warszawy na stanowisko pomocnika bibliotekarza biblioteki publicznej i adjunkta do wykładu bibliografii, Estreicher na wezwanie to odpowiedział z całą gotowością i przyjął ofiarowane sobie skromne stanowisko, z zapalem podejmując pracę w dziedzinie, dotąd mało w Polsce uprawianej.

Uzyskawszy w r. 1867 od warszawskiej Szkoły Głównej stopień naukowy d-ra filozofii za rozprawę na temat „Günter Zainer i Świętopełk Fiol,” Estreicher poświęcał niemal cały swój czas

pomnikowemu dziełu, które zamierzył stworzyć. Dziełem tem miała być *Bibliografia polska*.

Jakie pobudki zrodziły tę pracę i jakie ideały towarzyszyły jej wykonaniu, o tem mówi najlepiej przedmowa, poprzedzająca VIII tom wielkiego wydawnictwa, które zjednało Estreicherowi jedno z najtrwalszych imion w dziejach piśmiennictwa polskiego.

Czytamy tam między innymi, co następuje:

„Do niedawna Niemcy wyobrażali sobie, że nasza literatura to Słowacki, Mickiewicz i Krasiński. O tych trzech wyższa od literatury Serbów lub Kaszubów. Po wydaniu przezemnie Bibliografii, wyrzekł otwarcie Petzholdt, że nawet nie przeczuwał ogromu materiału literackiego polskiego. Możemy zatem teraz powiedzieć tym, którzy rozmyślnie czy nierozmyślnie odmawiają nam udziału przy wielkim bankiecie umysłowości wielkich narodów: oto macie liczby, porównajcie je ze swojemi. Kto był silniejszy przed laty, kto przodował przez ciąg stuleci? Kto tak żyje, tak dziś jeszcze rozrasta się w ciasnocie swej, ciemnicy, skrepowaniu, zakneblowaniu—ten nie umrze...“

Znaczną część swojej pracy wykonał Estreicher w Warszawie i tu pragnął rozpocząć jej druk. Niestety jednak stanęło temu na przeszkodzie rozporządzenie ówczesnego kuratora warszawskiego okręgu naukowego, Wittego, który oświadczył, że dzieła drukować nie pozwoli. Jednocześnie zawiadomiono Estreichera, jako wykładającego bibliografię, że wszyscy profesorowie Szkoły Głównej, którzy zechcą utrzymać się na zajmowanych przez siebie katedrach, winni osiąść język rosyjski w tym stopniu, ażeby mogli po rosyjsku wykładać.

Zbieg tych dwóch okoliczności zmusił Estreichera do opuszczenia Warszawy. W roku 1868 przeniósł się z powrotem do Krakowa i tam niebawem zajął stanowisko Dyrektora biblioteki Jagiellońskiej, oddając się już bez żadnych przeszkód gromadzeniu materiałów do coraz to dalszych i dalszych tomów Bibliografii.

Dziś, kiedy ogrom tej pracy ogarniemy okiem, trudno dać wiarę, że dokonał tego jeden człowiek. A przecież człowiek ten nie tylko trawił długie godziny nad rozpatrywaniem i badaniem starych druków polskich, nad ich klasyfikowaniem i oceną, ale umiał być jednocześnie uprzejmym dla każdego przewodnikiem po bibliotece i doradcą, a nadto wolno od zajęć chwile poświęcał studjom w innych kierunkach. Zajmował go zwłaszcza teatr,

do którego historii w Polsce zgromadził niezwykle cenne i bogate materiały.

Opatrzność, używając mu lat sędziwych, zdawała się czuwać nad tem, aby praca, wymagająca wielu wysiłków i długiego czasu, mogła być doprowadzona do końca przez tego, kto ją rozpoczął. Jakoż tak się stało. Estreicher zamknął swoje pomnikowe dzieło na granicy wieku ubiegłego z obecnym, pozostawiając dla następców swoich tylko drogę otwartą w przyszłość, a zatrzymując przy sobie wyłączną niemal zasługę zbadania i uporządkowania dorobku duchowego narodu w przeszłości. Cześć jego pamięci!

ś. p. Witold Załęski.

Świat naukowy warszawski poniósł stratę przez śmierć jednego z najstarszych swoich przedstawicieli.

Dnia 16 b. m. zmarł ś. p. prof. Witold Załęski, zasłużony pracownik na niwie badań ekonomicznych i statystycznych.

Urodzony w r. 1836 w Warszawie, do szkół uczęszczał Załęski w Wilnie, poczem studia uniwersyteckie odbywał w Dorpacie, gdzie uzyskał stopień magistra nauk dyplomatycznych.

Powróciwszy do Warszawy, został nauczycielem historii powszechnej i geografii w jednym z gimnazyów ówczesnych. Ze stanowiska tego Szkoła Główna powołała go na docenta ekonomii politycznej i statystyki. Po przemianowaniu Szkoły Głównej na uniwersytet, przedstawiono Załęskiego, jako kandydata na katedrę prawa międzynarodowego, władze jednak kandydatury tej nie zatwierdziły, wobec czego młody docent musiał ustąpić.

W r. 1873 Załęski został nauczycielem w szkole handlowej Kronenberga i przez szereg lat wykładał tam statystykę, pracując jednocześnie w magistracie, jako kierownik Sekcji statystycznej. Stanowisko to pozwoliło mu pracować w dalszym ciągu na polu naukowym i zasilać ubogie piśmiennictwo polskie cennymi pracami z dziedziny ekonomiczno-społecznej.

Poza rozprawą akademicką na temat „Die völkerrechtliche Bedeutung der Kongresse“ (Dorpat 1874), do ważniejszych prac Załęskiego, nie licząc artykułów i rozpraw, zamieszczonych rozmaitemi czasami w naszej *Bibliotece*, w *Ekonomiście* i w *Encyklopedyi rolniczej*, należą: „O filozofii krytycznej Kanta w zastosowa-

niu do nauki prawa," „O stosunku ekonomii do nauki prawa," „O stosunku ekonomii politycznej do moralności prawa i statystyki," „Rys statystyki porównawczej m. Warszawy," „Statystyka porównawcza miast Królestwa Polskiego" (obejmuje ludność i stosunki ekonomiczne w r. 1876), „Teorya statystyki w zarysie," „Zasady ekonomiki, nauki gospodarstwa narodowego," „Królestwo Polskie pod względem statystycznym," wreszcie wielkie, trzytomowe dzieło, obejmujące wyniki pierwszego w Warszawie spisu jednodniowego, dokonanego w r. 1882.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII, TOWARZYSTW I INSTYTUCYJ NAUKOWYCH.

— AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE ogłasza konkurs na dwa stypendya im. bl. p. Henryka Wohla. Stypendya wynoszą po 900 koron rocznie i będą wypłacane w dwu ratach, z początkiem zimowego i letniego półrocza każdego roku szkolnego.

Petenci powinni wykazać, że są albo pochodzenia włościańskiego, a to z Galicyi zachodniej, lub Królestwa Polskiego, lub że są Polakami wyznania mojżeszowego i stałymi mieszkańcami Galicyi zachodniej, lub Królestwa Polskiego. Jedno stypendyum musi zawsze przyspaść dla petenta pochodzenia włościańskiego, a drugie dla petenta wyznania mojżeszowego.

Nadto petenci winni wykazać, że są zapisani na jeden z uniwersytetów galicyskich lub na uniwersytet warszawski, lub też na inny jakiś uniwersytet, znajdujący się w granicach dawnej Polski i że się specjalnie poświęcają studjom nad językiem polskim, literaturą polską lub historią polską; przy czem przez historję polską należy także rozumieć studia nad historją prawa polskiego i stosunków wewnętrznych dawnej Rzeczypospolitej polskiej.

Kandydat, który uzyska stypendyum, będzie obowiązany przed pobraniem następnej raty przedstawić świadectwa kolokwialne, albo inne, im równoznaczne, uniwersyteckie świadectwa z dobrym postępem. Kandydat, który stypendyum uzyskał, może je zachować przez cały przeciąg studiów uniwersyteckich, oraz, o ile zamierza zdawać doktorat, przez dwa lata jeszcze po normalnem ich ukończeniu, o ile jednak w tym czasie nie uzyskał posady z pensją co najmniej równającą się rocznej kwocie stypendyalnej.

O przedłużeniu na przeciąg dwu lat po uzyskaniu absolutoryum należy wnieść osobne podanie i załączyć do niego poparcie tego lub tych profesorów, pod których kierunkiem kandydat studia swoje odbywał. Podania zaopatrzone: a) w metrykę chrztu (ewent.), b) świadectwo ubóstwa, c) świadectwo

przynależności, d) dowody uczęszczania na uniwersytet i e) świadectwa kolo-kwialne albo inne, im równoznaczne świadectwa uniwersyteckie z dobrym po-
stępem — należy wnosić do zarządu Akademii umiejętności do dnia 20 paź-
dziernika r. b.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Dnia 1 października r. b. odbyło się szóste posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego Towa-
rzystwa Naukowego Warszawskiego. Przedstawiono komunikaty następujące:

1-o p. J. Sosnowskiego: „Studia porównawcze nad pobudliwością.“

2-o p. Z. Weyberga: „O glinokrzemianach“ i

3-o p. L. Silbersteina: „O powierzchniach nieciągłości w półprzewodnikach.“

W dniu 7 października r. b. Wydział języka i literatury polskiej Towa-
rzystwa Naukowego Warszawskiego odbył miesięczne posiedzenie, na którym
członek Towarzystwa Bronisław Chlebowski odczytał pracę: „Geneza i artyzm
„Przedświtu.“

N O W E K S I A Ż K I.

— HEDVIGE: VISION D'ITALIE. SENSATIONS SLAVES. (Florence 1908 r.).
Niedawno ukazała się książka pod powyższym tytułem. Autorka jej,
pisząca pod pseudonimem: „Hedvige,“ po raz pierwszy zabiera w niej głos i za-
wiera znajomość z czytelnikami.

Tytuł sam mówi za siebie—nie jest to suchy i monotony opis podróży,
ani nomenklatura widzianych miejscowości—jestto wiązanka wrażeń estetycz-
nych, barwnych opisów przyrody, trafnie nakreślone charaktery ludzkie i spo-
strzeżenia życiowe, wreszcie duża doza wspomnień osobistych.

Dziwnem może się zdawać na pierwszy rzut oka, że Polka używa języ-
ka francuskiego dla wyrażenia swoich myśli; autorka usprawiedliwia się z tego
we wstępie dając za powód wychowanie, otrzymane we Francji i łatwość, z jaką
władza tym językiem. I rzeczywiście styl jej nie pozostawiałby nic do życzenia,
gdyby nie spotykane w niektórych miejscach zbyt długie okresy, szczególnie
w ustępach, poświęconych osobistym wspomnieniom, gdzie własne „ja“ zajmuje
dominujące miejsce i każe autorce zapomnieć o całym świecie.

Mimo tych drobnych usterek, które tylko z obowiązku sprawozdawcze-
go zaznaczamy, „Vision d'Italie“ czyta się z wielkiem zajęciem — ukazując
czytelnikowi barwne i urozmaicone obrazy, które robią rzeczywiście wrażenie
miłej, uroczej i podniosłej „wizyi.“

Prawdziwą ozdobą książki jest zamieszczony na początku „Prélude,“
w którym autorka daje nam trafną i głęboką charakterystykę sławnego po-
mnika Lorenza Medici—t. zw. „Il Pensieroso,“ gdzie się tak wspaniale wypo-
wiedział geniusz Michała Anioła i z takim mistrzostwem zaklął w marmur
duszę najszlachetniejszego z Medyceuszów.

Po tym krótkim „Prléude“ — autorka prowadzi czytelnika przez całe Włochy, a jako światły i artystycznie wykształcony *cicerone* darzy go trafnymi spostrzeżeniami i subtelnym sądem o dziełach sztuki.

Pobyty w Neapolu, znajomość z Kruszelnicą, to bardziej osobiste wspomnienia, szczegóły z codziennego życia autorki. Więcej są interesujące dla czytelnika żywe i barwne opisy malowniczej okolicy czarownego Amalfi, a także z wielkim talentem oddany typ „siostry Antoniny“ i charakterystyka życia klasztornego we Włoszech.

Nastrój pobytu we Florencji dziwnie melancholiczny, autorka ciągle się zwraca do dawnych wspomnień, przeplata opowiadanie uwagami, zaczerpniętymi zapewne z życiowego doświadczenia, ale chwilami bywa niezrozumiałą i zbyt często powraca myślą do własnej przeszłości, nieznanej czytelnikowi.

Pełen entuzjazmu jest rozbiór obrazów Andrea del Sarto i piękne w końcu książki rozdziały, poświęcone ukochanej przez autorkę Toskanii. W krótkiej sprawozdawczej notatce trudno streścić tak obszerną książkę i tak pełną różnorodnych wspomnień; poprzestajemy więc na zaznaczeniu, że „Vision d'Italie“ jest dziełem, świadczącym o dużej kulturze estetycznej autorki, a wobec ładnej formy i barwnego stylu jest książką godną polecenia dla ogółu i zasługującą na baczność uwagę wytrawnych znawców i arbitrów sztuki.

H. P.

— LEON PINIŃSKI. *Przechadzka po Muzeach Madryckich, z 38 ilustracyami*. Lwów, 1908. Str. 114.

Były namiestnik Galicyi jest także znawcą gruntownym sztuki. Darzy nas obecnie książką pod skromnym tytułem „Przechadzki“; książką, naszym zdaniem, bardzo pożyteczną, dla bodaj pobieżnego zaznajomienia naszego ogółu ze skarbami sztuki, przechowywanymi we wspaniałych muzeach Hiszpanii, tak mało dla nas dostępnych. Zbiory niemieckie i włoskie, ba jeszcze francuskie, są o tyle o ile znane przeciętnemu wykształconemu Polakowi, ale do Hiszpanii mało kto od 1807 r. zajrzał i na ogół biorąc, nie się o nich nie wie. Za ledwie znane są i rozpowszechniane u nas reprodukcje paru obrazów Velasqueza, ale są to przeważnie portrety. O innych kreacjach, tego nad wszelki podziw wybijającego i subtelnego nadzwyczaj talentu, mało kto u nas wie, a z książki niniejszej nie tylko się dowie, ale i sąd trafny sobie wyrobi. Jedynie co dałoby się zarzucić, to że książka ma charakter odczytu, konferencyi — brak w niej bowiem wskazówek dla czytelnika, do jakiego powinien zajrzeć dzieła, aby bliżej z tą lub ową sprawą się zapoznać. Nie żądaliśmy najeżenia jej cytatami, coby miłą lekturę książki p. L. Pinińskiego utrudniało, nie chcemy od tej książki najdokładniejszych cytat i wyliczeń, ale bodaj krótki bibliograficzny wykaz ważniejszych dzieł o sztuce w Hiszpanii byłby bardzo pożądanym.

F. P.

— BARAN KAZIMIERZ. *Prawa i Przywileje króleskiego miasta Nowego Targu*. Nakładem Rady miejskiej w Nowym Targu 1908. 8-o, str. 77. Z przedmową D-ra K. Krotoskiego.

Jako bardzo dodatni fakt w naszej literaturze naukowej zaznaczyć należy pojawianie się monografii i materiałów do monografii miast. Przeważa pod tym względem Galicya. Niniejszy tomik jest nową zdobyczą na tem polu, a najchlubniejszym jest dopisek, jaki na okładce czytamy: „Nakładem rady miejskiej w Nowym Sączu.“ Są u nas bowiem siły, chcące pracować naukowo (szczególnie w Galicyi), ale nie zawsze znajdują się środki dla poparcia usiłowań uczonych, ci zaś nie zawsze mają wór na tyle pełny, aby móc pokryć kosztom wydawnictwa. „Prawa i Przywileje“ Nowego Targu wydane kosztem miasta, radzie jego przynoszą zaszczyt, ale jednocześnie czynią wstyd wszelkim metropoliom, które nie tylko dotąd na to się nie zdobyły, ale o tem nawet nie myślą. Kiedyż to Warszawa wyda swój kodeks dyplomatyczny? Czy pomyślał o tem Lublin, Płock lub Wilno?

Co do wydawnictwa p. Barana jedno tylko zastrzeżenie i krytyczna uwaga. Dlaczego nie znajdujemy w końcu dziełka indeksu, przy tego rodzaju wydawnictwie, już zgoła nieodzownego? Bez tego trudno się przebijac przez formuły mało znaczące w dokumentach. Indeks nie tylko imienny, ale i rzeczowy jest konieczny.

F. P.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA.—FILOZOFIA.

GERSTMANN ADAM, Ks. DR.: Zagadnienie katechetyczne i homiletyczne u Św. Augustyana, napisał... Lwów, 1908. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, str. 84

KWARTALNIK TEOLÓGICZNY, czasopismo, poświęcone wiedzy katolickiej, wydawane przez ks. A. Szaniawskiego. Rocznik IV i V.

PLATER-ZYBERKÓWNA CECYLIA: Istota i cel związków oraz treściwa informacja o katolickim związku kobiet polskich. Odczyt, wygłoszony dnia 20 czerwca 1908. Przez... Warszawa, 1908. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 16.

H I S T O R Y A.

ANTOSZKA: Czechy i naród czeski. Część II. Krótka historia Czech. Opracowała... Warszawa, 1908. Książki dla wszystkich № 441. 8-o, str. 164.

CIESZKOWSKI AUGUST: Prolegomena do historyzozofii. Przełożył z niemieckiego syn autora. Poznań, 1908. Na składzie w księgarni J. Leitgebera. 8-o, str. III + 138.

DMOCHOWSKI JAN: Rozwój instytucyj społecznych w XIX stuleciu. Warszawa, 1908. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 38.

KIELLAND ALEKSANDER L.: Napoleon i jego ludzie. Przekład Maryi Kreczowskiej. Warszawa, 1908. Bibl. Dzieł wyborowych. № 547, 548. 8-o, t. I, str. 163, t. II, str. 156.

KLACZKO JULIAN: Studya współczesnej dyplomacji. Przygotowania do Sadowy. Tłómaczył za zezwoleniem autora Karol Scipio. Przedmowa Stanisława Tarnowskiego. Kraków, 1907. Spółka wydawnicza Polska. 8-o, str. 111.

HISTORYA LITERATURY.

ACER: „Dzieje grzechu“ Stefana Żeromskiego. Luźne uwagi krytyczne. Poznań. 1908. Nakład autora. 8-o form. większy, str. 12.

BANDURSKI WŁADYSŁAW, Ks.: Czem Wyspiański dla Polski. Lwów, 1908. Nakładem Tow. Wz. Pom. Lit. i Art. Pol. we Lwowie. Skł. gł. Maniszewski i Meinhart. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 27.

BRÜCKNER ALEKSANDER: Russlands geistige Entwicklung im Spiegel seiner schönen Literatur. Tübingen, 1908. (I. C. B. Mahr). 8-o, str. IV+148.

CHRZANOWSKI IGN.: Historia literatury niepodległej Polski (z wypisami). Wydanie drugie. Warszawa, 1908. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, stronic 559.

KRZEMIŃSKI STANISŁAW: Komisya Edukacyjna. Odczyt... Warszawa, 1908. Nakład M. Arcta. Książki dla wszystkich № 406. 16-o, str. 112.

LEWICKI JÓZEF: Bibliografia druków, odnoszących się do komisji edukacyi narodowej pierwszego w Europie ministerium oświaty.

NAUKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE.

BELMONT LEO: Socjalizm i sprawiedliwość. Studium etyko-ekonomiczne. Warszawa, 1908. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 179.

HILLQUIST MAURZYCY: Dzieje socjalizmu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Tłómaczenie z III wydania, z upoważnienia autora, przez Bolesława Jędrzejewskiego. Kraków, 1908. Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka. 8-o, str. 301.

ORPISZEWSKI, KS: Kilka myśli o walce z socjalizmem. Warszawa, 1908. Wydawnictwo „Kroniki Rodzinnej.“ 8-o, str. 58.

WASIŁEWSKI ZYGMUNT: Listy dziennikarza w sprawach kultury narodowej. Lwów, 1908. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 249.

MEDYCYNĄ I PRZYRODOZNAWSTWO.

HYPNOTYZM I SUGGESTYA. Krótkie popularne wskazówki do hypnotyzowania, jako też do udzielania poddawek (sugestyi) w celach leczniczych i wychowawczych. Część II praktyczna. Z licznymi rycinami. Berlin, 1908. Nakładem „Przewodnika Zdrowia.“ Skł. główny w Warszawie E. Wende i Sp. 8-o, str. 56.

KULCZYŃSKI VI: Symbola ad faunam araneorum Iavae et Sumatrae cognoscendam. I. Mygalomorphae et cribellatae. Cracovie, 1908. (Extrait du bulletin de l'Académie des sciences de Cracovie. Cl. des sciences math. et naturelles. Juin 1908). 8-o, str. 527—581.

NITSCH R.: Recherches sur les microbes anticholériques dans l'air atmosphérique. Cracovie, 1908. (Extrait du Bulletin de l'Académie des sciences de Cracovie. Cl. des sciences math. et natur. Juin 1908). 8-o, str. 582—585.

NUSBAUM J.: Zur Entwicklungsgeschichte der Occipitalregion des Schädels und der Weber'schen Knöchelchen bei den Ciprinoiden. Cracovie, 1908. (Extrait du Bulletin de l'Académie des sciences de Cracovie. Cl. des sciences math. et natur. Juin 1908). 8-o, str. 505—580.

NUSBAUM JÓZEF, DR.: Zootomia praktyczna. Z licznymi rycinami w tekście. Warszawa, 1908. Wydane staraniem d-ra Jana Tura. Z zap. Kasy pom. im. d-ra J. Mianowskiego. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. duży, str. VIII+263.

WRÓBLEWSKI KAZIMIERZ: Granice pomiędzy światem roślinnym a zwierzęcym. Napisał... Warszawa, 1908. Nakładem M. Areta. Książki dla wszystkich. № 404. 16-o, str. 66.

P R A W O.

JACKOWSKI ALEKSANDER: Z zakresu prawodawstw spółkowych u nas i gdzieindziej. Warszawa, 1908. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 30.

LUTOSTAŃSKI KAROL: Zaręczyny. Studium z zakresu prawa małżeńskiego. Zaręczyny w prawie małżeńskim z r. 1836. Odbitka z „Gazety Sądowej.“ Warszawa, 1907. Skład gł. w Księg. Naukowej. 8-o, str. 213.

NAGÓRSKI ZYGMUNT, DR. IUR.: Das Rechtsverhältniss des unehelichen Kindes zu seinem Erzeuger nach deutschem und französischem Recht in geschichtlicher und rechtsvergleichender Darstellung. Zürich, 1908. str. 173.

POWIEŚĆ. — POEZYZA.

FELIŃSKI ALOJZY: Barbara. Tragedya w pięciu aktach ze wstępem i objaśnieniami Henryka Gallego. Warszawa, 1908. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Wybór Pisarzyw polsk. dla domu i szkoły № 15. 8-o, str. 109.

GÓRSKI K. M.: Biblioman. Nowela. Warszawa, 1908. Biblioteka Uniw. Ludowych № 88. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 32.

JUNOSZA KLEMENS: Szkice z natury. Muzykanci. Wojtek Więciór. Warszawa, 1908. Książki dla wszystkich № 402. Nakładem M. Arcta. 16-o, 48.

— Oryginal z Piskorzewa. Obrazek z natury. Warszawa, 1908. Książki dla wszystkich № 415. Nakład M. Arcta. 16-o, str. 87.

KONCZYŃSKI TAEDUSZ: Białe pawie. Komedya w 3-ch aktach. Warszawa, 1909. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 87.

— Nad głębiami. Powieść. Kraków, 1907. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff. 8-o, str. 332.

KRZYŻANOWSKI ANATOL: Wobec sumienia. Zbiór Nowel. I. Wobec sumienia. II. Widmo. III. Za chwilę szału. IV. Ironia życia. V. W Kolońskiej katedrze. Warszawa, 1908. Nakładem Akc. Tow. S. Orgelbranda Synów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 303.

MICHALEWSKI STEFAN: W noc letnią. Poezye I. Warszawa, 1907.

NORWID CYPRIAN: Wybór poezyi. Zebrał i objaśnieniami zaopatrzył Roman Zrębowicz. Okładka według akwaforty Cypryana Norwida. Portret poety według akwaf. Fr. Siedleckiego. Lwów, 1908. Nakł. Księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 168.

SIENKIEWICZ H.: Jurand ze Spychowa. Z powieści „Krzyżacy.“ Warszawa, 1908. Nakład. Gebethnera i Wolffa. Bibl. Młodz. Szkolnej, 80. 8-o, str. 103.

SŁOWACKI JULIUSZ: Księżę Niezłomny (z Calderona de la Barca). Tragedya w trzech częściach (Podług wydania pierwszego, Paryż, 1844). Wstępem i objaśnieniami opatrzył Jan Michalski. Warszawa, 1908. Nakład M. Arcta. Książki dla wszystkich № 395. 16 o, str. 131.

SYROKOMLA WŁADYSŁAW (LUDWIK KONDRATOWICZ): Ułas. Sielanka bojowa z błot poleskich. Warszawa, 1908. Nakład Gebethnera i Wolffa. Bibl. Uniw. Ludowych, 91. 8-o, str. 48.

SYROKOMLA WŁADYSŁAW (LUDWIK KONDRATOWICZ): Wielki Czwartek. Obraz wioskowy. Warszawa, 1908. Bibl. Uniwers. Ludowych № 95. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 43.

— Urodzony Jan Dęboróg. Dzieje jego rodu, głowy i serca przez niego samego opowiadane. Warszawa, 1908. Bibl. Uniw. Ludow, № 93. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 87.

ZALESKI BOHDAN JÓZEF: Wybór poezyi. Warszawa, 1908. Bibl. Uniw. Lud. № 100. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 78.

ŻEROMSKI STEFAN: Duma o hetmanie. Warszawa, 1908. Nakładem Kasy przezor. i pom. warsz. pomocn. księgar. Skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 217.

